

1796
B. P. im. L.





HENRYK GEORGE.

POSTĘP I NĘDZA.



1800084419

949



2851991
166410

1796i

POSTĘP I NĘDZA.

BADANIE PRZYCZYŃ

SPROWADZAJĄCYCH PRZESILENIA PRZEMYSŁOWE,
ORAZ WZROSTU NĘDZY
JEDNOCZEŚNIE Z WZROSTEM BOGACTWA,

przez

HENRYKA GEORGE'A

przełożyła

z 28 amerykańskiego wydania

M. D.

CZEŚĆ I.



W POZNANIU

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI J. LEITGEBRA I SPÓLKI.

1885.

И-323934 / 2.1



Postaraj się tak określić rzecz każdą, która ci pod zmysły podpada, abys mógł dokładnie rozpatrzyć, czem jest rzecz ta w istocie, jak się ona przedstawia po оголоczeniu z wszelkich przydatków a jak w całkowitym swym składzie; daj nazwę właściwą i rzeczy tej i częściom, z których się ona składa i na które rozłożyć ją należy. Nic bowiem nie jest w stanie tak podnieść umysłu ludzkiego, jak umiejętność ścisłego badania każdej rzeczy, którą w życiu napotykamy; staraj się zatem zapatrywać się na nie tak, abys ujrzał jednocześnie, czem są one w całości i do jakiego użytku każda z nich się nadaje, jaką wartość ma rzecz każda odnośnie do całości i odnośnie do człowieka, który jest obywatelem najdoskonalszego społeczeństwa, od którego wszystkie inne są zależne; badaj, czem jest rozpatrywany przedmiot, z czego się on składa i jak długo trwać może.

Marek Aureliusz Antoniusz.

Musi znaleźć się rada! Wszak
 Marli ludzie z zimna, aż ktoś wykrzesał ogień
 Z kamienia, co, nieczuły, skrywał w swoim łonie
 Skarb—iskrę przez ogień tam słoneczny rzuconą.
 Mięsem żyli jak wilcy, aż posiał ktoś zboże;
 Chwastem zeszło—a życie przecie ludziom daje!
 Gwarzyli jak dzieci aż przemówił ktoś słowem,
 Ktoś drugi cierpliwie w kształt głosek ujął dźwięki.
 Cóż mają bliźni moi, czego by badaniem,
 I walką, i ofiarą zdobyć im nie przyszło?

Edwin Arnold.

Prawdy ziarno
 Nigdy jeszcze siejbą marną
 Nie legło na świata niwie;
 Co dłoń ojców na siew rzuci,
 Stokroć wnukom rola zwróci
 W złocistego plonu żniwie.

Whittier.

WSTĘP. — ZAGADNIENIE.

Stawiacie! o stawiacie! lecz jak grzeszny lud owy,
Co zżarła go pustynia, nie złożycie tam głowy;
Z obiecaney wy ziemi znikniecie, marne cienie,
Nim przed okiem wam błysną niw jej bujne zielenie

Mrs. Sigourny.

Cechą naszego stulecia jest nadzwyczajny wzrost siły wytwarzającej bogactwo. Zastosowanie pary, elektryczności, wprowadzenie ulepszonych sposobów produkcji i mechanizmów zmniejszających pracę ludzką, większy podział pracy w produkcji i szerza jej skala niezmierną łatwość wymiany, wszystko to spotęgowało wydajność pracy.

Na początku tej cudotwórczej epoki można się było spodziewać i spodziewano się też, że wynalazki oszczędzające pracę ulżą ciężkim trudom i polepszą położenie robotnika, że niezmierny wzrost siły wytwarzającej bogactwo uczyni istotną nędzę kwestyą przeszłości. Gdyby człowiek zeszłego wieku Franklin lub Priestley np. ujrzał w widzeniu przyszłości parowiec zastępujący miejsce statku żaglowego, pociąg kolei na miejsce wozu, kosiarzkę na miejscu kosy lub młockarnię zastępującą cepy; gdyby usłyszał świst maszyn, które posłuszne woli człowieka i czyniąc zadość jego żądaniu, wytwarzają siłę większą od połączonych usiłowań wszystkich ludzi i zwierząt roboczych, gdyby ujrzał drzewo leśne przekształcone na cienkie deski, drzwi, framugi i żaluzje (żaluzje) u okien, skrzynie i beczki zaledwie za dotknięciem ręki ludzkiej; wielkie warsztaty w których buty i trzewiki wychodzą gotowe z mniejszym wysiłkiem pracy, niż jej potrzebował starodawny szewc na przybicie podeszwy; faktorye, w których pod okiem dziewczęcia wełna przeistacza się w sukno prędeej. nim by to zdołało uczynić setki silnych tkaczy przy pomocy

ręcznych jedynie warsztatów; gdyby zobaczył owe młoty poruszane parą, rozbijające pieczary mamuta i kujące olbrzymie kotwice, a obok nich misterne mechanizmy miniaturowych zegarków; gdyby ujrzał świder wrzynający się w samo serce skały i petroleum zastępujące tłuszcz wielorybi; gdyby mógł obliczyć olbrzymią oszczędność pracy wynikłej z tak znakomitego ułatwienia środków wymiany i środków komunikacyjnych, że mięso z owiec zabitych w Australii pojawia się świeże jeszcze na stole w Anglii, a zlecenia, wydane rano przez londyńskiego bankiera, uskutecznione są w San-Francisco wieczorem tegoż samego dnia; gdyby mógł mieć pojęcie o owych tysiącznych udoskonaleniach, o których napomykamy zaledwie,—cóżby wniósł o warunkach bytu społeczeństwa ludzkiego?

Z początku nie byłby on zdolnym do wyprowadzenia jakiegokolwiek wniosku; po pewnym jednak czasie musiałby uwierzyć w rzeczywistość tej fantazyi i serce zabiłoby mu żywiej, nerwy zadrgałyby radośniej, jak temu, kto spoglądając z góry na konającą z pragnienia karawanę podróżnych, usłyszy w pobliżu szelest cienistego lasu i szmer płynącego strumyka. Słowem, oczyma wyobraźni ujrzałyby te nowe siły, które, z podwalin gmach społeczny wznosząc, dla najuboższych możliwości nędzy usuną, i stojących na najniższym szczeblu społecznym oswobodzą od troski o zaspokojenie materialnych potrzeb życia, ujrzałyby owe maszyny, owych niewolników światła i wiedzy obarczonych tradycyjnym przekleństwem, którzy przy pomocy mięśni z żelaza i ścięgn stalowych uczynią życie najuboższego robotnika dniem świętą, dając możność rozwoju wzniostym i szlachetnym popędom duszy ludzkiej.

Wobec tak dodatniego położenia materialnego dostrzeżłoby, jako wynik konieczny, warunki moralne, urzeczywistniające na ziemi wiek złoty, o którym ludzkość zawsze marzyła; w młodości nie mrze się już z głodu i nędzy, starości nie trapi skąpstwo, dziecię bawi się z tygrysem, robotnik trzymając w rękę widły upaja się świetnym gwiazd blaskiem. Ciemne gwałtowne żywioły pierzchły lub poskromione zostały, a na miejsce rozstroju społecznego pojawiła się harmonia... Bo czyż chciwość ma rację bytu, gdy każdy jest w dostatku?

Bo i jakim sposobem zbrodnia, ciemnota, grubijaństwo, obawa, owe owoce nędzy, istniećby mogły wobec zniknięcia tejże? Kto się będzie płaszczyl, gdy wszyscy są swobodni, kto może uciemięzać, gdy panuje równość zupełna?

Takie więc mniej lub więcej określone lub niejasne były marzenia i nadzieje zrodzone z udoskonaleń, które nadały wyższość „wiekowi cudów“ nad innymi. Wryły się one tak głęboko w umysł ogółu, że zatarły dawne wierzenia, nadały nowy prąd myśli, zmieniły zasadnicze pojęcia. Uroczę widzenia coraz rozleglejszego postępu nie tylko nabrały blasku i żywotności, lecz inną przybrały postać; nie oglądamy się na gasnące barwy ko-

nającego zachodu słońca, lecz śmiało obejmujemy okiem świetny brzask dzienny, ukazujący się na widnokręgu przyszłości.

Prawdą jest, że rozczarowania następowały jedno po drugim i że ani nieprzerwany szereg odkryć, ani wciąż nowe wynalazki nie przyczyniły się do ulżenia pracy tym, którzy najwięcej potrzebują wypoczynku, ani do zapewnienia możliwego dostatku nędzarzom. Lecz można było przypisać gorzki ten zawód tylu okolicznościom, że i w naszych czasach nowa wiara nie osłabła. Wprawdzie oceniliśmy lepiej trudności, które przezwy-ciężyć należy, a jednak wierzyliśmy dalej, że prąd czasu dąży do pokonania ich.

Dzisiaj jednakże napotykamy fakty niezbite, którym za-przeczyć niepodobna. Ze wszystkich stron świata cywilizowa-nego dochodzą nas wieści o ucisku przemysłu, o pracy skaza-nej na przymusowe bezrobocia, o kapitałach nagromadzonych i niezużytkowanych, o klęskach finansowych pośród kupców, o cierpieniach niepokoju wśród warstw robotniczych. To jakieś tępe powoli dobijające cierpienia, to znów ostre, wściekle paroksz-ymy wciąż trapią ludzkość. A stan ten rzeczy wspólny społeczeń-stwom, różniącym się tak znacznie i co do ich położenia ogólnego i co do instytucyj politycznych i co do systemu fiskalnego i finanso-wego i wreszcie co do gęstości zaludnienia i społecznych organizacyj, niepodobna przypisać miejscowym przyczynom. Nędza panuje w krajach, w których rząd utrzymuje wojska stałe i tam, gdzie one istnieją li tylko na papierze, gdzie cła ochronne kę-pują zgubnie i bezmyślnie handel, i tam gdzie jest on zupełnie wolny; nędza panuje tam, gdzie możni stoją u steru państwa, lecz niemniej, i tam gdzie władza jest w ręku ludu; nędza w kra-jach w których papier stał się monetą i nędza tam, gdzie tylko złoto i srebro są w obiegu. Oczywiście jest, że pominawszy wszelkie te wymienione przez nas względy, musimy szukać innej wspólnej przyczyny podobnego stanu rzeczy.

Że taka wspólna przyczyna istnieje i że nią jest albo to, co nazywamy postępowem materyalnym, albo coś z materyalnym postępowem ściśle związanego, staje się więcej niż pewnem, jeżeli zważymy, że zjawiska powyżej przez nas zgrupowane jako całość stanowiące to, cośmy nazwali uciskiem przemysłu, są właściwie tylko spotęgowaniem zjawisk, towarzyszących zazwyczaj wzrostowi postępu materyalnego i uwydatniają się coraz bardziej w miarę jego wzrostu. Gdzie warunki najczęściej sprzyjają postępowi materyalnemu t. j. gdzie zaludnienie jest najgęstsze, bogactwa najczęściej a mechanizm wytwórczości i wymiany stoi u szczytu rozwoju—tam właśnie widzimy największe ubóstwo, najzaciętszą walkę o byt i najczęściej istot skazanych na przymusowe próżniactwo.

Do nowych krain, w których urządzenia społeczne są jesz-cze w pierwotnym okresie, chronią się rolnicy, poszukując lepszej zapłaty, płynię kapitał cheiwy wyższych procentów. Naodwrot

zaś, w krajach starszych, w których też same instytucje doszły do największego rozwoju, spostrzegamy najstraszniejszą nędzę jednych i najwytworniejszy zbytek drugich. Zwróćmy uwagę na nowe społeczeństwa, w których potężny szczep Anglo-Saksoński rozpoczyna zaledwie życie zgodne z prawami postępu, gdzie sposób wytwórczości i wymiany jest jeszcze pierwotny i często płunny, gdzie szczupły zasób bogactwa nie dozwala żadnej warstwie żyć wygodnie i zbyt kownie, gdzie najpyszniejszy budynek jest zaledwie budą z okraglaków, a najbogatszy z mieszkańców jest zmuszonym do pracy na chleb powszedni — nie znajdziemy tam zamożności i towarzyszących jej zjawisk, lecz nie spotkamy również żebraków. Niema tam zbytku i niema również nędzy. Nikt nie jest w stanie żyć wygodnie i dostatnio, lecz każdy może żyć, żadna jednostka zdolna i chętna do pracy nie potrzebuje obawiać się niedostatku.

Jak tylko społeczeństwa takie uczynią krok naprzód na drodze materialnego postępu, dążąc do przyswojenia sobie warunków odpowiednich społeczeństwom ucywilizowanym, jak tylko zawilsze urządzenia, częstsze stosunki z obcemi państwami, wprowadzenie w użycie maszyn zastępujących pracę dozwolą zaprowadzić różnorodne oszczędności w systemacie wytwarzania i wymiany, skutkiem czego i dobrobyt nie tylko ilościowo lecz i w stosunku do zaludnienia się wzniesie, natychmiast nędza przybiera zatrważające rozmiary. Jednemu przypadnie w udziale życie dostatniejsze i wygodniejsze, drugiemu trudno zarobić na kawałek chleba. Nędza przybywa ze świstem pierwszej lokomotywy, a szpitale i więzienia są również istotnymi cechami „rozwoju materialnego,” jak kosztownie urządzone mieszkania, bogate sklepy i przepyszne kościoły. Na ulicach oświetlonych gazem i strzeżonych przez policję żebrak wyciąga rękę do przechodnia, a pod gmachami uniwersytetu, księgarni lub muzeum kryją się Hunnowie i Wandalowie stokroć straszniejsi i więcej barbarzyńscy niż ci, których Macaulay proroczył.

Fakt ten, że nędza i smutne jej następstwa ukazują się w społeczeństwie wtedy dopiero, gdy ono posiada w sobie warunki konieczne dla rozwoju postępu materialnego dowodzi, że nieszczęścia społeczne, istniejące wszędzie, gdzie tylko został osiągnięty pewien stopień rozwoju, powstają nie w skutek przyczyn miejscowych, lecz że, w ten lub inny sposób, sprawcą ich jest właśnie wzrost postępu materialnego.

Jakkolwiek niemiłą być może ta prawda, niemniej staje się widocznym, że niezmierny cechujący nasz wiek wzrost siły wytwórczej, nie ma na celu wykorzenienia nędzy lub przyniesienia ulgi mazołom fizycznej pracy. Zapelnia on jedynie przepaść pomiędzy Krezusami i Łazarzami, i czyni walkę o byt stokroć zawziętszą. Szereg wynalazków uzbroił ludzkość w potęgę o której najśmielsza wyobraźnia zeszłego wieku zamarzyć nawet nie mogła; a jednak w faktoryach pomimo jaknajszerszego zastosowa-

nia maszyn, zastępujących pracę ludzką, pracują małe dzieci; tam gdzie nowe siły działają w całej pełni, publiczne miłosierdzie daje utrzymanie licznym warstwom ludności a jutro zmusi nowe, liczniejsze może, do prośby o wsparcie; wobec największego nagromadzenia bogactw, ludzie mrą z wycieńczenia i niemowłeta płaczą przy suchej piersi matczynej, a grożąca obawa widma nędzy sprowadza chciwość zysku i bałwochwalczą cześć grosza, Kraina obiecana ucieka nam zprzed oczu, jak mamidło. Zrywamy jabłka z drzewa wiedzy, lecz jak owe owoce z nad brzegów Martwego morza, rozsypują się one w proch za dotknięciem. Prawdą jest, że bogactwo narodowe wzrosło, że, przeciętnie biorąc, komfort się rozwinął, zwiększyła się ilość czasu na wytechnienie przeznaczonego i pewne udelikatnienie obyczajów wzrosło, lecz strony te dodatnie nie rozpostarły się na ogół. Najniższa warstwa nie bierze w nich udziału *). Nie twierdzą bynajmniej, by położenie klas najniższych nigdzie i w niczem się nie polepszyło, lecz żadnej z tych zmian pomyślnych nie można przypisać wzrostowi siły wytwórczej. Sądzę, że to, co nazywamy materialnym postępem, w żadnym razie nie polepsza położenia warstw najniższych co do zasadniczych warunków zdrowej i pomyślniej egzystencji i powiedziałybym nawet, że wzrost tego postępu będzie i na przyszłość wywierać ucisk na położenie niższych klas. Nowe siły, pomimo swych cech rewolucyjnych, nie wstrząsają machiną społeczną od dołu, jak w to długi czas wierzone, lecz zadają jej cios w punkcie pośrednim, pomiędzy szczytem i podstawą. Można by je przyrównać do olbrzymiego klina, wbitego pomiędzy niższe i średnie warstwy, podnosi on te, które są po nad punktem rozszczepienia, a na śmierć przygniata znajdujące się poniżej.

Ten przygnębiający wpływ nie wszędzie się ujawnił, nie jest on bowiem widocznym tam, gdzie długo istniała klasa ludzi, środki których ledwie im na życie wystarczały. Tam gdzie najniższa klasa zaledwie wyżyć mogła, jak to długi czas miało miejsce w wielu krajach Europy; gdzie trudno było jej spaść niżej, gdyż jeden jeszcze krok na dół doprowadzał do niemożności istnienia, tam owa dążność dalszego ucisku objawić się nie mogła. Za to ów szybki postęp, z jakim nowe kolonie zbliżają się do warunków starych społeczeństw, pokazuje najwidoczniej, że rozwój ekonomiczny nietylko nie osłabia nędzy, lecz w samej rzeczy ją wytwarza. Stany Zjednoczone służąć mogą jako dowód, że nędza oraz idące w ślad za nią występki i zbrodnie wzrastają zawsze, jak tylko osada rozwinie się w miasto i przyswoi so-

*) Jakkolwiek najuboższy może dziś w pewnej mierze używać tego, czego setki lat temu najbogatszy musiał sobie odmówić, nie może to służyć za dowód polepszenia bytu ogółu, póki nie powiększy się możność zaspokajania potrzeb życiowych. Miejski żebrak może być w posiadaniu wielu rzeczy, których z konieczności jest pozbawiony rolnik oddalonego zakątka; czyż to dowodzi, aby położenie żebraka było lepszem od warunków życia niezależnego włościanina?

bie udoskonalone sposoby wytwarzania i wymiany. W najdawniej zamieszkałych i najbogatszych miejscowościach Unii pauperyzm i nędza klas roboczych najprzyszejsze przybrały formy. Czyż nie dla tego jedynie mniej jest nędzy w San-Francisco niż New-Yorku, że pierwsze z tych miast mniej naprzód postąpiło? Jak tylko San-Francisco dojdzie do tego stopnia rozwoju, na jakim stoi New-York, któż wątpi, że i tam również na ulicach spotykać będziemy obdarte i bose dzieci? To współistnienie nędzy z postępem jest wielkiem zagadnieniem naszych czasów. Jest ono ogniskiem, z którego rozechodzą się wszystkie niedole polityczne, przemysłowe i społeczne, a z którem socyologia, dobroczynność publiczna i oświata walczą nadaremnie. Ztąd pochodzą owe czarne chmury zaciemniające przyszłość najwięcej postępujących i ufnych w siebie narodów; to zagadka, którą sfinks przeznaczenia postawił naszej cywilizacji, a ruina grozi społeczeństwu w razie, gdyby jej nierozwiązało. Dopóki wzrost bogactwa, wpływający z nowoczesnego postępu, służy jedynie do nagromadzenia wielkich prywatnych kapitałów, do wzrostu rozwiązłości, do uwydatnienia przepaści między zamożnością i niedostatkiem, dopóty postęp nie jest prawdziwym i nie może być trwałym. Reakcyja nastąpić musi. Gmach zrysowany jest od samej podstawy i każde nowo zbudowane piętro przyspiesza ostateczne niebezpieczeństwo. Oświecać światłem wiedzy ludzi skazanych na nędzę — zwiększać ich zawziętość; tworzyć na gruncie najjaskrawszych nierówności społecznych urządzenia państwowe, czyniące ludzi równymi sobie li tylko w zasadzie, jest to to samo, co chciało postawić piramidę podstawą do góry.

Pomimo całej ważności tej kwestyi, która w tak dotkliwy sposób wszędzie uwagę ku sobie przykuwa, nie mamy dotąd takiego jej rozwiązania, któreby wszystkie dane przyjmując w rachubę podało nam w rękę prosty i jasny środek zaradzenia złemu. Dowodem tego są znacznie różniące się między sobą próby objaśnienia przyczyn ucisku ogólnego. Bezowocne te pokuszenia świadczą nietylko o sprzeczności między pojęciami ogółu a teoryami naukowemi, lecz również i o tem, że współdziałanie, które powinnyby istnieć między ludźmi, mającymi jednakie ogólne przekonania, ustąpiło miejsca przy badaniu tych kwestyj dotyczących życia praktycznego zupełnemu nieładowi.

Jedne powagi ekonomiczne twierdzą, że przyczyną ogólnego ucisku jest nadmierna konsumpcya, podczas gdy drugie przypisują to samo zło nadmiernemu wytwarzaniu, a inni jeszcze publicyści ciesząc się powszechnem uznaniem widzą źródło nędzy w spustoszeniach wojennych, w zbytniem rozgałęzieniu się dróg żelaznych w znowach robotników w celu zmuszenia kapitalistów do podniesienia płacy, w zniesieniu waluty w srebrze, w napływie papierowych pieniędzy, w zbytniem rozmnożeniu maszyn oszczędzających pracę, w odkryciu nowych dróg handlowych i t. d. i t. d.

A podczas owych sporów uczonych, masy, którym zło najdotkliwiej uczuć się daje, coraz chętniej dają posłuch zdaniom, że toczy się istotna walka między kapitałem i pracą, że maszyny są złem, że konkurencya musi być powściągnięta a procenta skasowane, wreszcie, że obowiązkiem rządu jest dostarczenie kapitału lub pracy. Przekonanie podobne oddają masy, na których ostatecznie wszelka władza polityczna opierać się musi, w ręce szarlatanów i demagogów, i są przez to brzemienne niebezpieczeństwami, a jednak pokonanemi być nie mogą, dokąd ekonomia polityczna nie da na wszystkie te groźne pytania odpowiedzi zgodnej ze swemi teoryami a przystępnej dla umysłów ogółu.

Dać odpowiedź taką — to rzecz ekonomii politycznej, gdyż ekonomia to nie szereg dogmatów, lecz raczej objaśnienie pewnego szeregu faktów. Nauka ta bowiem, badając pewien szereg objawów stara się wykazać ich wzajemny stosunek, wskazać gdzie przyczyna i gdzie skutki, podobnie jak to czynią nauki przyrodnicze dla innej grupy faktów. Powinna ona opierać się na stałym gruncie. Założenie, z którego wyprowadza wnioski — to prawdy uświęcone wiekami, to uznane przez wszystkich pewniki, na których spokojnie opieramy swe rozumowania, do których stosujemy nasze codzienne czyny; założenie, które można objaśnić prawem fizycznym: tak jak ciało wprawione w ruch idzie w kierunku najmniejszego oporu, tak i człowiek stara się zaspokoić swoje pragnienia najmniejszą sumą usiłowań.

Opierając się na tak pewnych podstawach, posługuje się ona nie mniej pewnymi metodami polegającymi na upodobnieniu i różnieniu. Ekonomia polityczna w ten sposób pojęta staje się nauką również dokładną jak geometrya, która wnioski swe w taki sam sposób wyprowadza z prawd dotyczących przestrzeni, a wnioski te, o ile są uzasadnione, stają się oczywistymi. Chociaż w ekonomii politycznej nie możemy tak jak w dziedzinie innych nauk sprawdzać nasze teorie przy pomocy sztucznie wytworzonych kombinacji i warunków, niemniej jednak wolno nam przedstawić dowody równie przekonywające, porównyując społeczeństwa w różnych znajdujące się warunkach, lub też rozdzielać i zestawiając, dodając i wykluczając siły i czynniki, których działanie jest nam znanem.

W następujących rozdziałach będę usiłował rozwiązać na podstawie ekonomii politycznej wielkie zagadnienie, naszkicowane dotąd w ogólnych zarysach. Postaram się zbadać prawo, które łączy nierozzerwalnym węzłem nędzę z postępem i wzrost potrzeb z nagromadzeniem bogactw, i mniemam, że wytlómaczenie tego paradoksu rzuci jaśniejsze światło na pojawiający się w przemyśle i handlu zastój, tak niezrozumiały w odosobnieniu od wiecej ogólnych zjawisk.

Podobne badanie właściwie rozpoczęte i starannie przeprowadzone powinno doprowadzić do wniosku, który wytrzyma wszelką próbę i jako prawda będzie się wiązał z wszelkiemi

innemi prawdami. Gdyż w następstwie zjawisk przypadkowość miejsca mieć nie może. Każda przyczyna wywiera pewien skutek, każdy fakt każe przypuszczać istnienie faktu poprzedzającego.

Prawda, że ekonomia polityczna nie jest dotąd w stanie wytłumaczyć upartego istnienia nędzy wobec zwiększającego się dostatku w sposób, odpowiadający przekonaniu niektórych ludzi, że nie zdołała ona zająć takiego stanowiska w pojęciach ogółu, które każda prawda, jakkolwiek nieprzyjemna, zdobyć by potrafiła, że przeciwnie nawet pomimo stuletnich badań najbystrzejszych i najpotężniejszych myślicieli, dziś jest ona pogardzana zarówno przez mężów stanu jak i przez ogół i uważaną przez ludzi oświeconych i myślących jako pseudo-nauka, w której nie stalego niema i być nie może. Lecz przyczyny takiego stanu rzeczy, o ile się zdaje, należy szukać nie w niedostatkach samej nauki, o ile takowa właściwie jest prowadzoną, lecz w próżnych-zboczeniach w ułożeniu lub przeoczeniu jakiego czynnika w wywodach, lub że odryte przez nią niezaprzeczone pewniki są porzucane i niepowiązane z sobą. Ze względu na to, że podobne błędy bywają zwykle starannie ukrywane przez wzgląd na szacunek winny powagom naukowym, postanawiam sobie w tej sprawie nie przyjmować jako rzecz oczywistą, poddawać ścisłemu badaniu najwięcej ustalone zasady, a w razie gdyby nie wytrzymały krytyki, śmiało zwracać się ku faktom, by wykryć prawo rządzące niemi.

Nie cofnę się przed żadnym wnioskiem, nie zdecyduję żadnej kwestyi bez dowodów, będę szedł za prawdą bez względu na to, dokąd mnie ona zaprowadzi. Nie na nas spada odpowiedzialność za to, czego prawa dowiodą, lecz obowiązkiem naszym jest badanie tych praw, gdyż w samym ognisku naszej cywilizacji kobiety wiedznią i niemowlęta płaczą. Okażmy się mężni gdy wprowadzone przez nas wnioski zadadzą kłam przesądowi ogółu; nie cofajmy się, gdy one wykażą błędność urządzeń uznanych przez nas za mądre i zgodne z naturą człowieka.

KSIĘGA I.

Zarobek i Kapitał.

„Kto chce śledzić za rozwojem filozofii, musi mieć umysł wolny od przesądów.“

Ptolomeusz.

ROZDZIAŁ I.

Ogólnie przyjęta teoria zarobku. Jej słabe strony.

Streszczając o ile możności postawione przez nas zagadnienie, śledźmy krok za krokiem wyjaśnienie tego zagadnienia, wyrażone w przyjętych obecnie przez najwyższe powagi zasadach ekonomii politycznej.

Przyczyna, wytwarzająca nędzę nierozłącznie z powiększaniem się bogactwa, jest widocznie ta sama, która, jak to ogólnie uznano, dąży do niżenia płacy robotczej do minimum.

Streśćmy przeto przedmiot badania w ten sposób:

Dla czego pomimo wzrostu siły wytwórczej płaca robotnika dąży do minimum, zapewniającego mu jedynie niezbędne utrzymanie?

Ekonomia polityczna odpowie nam, że płaca robotnika jest określona przez stosunek, zachodzący pomiędzy ilością robotników a wysokością kapitału przeznaczanego na zapłacenie pracy i musi dążyć stale do najniższej normy, za którą robotnicy zgodzą się żyć i wytwarzać, ponieważ wzrost liczby robotników z natury rzeczy podaża a następnie i bierze górę nad wzrostem kapitału. Ponieważ zaś powiększanie się dzielnika zależy tylko od tego

o ile jeszcze otrzymany iloraz jest możliwym, przeto dzielna może wzrastać do nieskończoności bez żadnych ważnych następstw.

Zasada ta jest uznana przez ogół jako pewnik niezbity, podpisali się pod nią najlepsi ekonomiści, a stawione jej zarzuty dotykały raczej jej formy aniżeli treści *). Zasada ta jest założeniem z którego Buckle wyprowadza wnioski uogólniające dzieje ludzkości. Jest ona wygłoszoną prawie na wszystkich uniwersytetach angielskich i amerykańskich, wykładaną we wszystkich niemal dziełach specjalnych, mających na celu oświecić masę co do stosunków życia codziennego; zdaje się ona być zgodną z nowym prądem filozofii, który podbiwszy w przeciągu lat kilku cały świat uczony, przeniknął szybko umysły ogółu.

Doktryna ta, opanowawszy wyżyny ludzkiej myśli, jeszcze silniej w wulgarnej swej formie ugruntowała się w niższych sferach tej myśli. Między innymi to, co wbrew oczywistym niekonsekwencyom i absurdom podtrzymuje uporczywie protekcyonizm w jego błędach, jest właśnie przekonanie, że w każdym społeczeństwie istnieje stały fundusz, przeznaczony na zapłacenie robotnika a rozdrabniany nieustannie przez konkurencyę „pracy zagranicznej.” Na tem też mniemaniu opiera się większa część teoryj, które dążą do obniżenia procentów i zmniejszenia konkurencyi, uważając to za środek powiększenia udziału robotnika w sumie ogólnego bogactwa. To mniemanie przebija się nawet u tych, którzy nie są w stanie wytworzyć sobie własnego poglądu, a dowodem łamy dzienników i rozprawy Ciał Prawodawczych.

A jednak teorya ta, jakkolwiek bardzo rozpowszechniona, nie wydaje mi się być zgodną z faktami oczywistymi. Jeżeli bowiem wysokość płacy roboczej zależy od stosunku pomiędzy ilością robotników szukających zatrudnienia a ilością kapitału przeznaczonego na wynagrodzenie pracy, to względne powiększenie się lub zmniejszenie jednego czynnika musi z konieczności spowodować względny wzrost lub upadek drugiego. A zatem, kapitał zapasowy musi być większym, jeżeli cena pracy jest wyższą i na odwrót obniżenie zapłaty robotnika musi być w związku z zmniejszeniem się kapitału. Lecz kapitał, przeznaczony na zapłacenie pracy roboczej, jest kapitałem, szukającym ciągle sta-

*) Takimi wydają mi się uwagi Thornton'a, który zaprzeczając istnieniu zasobu zarobkowego, t. j. części kapitału przeznaczonej na nabycie pracy, utrzymuje jednak (co jest najważniejszym) że zapłata robotnika ściąga się z kapitału, i że wzrost i upadek kapitału wpływa na jej powiększenie lub zmniejszenie się. Najważniejszym z znanych mi zarzutów stawianych teoryi zasobu zarobkowego jest zdanie profesora Franciszka Walkera zawarte w dziele „Kwestya płacy roboczej. New-York 1867;“ on jednak również uważa, że płaca robotnika w znacznej części pochodzi z kapitału—zresztą przyjmuje w zupełności teoryę Malthusa. Praktyczne więc jego wnioski w niczem się nie różnią od zdania wyznawców ogólnie przyjętej teoryi.

tego umieszczenia: ogólna przeto wysokość stopy procentowej może być miarą jego większej lub mniejszej ilości. Jeżeli więc jest prawdą, że norma płacy roboczej zależy od stosunku pomiędzy ilością robotników żądających pracy i kapitałem przeznaczonym do zapłacenia tejże pracy, to większa cena pracy (która jest dowodem stosunkowo małej ilości robotników) powinna pociągać za sobą niską stopę procentową (co będzie znów dowodem zwiększenia się zapasowego kapitału) i naodwrot skąpa zapłata robotnika powinna spólistnieć z podwyższeniem stopy procentowej.

W rzeczywistości jednak dzieje się wprost przeciwnie. Jeżeli od procentu odtrącimy ten jego czynnik, który stanowi wynagrodzenie za ryzyko, i zwrócimy uwagę na odsetek właściwy czyli na wynagrodzenie za użytkowanie z kapitału, czyż nie rzuca nam się w oczy, że gdy procent jest wyższy, wtedy i cena robotnika jest większą i na odwrot, gdy procent się zniża, wtedy i cena robotnika spada? Czyż nie jest rzeczą ogólnie znaną, że do tych samych krajów emigrują robotnicy w poszukiwaniu wyższej zapłaty i płynie kapitał cheiwy większych zysków? Czy nie jest prawdą, że ogólne podniesienie lub zniżenie płacy roboczej pociąga za sobą wzrost lub upadek stopy procentowej. W Kalifornii np. stopa procentu i płaca robocza doszły równocześnie do najwyższej możliwie normy, a potem upadły obie równocześnie. Gdy wysokość płacy roboczej wynosiła 5 dolarów dziennie, bank płacił 24^o/_o, dzisiaj zaś, gdy przeciętny robotnik pobiera tam około 2 lub 2¹/₂ dolarów, bank płaci 10—12^o/_o.

Jest jeszcze jeden fakt zbyt jaskrawy i zbyt powszechny, by można było dziś o nim przemilczeć, a mianowicie, że w krajach nowo zamieszkałych zapłata robotnika jest wyższą, pomimo mniejszego zapasu kapitału; a naodwrot dużo niższą w krajach dawniej zaludnionych, którym nie zbywa na kapitałach zapasowych. Zwolennicy teorii kapitalistycznej wspominają o tym fakcie lubo nader pobieżnie, a już sam sposób w jaki się odzywają dowodzi, że fakt ten zadaje kłam ogólnie przyjętej teorii zarobku. Tacy pisarze jak Mill, Fawcett, Price i inni nadmieniając o tem stają na chwilę w sprzeczności z teorią zarobku, na którą zkadniają w tycheż samych dziełach zgadzają się w zupełności. Jakkolwiek przyznają, że wartość zarobku zależy od stosunku kapitału do pracy, tłumaczą jednak wyższą cenę robotnika w nowych społeczeństwach większem stasunkowo wytwarzaniem bogactw. Postaram się dowieść później, że tak nie jest i że przeciwnie większa jest wytworzość wśród dawniejszych i gęściej zaludnionych społeczeństw niż wśród nowszych, które mniej są zaludnione. Na teraz jednak ograniczę się wykazaniem sprzeczności pomiędzy dowodzeniami ostatnimi i uprzednimi: gdyż utrzymywać, jakoby wyższy zarobek był spowodowany w nowych społeczeństwach wzrostem wytworzości — znaczy to twierdzić, że cena płacy roboczej zależy od jej stosunku do wytworzości, a nie do kapitału.

Jakkolwiek ogół wymienionych pisarzy zdaje się nie dostrzegać tej sprzeczności, wykazał ją jeden z najlogiczniejszych wyznawców teorii kapitalistycznej, profesor Cairnes. Usiłował on nader zrećnie pogodzić rzeczywistość z teorią, dowodząc, że w nowych społeczeństwach, w których przeważnem zadaniem przemysłu jest wytwarzanie środków żywności i tak zwanych surowych materyałów, większa ilość kapitału jest obróconą na nabycie pracy, aniżeli w starych społeczeństwach, gdzie duża część kapitału zużytą zostaje na kupno maszyn i materyałów. W nowych przeto społeczeństwach, chociaż kapitału jest mało (i procenta są wysokie) ilość przeznaczona na nabycie pracy jest w rzeczywistości większą, a więc i cena zarobku wyższą. Objasnimy to na przykładzie. Z sumy 100,000 dolarów, włożonych do przemysłu starego społeczeństwa, należy wydać 80,000 dolarów na wzniesienie budynków, dostarczenie maszyn i kupno materyałów, na zapłacenie przeto robotnika zostaje 20,000 dolarów; gdy przeciwnie, w nowem społeczeństwie z 30,000 dol. włożonych w rolnictwo, zaledwie 5,000 dol. kosztują narzędzia rolnicze i t. d., reszta to jest 25,000 dol. stanowi zapłatę pracujących. W ten sposób daje się wytłómaczyć, dla czego pomimo braku kapitału w ogóle, zasób zarobkowy jest większy i dla czego wysoka płaca robocza współistnieje z wysokim procentem.

Postaram się wykazać następnie, że i to objaśnienie jest oparte na zupełnem niezrozumieniu stosunku kapitału do pracy, że błąd leży w samym pojęciu źródła, z którego czerpią się zarobki; na teraz powiem tylko, że związek, zachodzący w tychże samych krajach i w tychże samych gałęziach przemysłu, pomiędzy fluktuacyami zarobku i fluktuacyami procentów w ten sposób wytłómaczonym być nie może. Podczas tak zwanych „dobrych czasów” powstaje gwałtowne poszukiwanie pracy i wyższa płaca robocza, którym towarzyszy poszukiwanie kapitałów i również gwałtowne domaganie się wyższej stopy procentu. Podczas „ciężkich czasów,” gdy robotnicy nie mogą znaleźć roboty i zarobki obniżają się, natychmiast spostrzegamy ogromną ilość kapitału poszukującego umieszczenia na bardzo niskich procentach *). Cechą obecnie istniejącego ucisku przemysłowego jest zarówno brak pracy i nędza klas roboczych jak i nagromadzenie we wszystkich ogniskach handlowych kapitałów martwych i niska stopa procentu przy pewnej lokacyi kapitału. Widzimy przeto wysoką cenę zarobku wobec wysokich procentów, małe procenta i nędzną płacę robotnika, pozorny brak kapitału wobec niedostatku robotników, i nagromadzenie kapitałów w połączeniu z dużą ilością robotników w warunkach, niedających się wytłómaczyć zgodnie z teoryami ekonomii politycznej.

*) Podczas kryzysu przemysłowego stopa dyskontowa zawsze jest większą, nie dowodzi to jednak podwyższenia stopy procentu, lecz tylko podwyższenia asekuracyjnej premii w skutek zwiększającego się ryzyka.

Wszystkie te dobrze znane a współcześnie istniejące fakty kazały nam wierzyć, że musi zachodzić jakiś stosunek pomiędzy zarobkiem i procentem, lecz stosunek prosty a nie odwrotny. Rzeczywistość przeczy stanowczo temu, żeby wysokość zarobku zależała od stosunku pracy do kapitału w ogólności, lub do jakiegokolwiek części kapitału w szczególności.

Zachodzi teraz pytanie, jak mogła powstać podobna teoria? Jakim sposobem mogła ona być przyjętą przez całe pokolenie ekonomistów od czasów Adama Smith'a do dnia dzisiejszego?

Rozpatrując bliżej, czem ekonomia polityczna udawadnia swoją teorię zarobku, widzimy odrazu, że nie uogólnia ona faktów życiowych, lecz wyprowadza wnioski z zasady z góry przyjętej, iż płaca robotnika jest zaspokajaną z kapitału. Z tej zasady, że kapitał jest źródłem zarobku, koniecznie wynikać musi wyżej wzmiankowana teoria, jakoby ogólna suma plac robotniczych zależała od ilości kapitału, przeznaczonego na nabycie pracy, a zatem, jakoby zarobek każdej jednostki pracującej zależał od stosunku ilości robotników do wysokości kapitału, przeznaczonego na wynagrodzenie pracy *). Rozumowanie to jest logicznem, lecz wyniki jego nie zgadzają się z rzeczywistością. Rozważmy przeto, czy błąd nie leży w samym założeniu.

Nie przestrasza mnie to bynajmniej, że zasada, jakoby źródłem zarobków był kapitał narodowy, jest niejako podstawą nauk ekonomicznych, że została ona uznana jako pewnik przez wielkich myślicieli, którzy swe umysłowe zdolności poświęcili badaniu nauki. Niemniej przeto mniemam, że twierdzenie to jest błędem zasadniczym, obfitem źródłem długiego szeregu błędów, które w praktyce do fałszywych doprowadzały kroków.

Chciałbym udowodnić moje przekonanie. Powiniennem rzecz przedstawić jasno i logicznie, bo niepodobna obalić w kilku słowach twierdzenia, mającego tyle pozornego prawdopodobieństwa, na którym opiera się tyle ważnych rozumowań, uznanych przez tyle powag naukowych.

Postaram się wykazać że:

*Zarobek pokrywa się nie z kapitału lecz z owocu pracy, za którą pobiera się zapłatę **).*

*) Culloch powiada „Część kapitału lub bogactwa narodowego przeznaczona na nabycie pracy nie jest stałą, podnosi się ona lub spada. Lecz bez względu na jej ilość jest ona jedynym źródłem, służącym do zapłacenia robotników. Po za nią robotnik nie dostaje ani szyllinga. Z tego twierdzenia wynika, że stosunek zachodzący pomiędzy średnią wysokością zarobku w ogóle, t. j. częścią bogactwa narodowego przeznaczoną na wynagrodzenie robotników, a przeciętną zapłatą każdej jednostki, zależy od stosunku zasobu zarobkowego do ilości tych, pomiędzy których on ma być rozdzielonym. Podobne zdania napotyamy w dziełach wszystkich ekonomistów tego kierunku.

**) Mówię tu jedynie o pracy wytwórczej aby ograniczyć i uprościć badanie.

Wbrew więc bieżącej teorii, podług której zarobek pokrywa się z kapitałem, utrzymujemy, że kapitał pokrywa się z produkcją. Wydaje się to na pierwszy rzut oka rzeczą błahą, prostą zmianą terminologii, rozprawiać o której, jestto powiększać ilość bezwartościowych rozpraw, które czynią jałowem to, co dotąd w przedmiocie ekonomii politycznej napisaniem było. Będziemy musieli to jednak przyznać, że chodzi tu nietylko o formalną subtelnosć, jeżeli zauważymy, że różnice między dwiema temi zasadami służą za grunt wszystkim teoryom o stosunku kapitału do pracy; że zdąd powstają wnioski, które uznane jako pewniki, krępują i posuwają w pewnym kierunku najzdolniejsze umysły w rozpatrywaniu najważniejszych stosunków życiowych. Albowiem z przypuszczenia, jakoby kapitał a nie wytwór pracy był źródłem zarobku, wypływają zasady: że wysokość zarobku zależy od stosunku kapitału do pracy, że wzrost kapitału wpływa na wzrost przemysłu; że musi istnieć zapasowy kapitał na nabycie pracy zanim praca do działania przystąpi, że wzrost kapitału rozwija lub jest w stanie rozwinąć nową gałęź przemysłu, że zamiana kapitału obrotowego na kapitał stały zmniejsza ilość zasobu zarobkowego; że przy niskiej płacy roboczej więcej robotników może otrzymać zajęcie, że kapitał, użyty do rolnictwa, może zapewnić utrzymanie większej liczbie robotników niż kapitał włożony w przemysł; że wysokość zysku jest w odwrotnym stosunku do wysokości zarobku i zależy od kosztów utrzymania robotnika; a wreszcie i paradoksy w rodzaju tego, że popyt na towar nie jest popytem na pracę, lub że kosztą otrzymania niektórych towarów mają się zwiększać w skutek zmniejszenia płacy roboczej, lub zmniejszać w razie podwyższenia zarobku.

Słowem, cała nauka ekonomii politycznej w najszerszym zakresie opiera się wprost lub pośrednio na tem twierdzeniu, że praca jest nabytą i wypłaconą z przeznaczonego na ten cel kapitału, zanim jeszcze zostanie ukończonym wytwór tejże pracy. Jeżeli potrafimy dowieść, że zasada ta jest błędną, i że przeciwnie, nabycie i wynagrodzenie pracy nie ciąży nawet czasowo na kapitale lecz zostaje zaspokojonem bezpośrednio z wytworu pracy, cały ten gmach rozumowań, pozbawiony podstawy, runąć musi, a zarazem upadnie mnóstwo przesądów ogółu, również pochodzących z przekonania, że zasób zarobkowy jest stałym i że wzrost ludności roboczej wpływa na zmniejszenie zarobku jednostki pracującej.

Różnica pomiędzy teorią powszechnie uznaną, a tą którą podałem powyżej, jest mniej więcej taka, jaka zachodziła między teorią merkantylistyczną międzynarodowej wymiany a zasadami, które na jej miejsce podstawił Adam Smith. Wydawać się może, że żadna istotna różnica nie zachodzi pomiędzy twierdzeniem, że handel jest zamianą towarów na pieniądze a pojęciem, że jest on wymianą towaru na towar, jeżeli przypomnimy sobie, że stronnicy teorii merkantylistycznej nie przypuszczali, aby pienią-

dze mogły mieć inne zastosowanie jak tylko nabycie towaru. A jednak w praktycznym zastosowaniu obu tych teoryj powstaje ogromna różnica zachodząca między systematem (opiekuńczym) protekcyjnym a systematem wolnego handlu.

Jeżeli to, co powiedziałem powyżej, wystarczy na przeświadczenie czytelnika o ważności wniosków, które mam zamiar wykonać, nie będę go nadal przepraszał za niewykwintność stylu ani za rozwlekłość w rozumowaniu. Należy być logicznym i wszechstronnie badać rzeczy, oskarżając o błędność zasadę tak ważną, przyjętą przez tyle powag naukowych.

Gdyby nie ta okoliczność, chętniebym jednym słowem unicestwił mniemanie, jakoby źródłem zarobku miał być kapitał. A przyszłoby mi to tem łatwiej, że gmach cały wzniesiony przez ekonomię polityczną na tej podstawie, opiera się na przypuszczeniu powziętem z góry bez najmniejszego usiłowania odróżnienia prawdopodobieństwa od prawdy rzeczywistej. Ponieważ zarobek bywa wypłacany pieniędzmi i częstokroć wcześniej niż wytwór pracy zostanie ukończonym, lub przygotowanym do zużycia, wywnioskowano więc, że płaca robotnika bywa uiszczaną z zapasowego kapitału a zatem, że przemysł bywa ograniczonym przez kapitał czyli innemi słowy, że praca bywa nabytą wtedy dopiero, gdy zostanie nagromadzoną odpowiednią ilość kapitału.

A jednak u tych samych autorów, którzy twierdzą bez żadnych zastrzeżeń, że kapitał ogranicza przemysł i którzy na podstawie tego twierdzenia zbudowali nader sztuczne teorie, znajdujemy zdanie, że kapitał jest nagromadzoną i oszczędzoną pracą „częścią bogactwa narodowego przeznaczoną na poparcie dalszego wytwarzania.“

Jeżeli zamiast wyrazu „kapitał” użyjemy powyższego określenia, twierdzenie to upada samo przez się; niedorzecznością jest bowiem sądzić, jakoby praca nie mogła być nabytą, dokąd jej owoc nie jest wytworzonym.

Gdybyśmy jednak chcieli postawić owo „*reductio ad absurdum*” jako argument ostateczny, niechybnie otrzymalibyśmy odpowiedź, że Opatrzność dostarczyła pierwotnym robotnikom kapitału potrzebnego do pracy, i że twierdzenie powyższe odnosi się jedynie do takiego rozwoju społeczeństwa, w którym wytwarzanie stało się procesem więcej złożonym.

Lecz w każdym rozumowaniu ekonomicznem należy przede wszystkim wziąć pod uwagę, że najwięcej rozwinięte społeczeństwo jest tylko wypracowanym obrazem swego pierwowzoru i że prawa, tak widocznie kierujące ludźmi, podczas gdy stosunki społeczne są bardzo pierwotne, nie zmieniają się, lecz tylko ukrywają głębiej wobec stosunków zawilszych, spowodowanych wprowadzeniem podziału pracy i zastosowaniem skomplikowanych narzędzi i złożonej techniki. Zarówno sztucznie urządzone młyn parowy, jak i starożytnie żarna są narzędziami do mielenia

zboża. Każdy pracujący w młynie dozorca, palacz, czy buchalter wydatkuje swą pracę w tym samym celu, co przedhistoryczni barbarzyńcy obracający żarna—jedni i drudzy przygotowują ziarno do pożywienia.

Rozpatrując bliżej wszystkie złożone czynności współczesnego wytwarzania, zobaczymy, że praca każdej jednostki przyjmującej udział w tej nieskończonej i rozdrobnionej sieci, nie różni się w zasadzie w niczem od pracy pierwotnego człowieka, który wdrapuje się na drzewa dla zrywania owoców lub, korzystając z odpływu morza, zbiera zapas skorupiaków; celem tych trudów jest zawsze zużytkowanie sił lub darów przyrody dla zaspokojenia potrzeb naszych.

Zapatrując się przeto na ogólne wytwarzanie jako na wspólną pracę wszystkich członków społeczeństwa w celu zaspokojenia potrzeb jednostki, dojdziemy do wniosku, że wynagrodzenie, jakie każdy pobiera za swoje trudy, pochodzi od natury również bezpośrednio, jak wynagrodzenie pracy pierwotnego człowieka.

Objasnimy to na przykładzie: W najprostszym ustroju społecznym każdy człowiek łowi ryby na własną potrzebę i kopie robaki na przynętę. Skoro tylko uwidocznia się korzyści podziału pracy, jeden szuka przynęty, drugi idzie z wędką na ryby, a jednak obydwaj w równej mierze poświęcają swoje trudy rybołóstwu. Gdy ludzie ci poznają użytek czołna, nie wszyscy idą na poszukiwanie ryb, jeden zostaje w domu, buduje lub naprawia łódzie, niemniej przecież od rzeczywistych rybaków zajmuje się rybołóstwem, i ryba, którą spożywa wieczorem po powrocie towarzyszy, jest w samej rzeczy wytworem jego pracy. Gdy podział pracy zostanie już ustalonym, ludzie zaprzestają bezpośrednio uciekać się do przyrody dla zaspakajania wszystkich swych potrzeb. Jeden łowi ryby, drugi poluje, trzeci zbiera jagody lub owoce, inni znowu robią narzędzia, budują chaty, szyją odzież, a każdy z nich, o ile wymienia bezpośredni wytwór swej pracy na wytwór bezpośredniej pracy innych, istotnie zużytkowuje swą pracę na wytworzenie potrzebnych mu przedmiotów, zaspakaja swe osobiste potrzeby kosztem swych osobistych usiłowań, czyli innymi słowy, sam wytwarza to, co zużywa. Jeżeli wykopane przez siebie korzonki jadalne zamieni na zwierzynę, jest on istotnie zdobywcą zwierzyny, jak gdyby sam chodził na łowy jelenia, a zostawił myśliwego przy wyszukiwaniu korzonków. Utarte wyrażenie „zrobiłem tyle a tyle,” które znaczy: „zarobiłem tyle a tyle” lub „zarobiłem pieniądze, za które nabyłem to i to” jest prawdziwem w języku ekonomicznym nie tylko w przenośni, lecz dosłownie. Zarabiać—znaczy wytwarzać.

Jeżeli teraz tę zasadę dość widoczną w pierwotnym ustroju społecznym, zastosujemy do zawitych urządzeń społeczeństwa, zwanego przez nas ucywilizowanym, jasno widzimy, że skoro tylko praca jest wymieniana na towary, wytwarzanie zawsze poprzedza zużytkowanie; że płaca robocza jest zarobkiem czyli wy-

tworem pracy, a nie zaliczką z kapitału zapasowego, i że robotnik, otrzymujący przed rozpoczęciem swej pracy zapłatę monetą brzęczącą lub papierową otrzymuje w zamian za powiększenie ogólnego zasobu bogactwa narodowego weksel wystawiony przez ten zasób, weksel, który wolno mu jest zamienić na rodzaj bogactwa najodpowiedniejszego dla zaspokojenia swoich potrzeb, i że ani pieniądze, będące wekslem jedynie, ani rodzaj bogactwa nabyty za nie, nie stanowią zaliczki z kapitału przeznaczonego na jego utrzymanie, lecz że przeciwnie zawierają one w sobie tę część bogactwa, którą on własną pracą przysporzył do ogólnego zasobu.

Zgodziwszy się na poprzednie rozumowanie, widzimy, że rysownik, który w jednym z zakopcanych biur londyńskich, rysuje plan nowej maszyny dla parowego statku, jest zupełnie tak samo zajęty wytwarzaniem chleba i mięsa, jakgdyby własną ręką zsypywał zboże do spichlerzy kalifornijskich, lub ścięgał zwierza w pampasach La Platy; że również dobrze wytwarza on w ten sposób odzież swoją, jakgdyby strzygł owce w Australii, lub tkał sukno w fabrykach Paisley, a wino, które pije przy obiedzie, jest zarówno wytworem jego pracy, jakgdyby sam uprawiał wino na brzegach Garonny. Dzięki tym tysiącnym przemianom górnik, który w głębokości dwóch tysięcy stóp pod ziemią wydobywa rudę srebrną z wnętrza gór Comstocku, jednocześnie dzięki tysiącnym wymianom, żnie zboże w dolinach położonych o pięć tysięcy stóp bliżej środka ziemi, poluje na wieloryby wśród lodów Oceanu Północnego, zbiera liście tytoniu w Wirginii, lub ziarnka kawy w Honduras, ścina trzcinę cukrową na wyspie Jawie, uprawia bawełnę w Georgii, lub przerabia ją na materiał w Manchesterze, wyrabia delikatne drewniane zabawki ku uciesze swych dzieci w Górach Kruszcowych, lub w uroczych ogrodach Los Angeles zrywa pomarańcze, które zanieśie chorej żonie po ukończeniu swej pracy.

Czyż zapłata, którą otrzymuje w Sobotę wieczór, wychodząc z kopalni, nie świadczy przed całym światem, że on rzeczywiście te przedmioty wytworzył—gdyż liczne przemiany dozwoliły rzeczywistej jego pracy przybierać różnorodną postać? Z tego stanowiska wszystko wydaje nam się jasnym, a jednak aby uniknąć błędu cychającego na nas z każdej kryjówki, musimy zmienić sposób badania i przyjąć metodę dowodową (indukcyjną) w miejsce dedukcyjnej (wywodowej). Zobaczmy, czy, zaczynając od faktów spostrzeganych w życiu i wykazując ich wzajemny stosunek, dojdziemy do tych samych wniosków, które nam się zdają tak niewątpliwymi, gdy wychodzimy z zasady ogólnej i dowodzimy jej prawdziwości na faktach złożonych.

ROZDZIAŁ II

Określenie nazw ekonomicznych.

Zanim pójdziemy dalej, muszę przedewszystkiem wytlómaczyć znaczenie nazw, gdyż z niejasnego ich zrozumienia wynika nieraz dwuznaczne i zawile rozumowanie. Nietylko bowiem w dziele ekonomicznem potrzeba nadać wyrazom takim, jak: „bogactwo, kapitał, dochód gruntowy, zarobek” ściślejsze znaczenie, niż to, które one mają w mowie potocznej, lecz jeszcze niektóre z tych nazw nie mają w nauce ścisłego i ogólnie przyjętego określenia, a nadto zdarza się często pisarzom używać tejże samej nazwy w różnym znaczeniu. Nic nie jest w stanie wykazać tak dokładnie ważności używania jasnych i dokładnych określeń, jak często przytrafiający się dowód, że ci sami pisarze, którzy wykazywali, zło u innych—popełniali z tej samej przyczyny ważne błędy tego rodzaju. Co zaś do potrzeby wydoskonalenia ekonomicznego języka dość nadmienić, że znakomici zkądinąd pisarze dochodzili do ważnych bardzo a fałszywych wniosków, używając tego samego pojęcia w różnym znaczeniu. Postaram się uniknąć, tego niebezpieczeństwa, nadając nazwom ekonomicznym stałe znaczenie i ściśle stosując się doń w rozumowaniu. Proszę czytelnika o zwrócenie bacznej uwagi na podane przezemnie orzeczenia i o spamiętanie ich, inaczej nie będę miał rękojmi, że mnie należycie zrozumiano. Nie będę nadawał dowolnego znaczenia wyrazom, ani tworzył nowych, choćby mi to było dogodnem, postaram się zastosować o ile możności do nazw ogólnie przyjętych, usiłując jedynie określić znaczenie ich w sposób, wyrażający jasno myśl moją.

W badaniu naszym przedewszystkiem chodzi o to, czy rzeczywiście zarobek wynika z kapitału. Jako punkta przedwstępne określmymy naprzód, co rozumiemy pod tymi wyrazami „zarobek” i „kapitał.” Pierwsze z tych wyrażen znalazło dość jasne określenie w dziełach pisarzy ekonomistów, lecz dwuznaczne często używanie drugiego wymaga szczegółowego objaśnienia.

W mowie potocznej „zarobek” oznacza wynagrodzenie za usług osoby najętej; mówimy o człowieku „pracującym dla zarobku” w przeciwstawieniu do człowieka „pracującego dla siebie.” Znaczenie wyrazu tego jeszcze się zacieśnia, gdyż zazwyczaj oznacza on wyłącznie wynagrodzenie za pracę fizyczną. Nie mówimy o zarobkach pisarzy, dyrektorów, księży, mówimy o ich posadach, honoraryach, pensjach. W pospolitem przeto znaczeniu wyraz „zarobek” znaczy najemne wynagrodzenie za pracę fizyczną.

W nauce jednak wyraz ten ma daleko szersze znaczenie, obejmuje bowiem wynagrodzenie każdego usiłowania. Według teorii ekonomicznej istnieją trzy czynniki wytwarzania: ziemia, praca i kapitał, a dochód, pobierany od drugiego z tych czynników, nosi nazwę zarobku.

Ponieważ wyraz „praca” obejmuje sumę usiłowań ludzkich, podjętych w celu wytworzenia bogactwa, przeto zarobek, jako dochód z pracy oznacza wynagrodzenie za tego rodzaju usiłowania. W ekonomicznym przeto znaczeniu wyrazu, przez zarobek pojmujemy się wynagrodzenie za pracę, bez względu na jej rodzaj i bez względu na to, czy z rąk pracodawcy się ją otrzymuje; jest ona wynagrodzeniem za pracę w odróżnieniu od wynagrodzenia za użytkowanie z kapitału i od wynagrodzenia, które właściciel gruntu z ziemi pobiera. Wytwory rolnictwa są zarobkiem człowieka, który sam dla siebie uprawia ziemię i który jednocześnie, o ile własną ziemię przy pomocy własnego kapitału obrabia, otrzymuje przytem procent i rentę; zarobek myśliwego stanowi zabita przezeń zwierzyna; zarobkiem rybaka będą ryby, które złowił. Kruszec, który wynajdzie pracujący dla siebie poszukiwacz złota, będzie dlań takim zarobkiem, jak dla robotnika najętego do kopalni węgla pieniądze wypłacone mu przez nabywcę jego pracy *). Adam Smith wykazuje, że dochód kupca prowadzącego handel drobiazgowy, jest w znacznej części zarobkiem, t. j. wynagrodzeniem za pracę a nie za kapitał włożony. Słowem, co tylko jest skutkiem pracy lub jej wynagrodzeniem, nosi nazwę „zarobku.”

Oto wszystko, co miałem powiedzieć na teraz o zarobkach, niemniej należy to mieć na uwadze, gdyż w dziełach wzorowych ekonomistów określenie nie zawsze bywa dość jasne a często przemilczane zupełnie.

Trudniej znacznie określić naukowe pojęcie „kapitału” i oczyścić je z naleciałości dwuznacznych, które zaciemniają jego znaczenie. W mowie potocznej, wszystko, co ma pewną wartość lub przynosi dochód nazywa się kapitałem, ekonomiści zaś różnią się z sobą tak dalece w tym względzie, że możnaby prawie powiedzieć, iż wyraz ten nie posiada stałego określenia. Porównajmy więc określenia kilku znakomitych ekonomistów:

„Ta część zasobu człowieka,” mówi Adam Smith (Księga II Rozd. I), „która mu przynosi pewien dochód, stanowi jego kapitał; kapitałem zaś całego kraju lub społeczeństwa są: 1) maszyny i narzędzia przemysłowe, które ułatwiają i skracają pracę; 2) budynki nietylko prywatne ale i te, które służą dla przemysłu np. sklepy, zabudowania gospodarskie; 3) sposoby użytkowania gruntu, sprzyjające rozwojowi rolnictwa i uprawiania ziemi

*) Było to powszechnie przyjętem w Kalifornii, gdzie poszukiwacze złota nazywali wydobyty metal „zarobkiem” i mówili o wysokich lub niskich „zarobkach,” stosownie do ilości otrzymanego złota.

w ogóle; 4) zasób wiedzy teoretycznej i praktycznej wszystkich mieszkańców; 5) pieniądze; 6) wytwory znajdujące się w rękę wytwórców a przeznaczone na sprzedaż; 7) surowy materiał, znajdujący się w rękę wytwórców lub kupców; 8) wykończone wytwory pracy, które są jeszcze w posiadaniu wytwórców lub handlujących. Cztery pierwsze działy stanowią kapitał stały, pozostałe cztery są kapitałem obiegowym.“ Różnicy tej jednak w naszym rozumowaniu nie potrzebujemy uwzględniać.

Określenie Ricarda jest następujące:

„Kapitał—to część bogactwa krajowego, użyta w celach wytwórczych, składająca się z pożywienia, odzieży, narzędzi, maszyn, materiałów surowych i t. p. przedmiotów koniecznych dla podtrzymania pracy.“

Określenie to różni się wielce od określenia Adama Smitha: wyłącza bowiem wiele rzeczy objętych w tamtem np. wiedzę umysłową, przedmioty zbytku lub ozdoby, będące w rękę wytwórców lub kupców i naodwrot zawiera wiele wytworów nieobjętych w pierwszym określeniu, np. odzież, pożywienie i t. d. posiadane przez spożywców.

Mac Culloch określa kapitał w ten sposób:

„Kapitałem pewnego narodu jest ta część wytworów przemysłu, która może być użytą bezpośrednio dla rozwoju przemysłu lub ułatwienia warunków życia ludzkiego“ (Uwagi nad Bogactwem Narodów. Księga II. Rozdz. I). To określenie zgodne z dowodzeniem Ricarda jest nieco szersze. Wyłączając to wszystko, co się nie nadaje do przemysłu, obejmuje ono wszelkie żywioly zdolne ku temu, bez względu na to, czy są w ten sposób zużytkowane lub nie i czy zachodzi potrzeba zużytkowania ich w tymże celu; a zatem według Mac Culloch'a koń zaprzęgnięty do bogatej karety jest kapitałem niemniej od konia roboczego, ciągnącego pług po roli, gdyż ten pierwszy w danym razie może być użytym do pługa.

John Stuart Mill powiada:

„W wytwarzaniu kapitał gra tę rolę, iż dostarcza schronienia, ochrony, narzędzi do pracy i materiałów potrzebnych do wytwarzania, nareszcie pokarmu i utrzymania robotników podczas pracy“ (Księga I. Rozdz. IV).

Godząc się w ogólnych zarysach na zdania Ricarda i Mac Culloch'a, wzmiankowany wyżej autor zaznacza tę tylko różnicę, że kapitałem jest nie to, co może wyświadczyć usługę pracy, lecz to, co zostało w tym celu użyte.

Przytoczone powyżej zdania wystarczą dla wykazania niezgody pomiędzy autorami. To rozdwojenie jest jeszcze widoczniejszym pomiędzy pisarzami niższego rzędu, na dowód czego podaję parę przykładów:

Profesor Wayland, którego „Zasady Ekonomii politycznej“ były przez czas długi ulubionym podręcznikiem w amerykańskich zakładach naukowych, podaje to świetne określenie:

„Wyraz kapitał może być użyty w dwojakim znaczeniu. W zastosowaniu do wytwarzania, oznacza każdą rzecz mogącą być użytą do przemysłu. W zastosowaniu do przemysłu oznacza on materiał, któremu przemysł nadaje wartość, narzędzia potrzebne do nadania tejże wartości oraz środki utrzymania robotnika zajętego pracą“ (Zasady Ekonomii polit. Ks. I. Rozdz. I).

Amerykański profesor Henryk Carey, apostoł systemu protekcyjnego (opiekuńczego), określa kapitał jako „możność opanowania przyrody przez człowieka, przy pomocy sił jego umysłowych i fizycznych.“ Profesor Perry, kupiec ze stanu Massachusetts, zarzuca słusznie, że powyższe określenie zaciera bez śladu granicę między pojęciem kapitału i pracy; sam zaś nie potrafił odróżnić czynnika pracy od ziemi, twierdząc, że „kapitałem jest każda rzecz, mająca wartość i mogąca przynieść zysk lub dochód pieniężny.“ Znany pisarz angielski Thornton rozpoczynając pracowite dzieło swoje o stosunku pracy do kapitału („O pracy“) zapowiada, że będzie uważał za jedno pracę i ziemię; twierdzenie to jest wielce podobnem do tego, jakgdyby ktoś mający zamiar uczyć nas algebry, oświadczył, że będzie uważał znaki plus i minus jako oznaczające jedno pojęcie i mające tę samą wartość. Niemniej znany amerykański pisarz Franciszek Walker wygłasza to samo zdanie w swojej „Kwestyi Zarobku.“ Inny autor angielski N. A. Nicholson (Nauka wymiany Londyn 1873) dopełnia niejako miary nedorzecznosci, twierdząc (stron. 26) że „kapitał musi być nagromadzonym przez zaoszczędzenie,“ w następnym zaś rozdziale czytamy: „kapitałem jest zarówno ziemia wydająca zboże, pług ciągniony po roli, praca wytwórcza jak i wytwór tejże pracy, jeżeli z zużycia tegoż wynika korzyść pieniężna.“ Nigdzie jednak nie raczy on nam wytłómaczyć, w jaki sposób nagromadzić ziemię i pracę przez zaoszczędzenie. Podobne zasady spotykamy w dziele znakomitego ekonomisty amerykańskiego Amasisa Walker (Nauka Bogactwa str. 66), który, powiedziawszy na wstępie, że kapitał powstaje jedynie z zaoszczędzenia pracy, twierdzi następnie, że ziemia jest kapitałem.

Mógłbym tak do nieskończoności wyliczać określenia sprzeczne z innemi i sprzeczne same w sobie, niechęć jednak nadużywać cierpliwości czytelnika, gdyż przytoczenie większej ilości wyciągów z dzieł ekonomistów nie doprowadzi nas do niczego. Te, które podaliśmy wyżej, wykażą dość jasno, jak wielka zachodzi różnica w pojmowaniu wyrazu „kapitał.“ Kto życzy sobie zbadać dokładniej „ten iście przeklęty odmet,“ panujący w kwestyi kapitału pomiędzy mistrzami ekonomii politycznej, niech przejrzy półki księgarskie, zapelnione utworami tychże pisarzy.

Zresztą mniejsza o to, jaką nazwę nadamy rzeczom, bylebyśmy używając wyrazu mieli zawsze na myśli tę samą rzecz a nie inną. Trudność rozumowania ekonomicznego przy tak różnorodnych i niejasnych określeniach kapitału polega na tem,

że pisarze trzymają się ściśle przyjętego określenia jedynie w założeniu rozumowania swego, a następnie w wyprowadzonych wnioskach wracają do ogólnikowego pojęcia kapitału.

Mówiąc np. że zarobek wynika z kapitału, uważamy kapitał jako coś odrębnego od dwóch innych czynników wytwarzania: ziemi, pracy, a także i od tej części bogactwa, która jest użytą na wynagrodzenia, słowem bierzemy go tu w znaczeniu ogólnem, jak wtedy, gdy mówimy o braku lub wielkiej ilości kapitału, o jego powiększaniu się lub ubywaniu. W rzeczy samej, wielu ma jasne pojęcie kapitału, zanim przystąpi do określenia go, a sądze, że dzieła ekonomistów, różniących się tak dalece w podanych określeniach, wykazują, że prócz w określeniach i opartem na nich rozumowaniu używają oni zawsze wyrazu tego w ogólnie przyjętem znaczeniu.

To ogólnie przyjęte znaczenie jest: że kapitał, to bogactwo przeznaczone do wytwarzania nowego bogactwa. Adam Smith jasno wyraża to pojęcie ogółu, mówiąc: „kapitałem jest ta część zasobu człowieka, która mu przynosi pewien dochód.” Kapitałem przeto społecznym będzie suma takich zasobów prywatnych lub ta część nagromadzonego bogactwa, która może wytworzyć nowe bogactwo. Takie więc będzie pochodne znaczenie wyrazu. Wyraz kapitał, według objaśnień językoznawców, pochodzi z tych czasów, gdy bogactwem było bytło domowe, a dochód człowieka zależał od ilości sztuk utrzymywanych dla powiększenia dobytku. Trudności dokładnego określenia kapitału, rzucają się jeszcze więcej może w oczy w rozprawach polityczno-społecznych niż w określeń autorów i pochodzą z dwóch przyczyn: że pewna grupa rzeczy, których posiadanie jest dla jednostki równoznacznem z posiadaniem kapitału nie stanowi części kapitału społecznego, a powtóre, że jednorodne przedmioty są, lub przestają być kapitałem, stosownie do tego, na jaki użytek przeznaczonemi zostały. Rozpatrzywszy dokładnie obie te przyczyny, nie będzie nam trudno dać jasne i ściśle pojęcie o tem, czem jest wyraz kapitał, użyty w znaczeniu ogólnikowem, pojęcie, które dozwoli nam przeprowadzić granicę między tem, co jest kapitałem, a tem, co nim nie jest i używać tego wyrazu bez popadania w błędy i dwuznaczność.

Ziemia, praca i kapitał—oto trzy czynniki wytwarzania. Kapitał tak pojęty jest przeciwstawieniem ziemi i pracy, a zatem cokolwiekbądź jest objętem przez jedną z tych dwóch nazw nie może być uważanem za kapitał. Wyraz ziemia zawiera w sobie nietylko powierzchnię ziemi w odróżnieniu od wody i powietrza, lecz całą przyrodę, istniejącą na zewnątrz człowieka, gdyż człowiek może zawrzeć stosunki z przyrodą lub użytkować z jej darów jedynie tylko za pośrednictwem ziemi, z której własne jego ciało wzięło początek. Ponieważ pojęcie ziemi obejmuje wszystkie siły i dary natury, przeto nic z tego, co pochodzi wprost od przyrody, nie może być nazwane kapi-

tałem. Żyzne pole, bogata żyła kruszcu, potężny wodospad mogą przynosić właścicielowi korzyści, wyrównyujące posiadaniu kapitału, lecz rzeczy tych nie można uważać jako kapitał, byłoby to zatarciem różnicy między kapitałem i pracą, i pozbawieniem znaczenia obu nazw. Wyraz praca zawiera w sobie całą sumę usiłowań ludzkich, przeto żadne siły człowieka bądź przyrodzone, bądź nabyte, nie mogą być zaliczone do kapitału. W mowie potocznej powiadamy często, że kapitałem człowieka są jego zdolności, wiedza lub wprawa; jestto jednak przenośnia, której należy się wystrzegać w ścisłym i dokładnym rozumowaniu. Rozwój podobnych zalet umysłu i charakteru może powiększyć dochód jednostki podobnie, jak posiadany kapitał, a wzrost ogólnej wiedzy, zdolności i pracowitości społeczeństwa może wywrzeć ten sam wpływ na rozwój wytwarzania, co wzrost kapitału; lecz te skutki zbawienne pochodzić będą ze wzrostu pracy, a nie kapitału. Większa siła rzutu może wywrzeć na szybkość spadania kuli ten sam wpływ, co powiększenie jej wagi, a jednak waga i siła rzutu — to dwie rzeczy odrębne.

Ż pojęcia przeto kapitału należy wykluczyć wszystko to, co jest ziemią lub pracą. Po uskuteczeniu tego rozróżnienia zostanie nam to tylko, co nie jest ani ziemią ani pracą lecz powstało z połączenia obu tych pierwotnych czynników wytwarzania. Cokolwiek w inny sposób powstało, nie może być kapitałem, a zatem wszystko co nie jest bogactwem — nie jest kapitałem.

Lecz często bardzo dwuznaczne pojmowanie wyrazu kapitał pochodzi z dwuznacznego rozumienia wyrazu „bogactwo.”

W mowie potocznej „bogactwem” nazywamy wszystko, co tylko ma wartość zamienną. Lecz w znaczeniu naukowym należałoby ograniczyć to określenie, gdyż wiele rzeczy uważanych jako bogactwo nie jest niemi w istocie, jeżeli zwrócimy uwagę na ogół bogactw t. j. na bogactwo narodowe. Do nich należą: rewersa, listy zastawne, obligi, bilety bankowe i inne tego rodzaju zobowiązania, ułatwiające przejście bogactwa z rąk do rąk; nie są one jednak bogactwem, gdyż ich wzrost lub ubytek w niczem nie zmienia summy bogactwa ogólnego. Do kategorii tej należą i niewolnicy, wartość których przedstawia prawo jednej warstwy do użytkowania na swoją korzyść z zarobków drugiej. Tu należy ziemia i inne siły przyrody, których wartość pochodzi ztąd jedynie, że pewne jednostki mają przyznane sobie wyłączne prawo użytkowania z nich, podczas gdy właściciele są w prawie żądania od nich pewnej części wytworzonych bogactw. Powiększenie ilości rewersów, listów zastawnych, obligów lub biletów bankowych nie wpływa na wzrost bogactwa kraju, którego członkami są zarówno wierzyciele jak i dłużnicy. Wzięcie w niewolę pewnej części mieszkańców nie może podnieść bogactwa narodowego, bo korzyść otrzymana przez ujarzmiających zuboży ujarzmio-

nych. Podniesienie wartości gruntu nie przyczynia się również do wzrostu ogółu bogactw, bo co zyskają właściciele na wyższych cenach, to tracą nabywcy lub dzierżawcy. Względne te bogactwa, uważane przez prawodawstwo i prawa za równoznaczne z bogactwem rzeczywistym, mogłyby być zniwieczone jednym pociągnięciem pióra. Dość jednej uchwały panującego, by znieść olbrzymie długi państwowe, uwolnić niewolników, oddać kraj we wspólne posiadanie ludu, a bogactwo narodu w niczemby się nie zmieniło, gdyż co jedni by stracili, drudzyby zyskali. Nie byłoby przeto ubytku bogactwa tak, jak nie było wzrostu jego wtedy, gdy Elżbieta Tudor nadała ulubionym dworakom przywilej monopolu, a Borys Godunow uczynił chłopów rossyjskich rzeczą przykutą do ziemi.

Nie wszystko zatem, co posiada wartość zamienną, może być uważanem jako bogactwo w znaczeniu ekonomicznem, lecz to jedynie, wytwarzanie czego wzbogaca kraj, lub brak czego może go zubożyć. Jeżeli zwrócimy uwagę na istotę tych rzeczy, nie trudno nam będzie określić bogactwo.

Gdy mówimy o wzmagającym się bogactwie jakiego kraju, np. gdy powiadamy, że bogactwo Anglii wzrosło od czasu wstąpienia na tron królowej Wiktoryi, lub że Kalifornia jest bogatszą dzisiaj, niż kiedy była krajem Meksykańskim — nie mamy bynajmniej na myśli, że przybyło ziemi, lub że siły tej ziemi są większe, lub że ludność wzrosła, (mając bowiem na myśli ten ostatni punkt, mówilibyśmy o przyroście ludności), lub że powiększyły się długi i zobowiązania jednych mieszkańców względem drugich; lecz mamy na myśli powiększenie zasobu pewnych przedmiotów, mających wartość bezwzględną, np. budynków, bydła roboczego, maszyn, narzędzi, wytworów rolniczych i górniczych, wyrobów fabrycznych, okrętów, wagonów, sprzętów domowych i t. p. Pomnożenie ilości tych przedmiotów stanowi wzrost bogactwa, ich ubytek wpływa na zmniejszenie się bogactwa, a najzamożniejszym będzie to społeczeństwo, które w stosunku do załudnienia swego posiada najwięcej tych przedmiotów. Wspólną cechą tych przedmiotów jest to, że wytworzone przez przyrodę stały się odpowiednimi do użytku człowieka, dzięki jego pracy, która warunkuje ich wartość.

A zatem w naukowem znaczeniu tego wyrazu, bogactwo składa się z darów przyrody przekształconych przez pracę tak, aby mogły służyć do zaspokojenia potrzeb ludzkich. Czyli innemi słowy—bogactwo jest to wynik pracy ludzkiej działającej w ten sposób na materją, że zmusza ją do spełnienia wymagań człowieka. Bogactwo nie jest jedynym celem pracy wogóle, gdyż pracujemy dla zadowolenia potrzeby pracownika, wynika ono jedynie z tak zwanej pracy wytwórczej t. j. pracy nadającej wartość przedmiotom.

To czego nam dostarcza sama przyroda bez współdziałania pracy nie jest bogactwem, nie jest niém również sama praca na

żaden zewnętrzny przedmiot nie skierowana, gdyż praca, jakęśmy powiedzieli wyżej, wytwarza bogactwo wtedy tylko, gdy z wydatkowania jej otrzymujemy jakieś materialne przedmioty, mogące zaspokoić nasze potrzeby.

A zatem, ponieważ kapitał jest bogactwem, przeznaczonem do pewnego celu, wszystko co tylko nie może być objęte tem określeniem nie może być kapitałem. Jasne zrozumienie tego pojęcia ustrzeże nas od błędów tak pospolitych w rozumowaniu ogółu, i wiodących często na błędne drogi niepospolitych zkądnad myślicieli.

Lecz bez względu na to, że kapitał jest bogactwem, cały ogół bogactwa nie stanowi kapitału. Kapitałem jest jedynie część bogactwa wspierająca pracę wytwórczą. To rozgraniczenie bogactwa, będącego kapitałem, od bogactwa nie stanowiącego kapitału ustrzeże nas znowu od innych niemniej licznych zbocezeń w rozumowaniu.

Błędy wykazane przezemnie, a polegające na nazywaniu bogactwem lub kapitałem rzeczy zupełnie różnych lub mających z pojęciami temi niewielki związek, są nader pospolite. Uzyskały one prawo obywatelstwa nietylko w umysłach ludzi mniej oświeconych, lecz nadto przyjętemi zostały przez większość ludzi, którzy w tak ucywilizowanych krajach jak w Anglii i Stanach Zjednoczonych kierują opinią ogółu i przyjmują czynny udział w kongresach, w posiedzeniach parlamentu i Ciał prawodawczych. Znajdujemy je w rozprawach miernych pisarzy, którzy zarzucają niemi prasę lub zapełniają półki księgarskie traktatami uchodzącymi za specjalne u ludzi nieoświeconych, niezdolnych do wyrobienia sobie własnych przekonań. Niemniej jednak pozostaną one błędnymi ze względu na to, iż nie znajdują poparcia u najlepszych pisarzy ekonomistów. Błąd tego rodzaju, wykazujący jasno niedoskonałość najgłębszych umysłów, napotyamy u Adama Smitha, gdy tenże uważa jako kapitał zalety osobiste człowieka. Mniemanie to jest niezgodnem z podanem przezeń określeniem kapitału „jako części zasobu, mogącej przynieść dochód,” a najznakomitsi jego następcy jak Ricardo, Culloch i Mill nie potrafili ustrzedz się od tegoż błędu. Lecz ani Adam Smith ani powyżej wymienieni pisarze nie popełniają zwykłego błędu polegającego na tem, że za kapitał rzeczywisty przyjmuje się to, co jest tylko względnym kapitałem np. rewersy, dowody długu, cenę gruntu i t. d. Lecz z drugiej strony określenia ich różnią się znacznie między sobą i z określeniem Smitha co do rozgraniczania części bogactwa będącego kapitałem od bogactwa nie będącego kapitałem. Według Smitha np. sklep jubilera jest kapitałem a pożywienie robotnika, lub odzież jego nie może być uważanem jako kapitał. Co się zaś tyczy poglądów Ricard'a, Culloch'a jak również i Milla, o ile te ostatnie przez ogół zrozumiane zostały, pieniądze włożone w sklep złotnika nie są kapitałem. Lecz tak jak Mill sam objaśnia swo-

je określenie, kapitałem jest każda rzecz, lub pieniądze otrzymane ze sprzedaży tej rzeczy, użyte przez właściciela na dostarczenie dla pracy wytwórczej narzędzi, materiałów surowych i wynagrodzenia za najem. A zatem wszystkie te określenia zgodnie wliczają w kapitał odzież i pożywienie robotnika, różniąc się w tem od Smitha. Rozpatrzmy bliżej te trzy określenia, w których streszczone są naukowe zapatrywania na tę kwestyę:

Możnaby uczynić ważne zarzuty określeniu Mac Culloch'a, że kapitałem jest ta część wytworów przemysłu, która może być użyta do wspierania przemysłu, lub ułatwienia warunków życia ludzkiego. Przechadzając się po ulicach bogatego miasta, widzimy w sklepach pełno przedmiotów cennych, które jakkolwiek nie wspierają przemysłu, ani też ułatwiają bytu ludzkiego, stanowią niemniej część kapitału kupców i część społecznego kapitału. Z drugiej znów strony widzimy przedmioty, które mogłyby być użytymi na cel powyższy, a służą jedynie do powiększenia nieużytecznego zbytku. Te ostatnie przeto, jakkolwiek mogłyby, nie stanowią jednak części kapitału.

Ricardo, jak wiemy, uważa jako kapitał to tylko, co zostało użytem do wytwarzania. Moglibyśmy do tego również zastosować zarzut, uczyniony poprzedniemu twierdzeniu. Jeżeli kapitałem nazwiemy bogactwo, które jest użytem wprost do wspierania przemysłu, to sklep wyrobów złotniczych lub tabaczkowych, skład obrazów i zabawek dzieciennych lub magazyn mód, nie będą kapitałem.

Mill, czyniąc różnicę tych dwóch kategorii zależną od zamiarów kapitalistów, wymija wprawdzie te trudności, lecz ich nie wyjaśnia; przytem podane przez niego rozgraniczenie między tem, co za kapitał uważa, lub nie, jest tak niepewnem, iż, trzymając się go, najbardziej wszechstronnemu badaczowi trudno byłoby orzec, co w danym kraju i w danym czasie było lub nie było kapitałem.

Wszystkie te określenia zawierają w sobie ważny błąd, polegający na tem, że uważa się tu jako kapitał to, co nim być nie może, jeżeli zachodzi jakokolwiek różnica między robotnikiem a kapitalistą. Zaliczają one bowiem do kapitału pożywienie, odzież robotnika i t. d., które to przedmioty zużyte zostaną bez względu na to, czy dnia tego robotnik pracował lub nie; zaliczają one również zasób kapitalisty przeznaczony do wypłacenia zarobku robotnika.

Ciż sami pisarze zapominają o swem określeniu kapitału, gdy mówią np. o pracy i kapitale jako dwóch różnych czynnikach wytwarzania, które też przy rozdziale bogactw otrzymują różny w nich udział, lub wtedy gdy nas uczą, że zarobek wynikający z kapitału zależy od stosunku kapitału do pracy. Przy tego rodzaju rozumowaniach wyraz kapitał jest użytym w znaczeniu ogólnem, t. j. oznacza część bogactwa, użytą przez właściciela nie na zaspokojenie własnych potrzeb lecz przezna-

czoną do wytworzenia nowego bogactwa. Słowem cały ogół ekonomistów w podanych przez siebie określeniach podziela zdanie Adama Smitha: że kapitałem jest „ta część zasobu człowieka, która może mu przynieść pewien dochód.” Tak jedynie pojęty kapitał zawiera w sobie myśl jakąś określoną, może być odróżnionym od bogactwa w ogóle i przeciwstawionym pracy. Jeżeli bowiem kapitałem nazwiemy to wszystko, co dostarcza robotnikowi pożywienia, odzieży, schronienia, wtedy każdy najuboższy robotnik będzie kapitalistą, z wyjątkiem jedynie ludzi nągich zupełnie, nieposiadających nawet zaostrzonego kija ani kryjówki w ziemi, a w takim położeniu dziś nie znajduje się nawet mieszkaniec najdzikszych krain.

Zdaje mi się że różnice i niedokładności podanych określeń pochodzą ztąd, iż pojęcie, czem jest właściwie kapitał, zostało wyprowadzonym z założenia powziętego z góry: w jaki sposób kapitał wspiera wytwarzanie. Zamiast naprzód określić, czem jest kapitał i badać następnie, jak on działa, przypisano a priori kapitałowi pewne czynności, a następnie podawano takie jego określenie, z któregoby czynności te niejako wypływały lub wypływać mogły. Postarajmy się wrócić właściwy, naturalny porządek badaniu, i oznaczymy naprzód, czem jest rzecz, zanim określimy jej działanie. Wszystko, cośmy dotąd usiłowali w tym kierunku zrobić i co było zresztą rzeczą niezbędną, polega poprostu na tem, żeśmy ustanowili treść i zakres pojęcia, które w gruncie rzeczy dobrze jest rozumianem, i jasno i wyraźnie określili granice ogólnie przyjętej myśli.

Gdybyśmy całość rzeczywistego bogactwa, istniejącego w danym czasie w danym społeczeństwie, poddali badaniu garstki ludzi wykształconych, z których żaden nie czytał ekonomicznych traktatów, sądzę, że, rządząc się zdrowym rozsądkiem, potrafiliby oni odróżnić to, co jest kapitałem od tego, co nim nie jest. Nazwaliby kapitałem pieniądze zaś obracane na wydatki domowe lub osobiste nie byłyby kapitałem. Część zbioru rolnika przeznaczona na sprzedaż lub zasiew, albo nagradzająca pomocników w pracy (ordynarye) byłaby kapitałem, w odróżnieniu od zboża, przeznaczonego na utrzymanie rodziny. Kapitałem byłyby konie i powóz doróżkarza, lecz wykwintny pojazd, utrzymywany dla przyjemności, nie byłby nim. Nikomu z nich nie przyszłoby na myśl nazwanie kapitałem fałszywych włosów kobiecych, cygara w ustach palacza, lub zabawki w ręku dziecka; niemniej jednak sklep fryzjerski, dystrybucye i składy zabawek stanowią część kapitału właścicieli. Kapitałem jest ubranie zrobione przez krawca na sprzedaż, lecz nie to, które uszył dla siebie. Artykuły żywności, zakupione przez właściciela restauracyi lub hotelu, stanowią część kapitału w odróżnieniu od spiżarni domowej lub od dwojaków robotnika. Kapitałem będzie surowiec przygotowany w odlewni i w ludwisarni lub będący w ręku kup-

ca, lecz nie żelazo, złożone jako balast na dnie okrętu. Obecnie kowala, toczydło tokarza—to część kapitału, lecz nie maszyna do szycia, której właścicielka używa dla własnej potrzeby; kapitałem jest budynek przeznaczony do wynajęcia, użyty na magazyn lub fabrykę, lecz nie dom rodzinny. Dochodzę więc raz jeszcze do wniosku, że Adam Smith najdokładniej określił kapitał, i że, odrzuciwszy nieszczęsny błąd jego co do zalet osobistych, trudnoby nam było podać dokładniejszy spis składowych części kapitału. Jeżeli oddzieliwszy w ten sposób bogactwo, będące kapitałem od tego, które nim nie jest, zechcemy określić cechy, stanowiące ich różnice, to przekonamy się, że zależą one nie na własnościach przedmiotów, lub ich przeznaczeniu, lecz na tem, czy przedmioty owe znajdują się w ręku spożywczy czy nie *). Przedmioty bogactwa, które same w sobie lub w przetworze przeznaczone są do wymiany, są kapitałem; przedmioty będące już w posiadaniu spożywców, przestają być nim. Sądzę, że najłatwiej nam przyjdzie zrozumieć treść pojęcia kapitału, jeżeli go określimy jako *bogactwo będące w drodze wymiany*; pod wymianą zaś rozumiemy nie tylko przechodzenie przedmiotu z rąk do rąk, lecz i przemiany przedmiotów, powiększenie ich użyteczności, wynikające z działania twórczych i przekształcających sił przyrody. Tem określeniem objęte również zostaną narzędzia, będące istotnie kapitałem, gdyż narzędzie bywa przedmiotem kapitału lub bogactwa stosownie do tego, czy przedmiot wytworzony z jego pomocą zostanie wymienionym lub nie. Tak np. kapitałem będzie warsztat tokarski użyty na wytworzenie przedmiotów, które zostaną wymienione następnie; ten że sam warsztat nie będzie kapitałem, jeżeli właściciel używa go dla swej rozrywki jedynie. Możemy powiedzieć, że bogactwo włożone w budowę dróg żelaznych lub telegraficznych, teatrów, hotelów i t. d. jest również w drodze wymiany. Tylko wymiana ta nie odbywa się doraźnie, a zostaje uskutecznioną powoli przez niezliczoną ilość ludzi, przyczem użytkujący czasowo z drogi żelaznej lub telegraficznej, z teatru lub hotelu nie są właścicielami.

Powyższe określenie kapitału nie staje również w sprzeczności z pojęciem, jakoby kapitał był częścią bogactwa przeznaczoną do wytwarzania. Zbyt ciasne pole zakreślają wytwarzaniu ci, którzy pod tem słowem pojmują jedyny wyrób przedmio-

*) Pieniądze możemy wtedy uważać jako znajdujące się w rękach konsumenta, jeśli służą one jako środek dla dostarczania przyjemności ich właścicielowi, gdyż jakkolwiek same do użycia się nie kwalifikują, lecz przedstawiają wtedy bogactwo, które na cel ten zostało przeznaczone; twierdzenie to jest zupełnie zgodnem z określeniem podanem przezemnie. Mówiąc o pieniądzach mam tutaj na myśli jedynie monetę brązową, gdyż jakkolwiek pieniądze papierowe mogą spełniać wszystkie czynności metali, nie będąc jednak bogactwem, tem samem nie mogą stanowić części kapitału.

tu, zadaniem jego jest bowiem nie tylko wytworzenie rzeczy lecz i dostawienie jej spożywcy. Kupiec lub utrzymujący sklep jest wytwórcą: niemniej od rolnika i rzemieślnika—a jego kapitał podobnie jak ich zasób, jest przeznaczonym do wytwarzania. Odłożymy jednak na później wykazanie wszystkich czynności kapitału. Nie przywiązuję wielkiej wagi do podanego przezemnie określenia kapitału, nie piszę bowiem dzieła specjalnego, a usiłowania moje zmierzają jedynie ku wykryciu praw, rządzących wielką „kwestyą socyalną.” Jeżeli przeto czytelnik potrafił utworzyć sobie jasne pojęcie o tem, jakie przedmioty mam na myśli, mówiąc o kapitale—to zadanie moje jest ukończonem.

Zanim jednak zamknę ten rozdział, niech mi wolno będzie zwrócić uwagę na to, że „kapitał,” „bogactwo,” „zarobek” i t. d. jako nazwy ekonomiczne są wyrażeniami oderwanymi, i że nie można im przypisywać ani zaprzeczać żadnych cech, którychbyśmy nie przyznali lub którychbyśmy odmówili całej grupie przedstawionych przez nas przedmiotów. Zapomnienie o tem spowodowało wiele zdań błędnych i dozwoliło wielu niedorzecznym sofizmatom uchodzić za prawdy oczywiste. Ponieważ bogactwo jest wyrazem oderwanym, przeto pojęcie bogactwa musi, pamiętajmy o tem, zawierać w sobie pojęcie wymiany. Posiadanie pewnej ilości bogactwa jest posiadaniem „in potentia” różnego rodzaju bogactw równoważnych z nim co do wartości. To samo da się zastosować do kapitału.

ROZDZIAŁ III

Zarobek nie wynika z kapitału, lecz jest wytworzonym przez pracę.

Jakkolwiek ważność tego twierdzenia uwidoczni się dopiero w dalszym ciągu naszego badania, to jednak wyraźnym jest odrazu bliski jej związek z kwestyami, które rozbieramy obecnie.

Twierząc, jakoby zarobek wynikał z kapitału, pojmujemy widocznie „zarobek” w ogólnem ciasnem znaczeniu tego wyrazu a nie w znaczeniu określenia naukowego. Gdyż jak tylko robotnik pracuje dla siebie i pobiera wynagrodzenie bezpośrednio z wytworów swej pracy, oczywiście jest rzeczą, że zarobek jego

wynika nie z kapitału, lecz wprost z wytworów pracy. Np. jeżeli się trudnię wynajdywaniem jaj ptasich, lub zbieraniem leśnych jagód, to zdobyte jagody i jaja będą moim zarobkiem. Sądzę, że nikt nie będzie utrzymywał, jakoby w tym razie, zarobek wynikał z kapitału, gdyż o żadnym kapitale mowy tu być nie może. Człowiek, wyzuty ze wszystkiego, rzucony na wyspę nie dotkniętą żadną ludzką stopą, może się przecież zajmować wynajdywaniem jaj ptasich i zbieraniem jagód.

Podajmy drugi przykład: gdy z posiadanego przezemnie kawału skóry, wyrobię parę butów, obuwie to będzie zapłatą za poniesione trudy. Źródłem zarobku tego nie może być ani mój kapitał, ani kapitał mego sąsiada, stworzony on jest przez pracę jedynie, kapitał mój nie zmniejszył się ani na jotę, z powodu wytworzenia tego obuwia, które stało się wynagrodzeniem za mą pracę. Na początku mojej pracy, kapitał mój składał się ze skóry, nici i t. d., po ukończeniu jej zaś, jestem również w posiadaniu tego kapitału, powiększonego o różnicę, jaka zachodzi między wartością skóry i wartością butów. Czyż kapitał został naruszony przez wytworzenie tej dodatkowej wartości, która stanowi mój zarobek?

Adam Smith, twórca nowych prądów myśli, wyrażonych w ogólnie uznanej sztucznej teorii stosunku zarobku do kapitału, przyznaje również, że w tak prostych wypadkach wytwór pracy jest rzeczywiście jej zapłatą. Rozpoczyna on rozdział o zarobkach, temi słowy: (Rozd. VIII).

„Wytwór pracy stanowi naturalne jej wynagrodzenie, czyli zarobek. W pierwotnym stanie rzeczy poprzedzającym nagromadzenie bogactwa i własność prywatną ziemi wynik pracy należy całkowicie do robotnika. Niema bowiem właścicieli gruntu i zwierzchników, z którymi on musiałby się dzielić.”

Gdyby uczony Szkot był przyjął ten punkt widzenia rzeczy za wątek swych rozumowań i zechciał nadal uważać wytwór pracy jako naturalne wynagrodzenie tejże, a właścicieli i zwierzchników za współuczestników jedynie, doszedłby był do zupełnie innych wniosków, a ekonomia polityczna może niezawierałaby dziś tylu zdań niedorzecznych i sprzecznych. Nie uczynił on jednak tego: przyznając prawdę tak widoczną w pierwotnych sposobach wytwarzania, zaprzecza jej, przechodząc do zakłamanych i złożonych urzędzeń społecznych, wobec których opiera dalszy ciąg swych badań na twierdzeniu, że kapitalista wynagradza robotników z części swego kapitału i dowodzi, jakoby „w Europie na jednego niezależnego robotnika przypadało 20-tu takich, którzy pracują dla pana.“

Widocznie, Adam Smith, podając stosunek pracujących dla siebie robotników jak 1:20, miał na myśli tylko pracę rzemieślniczą, gdyż biorąc ogół robotników, widzimy, że sto lat temu, w Europie nawet, ilość robotników pobierających wynagrodzenia wprost, bez pośrednictwa zwierzchników, była stosunko-

wo dużo większą. Wyjawszy niezależnych gospodarzy wiejskich, których liczba jest dość pokaźna w każdym społeczeństwie, widzimy, że uprawianie wielkich obszarów ziemi w Europie zostało zmienionem od czasów Cesarstwa Rzymskiego na system połowiczny, w którym kapitalista pobiera płacę od robotnika, a nie robotnik od kapitalisty. Podobnie się dzieje w Stanach Zjednoczonych, dla których istnieje niezaprzeczenie to samo prawo zarobku co i w Europie, i tam bowiem pomimo rozwoju rzemiosł przeważną część ludności stanowią niezależni zagrodnicy (farmerzy), a zatem ilość robotników otrzymujących wynagrodzenie od kapitalisty jest stosunkowo niewielka.

Nie mamy potrzeby spierać się dłużej o ilość robotników pracujących na siebie, w stosunku do robotników wynajętych, ani też dowodzić, że płaca pobierana przez robotnika, jest zawsze bezpośrednim wytworem jego pracy, skoro tylko pod wyrazem zarobek rozumiemy wszelką zapłatę robotnika bez względu na to, czy jest ona wypłaconą przez zwierzchnika, czy pobieraną wprost z owoców poniesionego trudu. Zatem staje się widocznem, że twierdzenie, jakoby zarobek wynikał z kapitału, twierdzenie, na którem, jako na prawdziwie zasadniczej, wznosi się cały gmach teoryj ekonomicznych, jest w znacznej części fałszywym, i że, co najwyżej, z pewnem prawdopodobieństwem utrzymywać można, iż niektóre jedynie zarobki (a mianowicie zarobki wypłacane przez kapitalistów) wynikają z kapitału. To ograniczenie większej przesłanki niweczy odrazu wszelkie wprowadzone z niej wnioski; lecz zamiast dłużej się nad tem rozchodzić, zobaczmy, czy nawet w tak ścieśnionym zakresie, godzi się ona z rzeczywistością. Podnieśmy myśl porzuconą przez Ad. Smitha i śledźmy krok za krokiem, czy stosunki, tak widoczne przy pierwotnych sposobach wytwarzania, utrzymują się również wobec więcej złożonych urządzeń.

Do tego pierwotnego stanu rzeczy, którego przykłady dziś jeszcze napotkać można, a w którym cały wytwór pracy należy do robotnika, najwięcej się zbliża urządzenie takie, w którem robotnik, jakkolwiek pracuje dla innych lub z cudzym kapitałem, otrzymuje jednak wynagrodzenie w naturze, t. j. w przedmiotach własną pracą wytworzonych. W tym razie, zarówno jak w poprzednim, widać od razu, że zarobek wynika z wytworów pracy, a nie z kapitału. Jeżeli najmę człowieka do zbierania jaj lub jagód, albo do robienia butów i płacę mu jajami, jagodami lub wytworzonym obuwem, nie ma chyba wątpliwości, że źródłem jego zarobku będzie praca, za którą został wynagrodzonym. Tego rodzaju najem pracy, wyłożony szczegółowo w „Historji urządzeń społecznych“ Henryka Maine, wytwarza tak ścisłą zależność pracującego od pracodawcy, że czyni tego pierwszego niemal poddanym i lennikiem. Na takich to warunkach pracował Jakób u Labana i do dnia dzisiejszego zdarza się nam spotykać ten rodzaj nabycia pracy nawet w społeczeństwach

ucywiliżowanych. Osady rolnicze, tak rozpowszechnione w południowych Stanach Zjednoczonych i w Kalifornii, przyjęły w Europie system dzierżawczy, również zapłata dyrektorów fabryk i dozorców, składająca się z pewnego udziału w zyskach, czyż nie są wynagrodzeniem pracy, z części przedmiotów wytworzonych przez nią?

Następne przejście od urzędzeń prostych do więcej złożonych jest takie, że zarobek, jakkolwiek oszacowany w naturze, zostaje wypłacony równoważną ilością innych przedmiotów. W Ameryce np. panuje zwyczaj, że załoga okrętów, udających się na połów wielorybów, nie otrzymuje stałej zapłaty, lecz tak zwaną „stawkę“, t. j. pewną część połowu, zaczynając od $\frac{1}{16}$ lub $\frac{1}{20}$ części, przypadającej na kapitana i dochodząc do $\frac{1}{300}$ należnej posługaczom okrętowym.

Gdy więc okręt zawita po szczęśliwie odbytej podróży do New-Bedford lub San-Francisco, ładunek jego zawiera w sobie nie tylko zarobek całej załogi, lecz również zyski właścicieli i zwrot kosztów za zapasy zużyte podczas drogi. Czyż nie jest jasnym, że ten zarobek załogi, t. j. tłuszcz i kości wielorybie są częścią wytworów pracy i nie pochodzą z kapitału? Fakt ten nie zmieni się w niczem, jeżeli właściciel okrętu, dla dogodności, zamiast wydzielać każdemu przypadającą mu część tłuszczu i kości, oceni ich wartość, według cen rynku i odda każdemu gotówką co mu się należy. Pieniądze są tu równoważnikiem istotnego zarobku t. j. tłuszczu i kości a w tego rodzaju zapłacie nie ma żadnej zaliczki z kapitału, gdyż choć obecnie właściciel okrętu bierze z kapitału pieniądze, potrzebne do wynagrodzenia załogi, dodaje on doń, z drugiej strony, tłuszcz i kości wielorybie, a summa obowiązujących dlań wypłat niewzrosła przez to, że wartość, z której się one pokrywają znajduje się już w porcie.

Wszystko, cośmy dotychczas powiedzieli, zdaje się nam być nieprzpartem, pójdźmy nieco dalej i zwróćmy uwagę na zwykły sposób nabywania pracy i wypłacania zarobku.

Wyspy Farallońskie położone w pobliżu zatoki San-Francisco są siedliskiem ptaków morskich i towarzystwo, zarządzające temi wyspami, wysła tam corocznie pewną ilość ludzi dla zbierania jaj. Mogłoby ono, podobnie jak polujący na wieloryby, wynadgradzać swych ludzi częścią połowu jaj, i czyniłoby to niechybnie, gdyby to zajęcie było połączone z większem niebezpieczeństwem, lecz wygodniej jest określić dla pracujących stałe zarobki, gdyż licznie znajdujące się ptaki, w dodatku nie są drapieżne, można więc z góry oznaczyć ilość jaj, którą pewna liczba ludzi zebrać może. Ludzie ruszają w drogę i przez czas jakiś pozostają na wyspach zbierając jaja, które co kilka dni, bywają przywożone do San-Francisco i sprzedawane. Po ukończeniu pory zbiorów ludzie wracają i otrzymują zapłatę gotówką. Czyż tego rodzaju umowa nie jest taką samą, jak gdyby umówiony zarobek miał być wypłacany równoważną ilością ze-

branych jaj, a nie pieniędzmi? Czyż pieniądze nie przedstawiają tutaj jaj, ze sprzedaży których zostały otrzymane? i czyż taki zarobek, nie jest zarówno wytworem pracy, jakby nim były jaja, zebrane przez kogoś na własną korzyść, bez pośrednictwa kapitalisty?

Podamy jeszcze drugi przykład, wykazujący równoznaczność zarobków, wypłaconych pieniędzmi z zarobkami pobieranymi w naturze. W San Buenaventura mieszka człowiek, trudniący się połowem fok nawiedzających wyspy, które otaczają cieśninę S. Barbary; łowi on je dla tłuszczu i skór. Bierze on do pomocy na takie wyprawy kilku Chińczyków, których z początku opłacał pieniędzmi. Chińczycy jednak są bardzo chciwi na fok, niektóre części ich ciała suszą, rozcierają na proszek i używają go jako środka leczniczego, długie zaś wąsy samca bardzo wysoko cenią, jakkolwiek użytek ich jest nieznanym cudzoziemcom. Zauważywszy, że Chińczycy, zamiast pieniędzy, biorą bardzo chętnie powyższe części zabitych fok, zaczął im w ten sposób wypłacać należny zarobek.

Zobaczymy dalej, czy spostrzeżenie uczynione przez nas dotąd, że zarobek w pieniądzu i zarobek w naturze są równoznaczne, okaże się prawdziwym zawsze, ile razy płacimy za pracę wytwórczą? Czy zasób stworzony przez pracę jest istotnie zasobem, z którego pobieraną zostaje zapłata?

Powiedzą nam może: „Różnica między zarobkiem robotnika pracującego na sobie, a zapłatą w naturze, pobieraną przez najemnika jest taka, że w pierwszym razie, zarobek zależy od wyników pracy, w drugim zaś, nie zależy od nich; w pierwszym, pracując na sobie, może on nie nie zarobić; w drugim, bez względu na powodzenie przedsięwzięcia, należne mu wynagrodzenie zawsze otrzyma.“ To odróżnienie nie jest jednak w zupełności słusznem. Gdyż po większej części praca, za którą z góry oznaczamy stałą zapłatę, musi być warta więcej niż to, co wynosi zarobek robotnika, inaczej pracodawca nie miałby żadnego zysku. W razie oznaczenia z góry zarobku, kapitalista przyjmuje na siebie wszelkie możebne straty i jest za to wynagrodzonym, bo umówiony zarobek stały bywa zwykle nieco mniejszy od zarobku, zależnego od przypadku. Jednak jakkolwiek w razie określenia z góry stałej zapłaty robotnik, który dotrzymał zobowiązania, ma prawo żądać od kapitalisty wypłaty swej należności, zdarza się nieraz, że niepowodzenie, które przeszkodziło kapitaliście w osiągnięciu spodziewanych zysków, nie dozwala mu również wypłacić robotnika. W jednej z ważniejszych gałęzi przemysłu, kapitalista w razie klęski jest prawnie zwolnionym z obowiązku zapłacenia robotnikom, chociażby ci umówili się o stałą zapłatę, niezależną od wyników pracy. Prawo morskie powiada: „ładunek jest matką zarobku“ i w razie uszkodzenia okrętu lub w razie innej klęski, żaden żeglarz nie ma prawa upominać się o swoją należność.

W zasadzie tej uwydatnia się prawda ekonomiczna, której obecnie dowodzę t. j. że wytwarzanie jest zawsze matką zarobku. Gdyby nie było wytwarzania, nie istniałyby zarobki i nie mogłyby istnieć, gdyż wynikają one z pracy jedynie i nie są nigdy zaliczką z kapitału.

Na jakąkolwiek gałąź przemysłu zwrócilibyśmy uwagę, wszędzie znajdujemy to, że praca musi poprzedzać zarobek. Odnosi się to zarówno do robotników, pobierających zapłatę od kapitalisty, jak i do robotników pracujących dla siebie; w obu razach, wynagrodzenie warunkuje się uprzednią działalnością, pobieraną czasami dziennie, częściej tygodniowo, lub miesięcznie, rzadko kiedy rocznie, a w wielu gałęziach przemysłu od sztuki, musi ona być wynikiem uprzedniej pracy robotnika na korzyść pracodawcy, a to co nazywamy zadatkiem, lub zarobkiem wziętym z góry, jest spowodowane bądźto dobroczynnością kapitalisty, bądź chęcią zapewnienia dla siebie rąk pracujących.

Kładę nacisk na to, że praca zawsze poprzedza zarobek, zapamiętanie bowiem tej prawdy ułatwi nam zrozumienie więcej złożonych zjawisk. Jeżeli pomimo niej uznano tak powszechnie, że zarobek wynika z kapitału i wyprowadzono zeń tyle ważnych i doniosłych wniosków, to dla tego jedynie, iż to ostatnie twierdzenie opiera się na założeniu, które, odwracając naszą uwagę od prawdy przez nas wygłoszonej, zaprzecza jej istnieniu. Założenie to powiada, że praca nie może wywierać swej siły wytwórczej, dokąd kapitał nie zapewni jej środków utrzymania *).

Nieopatrzny czytelnik uzna odrazu fakt, że robotnik potrzebuje pożywienia i odzieży, by mógł iść do roboty, a słysząc, że pożywienie, odzież robotników i t. d. są kapitałem, zgodzi się na dowodzenie o konieczności nagromadzenia kapitału, przed wzięciem się do pracy i na mocy tego wyprowadzi wniosek, że ilość kapitału ogranicza rozwój przemysłu, że żądanie pracy zależy od względnych zapasów kapitału, a co zatem idzie, że wysokość zarobku zależy od stosunku ilości robotników, szukających zatrudnienia, do ilości kapitału przeznaczonego na najem.

Sądzę, że rozdział poprzedzający ułatwi czytelnikom zrozumienie na czem polega fałsz podobnego twierdzenia, fałsz, który uwikłał najznakomitsze umysły w sieć ich własnych rozumo-

*) Kapitał ogranicza przemysł. Przemysł może istnieć o tyle tylko, o ile kapitał dostarczy materiałów do pracy i pożywienia dla robotników. Ludność żyje nie z teraźniejszej pracy, lecz z rezultatów pracy uprzedniej; pewnik to oczywisty, chociaż często bywa zapomniany. Zużywamy to, co już wytworzyliśmy, a nie to, co mamy dopiero wytworzyć. A zatem praca wytwórcza, używając nie wszystko, lecz część tylko tego, cośmy wytworzyli uprzednio, rozwija się w prostym stosunku do tej części wyrobów przeszłości (i ta właśnie stanowi kapitał narodowy), która służy jako pożywienie robotników, materiał i narzędzia wytwarzania (John-Stuart Mill, Zasady Ekonomii Politycznej Ks. I, Rozd. V).

wań. Błąd ten polega na użyciu wyrazu kapitał w podwójnem znaczeniu. W założeniu samem, że praca wytwórcza potrzebuje pewnego kapitału—pod wyrazem kapitał rozumieją oni pożywienie, odzież, mieszkanie robotnika i t. d., gdy tymczasem we wnioskach wyprowadzonych z tego założenia uważają kapitał, jako część bogactwa, służącą do wytworzenia nowego bogactwa, a nie do natychmiastowego zaspokojenia potrzeb ludzkich, czyli uważają go jako bogactwo, będące w rękę kapitalistów, a nie robotników: słowem wracają do pojęcia ogólnie przyjętego. Wniosek ten jest równie logicznym, jakgdybyśmy na mocy tego, że robotnik potrzebuje zjeść śniadanie i odziać się przed pójściem do pracy, twierdzili, że ci tylko robotnicy mogą iść do roboty, którym pracodawcy dostarczą śniadania i odzieży. A jednak widzimy: *po pierwsze*, że robotnik sam stara się o swe pożywienie i odzież, w której pójdzie do roboty, a *po drugie*, że kapitał (w tem znaczeniu w jakim ten wyraz jest użyty dla odróżnienia go od pracy) może czasem dać zaliczkę pracującym przed rozpoczęciem roboty, lecz nie jest nigdy obowiązany do tego. Każdy prawdopodobnie z tego tłumu niezatrudnionych dziś robotników chętnie pójdzie do pracy, nie żądając zapłaty z góry. Większa część zgodziłaby się na wypłatę zarobków dopiero po upływie miesiąca; wątpię, czy znalazłoby się dużo takich, którzyby nie chcieli czekać do końca tygodnia, jak to się zwykle dzieje; z pewnością zaś, ani jeden nie będzie szemrał, że wypłatę odbierze dopiero po skończeniu dnia roboczego. Ścisły termin wypłaty zarobku jest rzeczą podrzędną; kładę nacisk głównie na to, że termin ów następuje po ukończeniu pracy.

Przeto zapłata zarobku każe przypuszczać zawsze uprzednie wydatkowanie pracy. Lecz co może zawierać w sobie owo wydatkowanie pracy przy produkcji? Nie co innego, jak tylko wytworzenie się bogactwa, które staje się kapitałem dopiero wtedy, gdy jest wymienione lub użyte do dalszego wytwarzania. A zatem kapitał wynagradzający robotników, każe przypuszczać wytworzenie innego kapitału przez tę właśnie pracę, za którą wypłacamy zarobek. Co się więc tyczy kapitalisty, który osiąga zwykle zyski, zarobek wypłacony przez niego, jest jedynie zwrotem robotnikowi pewnej części kapitału, otrzymanej dzięki pracy tegoż. Robotnik zaś, pobierając zarobek, otrzymuje tylko część kapitału wytworzonego przez swą pracę. Czy można przeto utrzymywać, że zarobek wynika z kapitału i jest zaliczką z tegoż, jeżeli bogactwo wypłacone robotnikom zamienia się na inne, stworzone przez pracę? Czy kapitał pracodawcy zmniejsza się bodaj chwilowo, jeżeli w zamianie pracy na zarobek, otrzymuje on zawsze kapitał stworzony przez pracę, zanim wypłaci robotników? *).

*) Chcąc być łatwiej zrozumianym powiadam, że praca wytwarza kapitał. To co przynosi praca, jest albo bogactwem (które może być lub nie być kapi-

Poddajmy tę kwestyę próbie faktów życiowych. Weźmy np. właściciela fabryki, którego robotnicy przetwarzają materiały surowe na wyroby skończone—wełnę na sukno, żelazo na narzędzia, skórę na buty i t. d. który wypłaca tychże robotników raz na tydzień, według powszechnego zwyczaju. Uczyńmy dokładny spis jego kapitału w poniedziałek rano przed rozpoczęciem roboty, a zobaczymy, że składa się on z budynków, z maszyn, z materiałów surowych, z gotówki i zapasu ukończonych wyrobów. Przypuśćmy teraz dla uproszczenia badania, że kapitalista nie kupił i nie sprzedał w przeciągu tygodnia i uczyńmy nowy spis w sobotę wieczór, gdy robotnicy po ukończeniu pracy i otrzymaniu zapłaty rozejdą się do domów. Zapas pieniędzy będzie mniejszy, gdyż część ich została wypłaconą robotnikom, znajdziemy mniej materiałów surowych, mniej węgla, a nawet zmniejszenie wartości budynków i maszyn z powodu całkowitodniowego użytkowania z nich. Jeżeli jednak fabryka rozwija się ~~roz~~myślnie, co ma miejsce w większej ilości wypadków, zaś ~~sz~~ł ukończonych wytworów pracy będzie o tyle większy, że wynagrodzi wszelkie ubytki i wykaże w ogólnem podsumowaniu wzrost kapitału. Widoczną jest przeto rzeczą, że zarobki wypłacane przez kapitalistę, nie były wzięte ani z jego kapitału ani z żadnego innego, lecz powstały z wartości stworzonej przez pracę. Nie było tu żadnej zaliczki z kapitału, tak jakby jej nie było gdyby ktoś, wynajawszy robotników do zbierania skorupiaków, zapłacił ich częścią zbioru. Zarobek był tu wytworem samej pracy, tak jak zarobek pierwotnego człowieka, który „przed objęciem ziemi w posiadanie prywatne i nagromadzeniem kapitałów“ zdobył ostrygę, odrywając ją kamieniem od skały.

Ponieważ robotnik pracujący dla pracodawcy nie otrzymuje zarobku przed ukończeniem pracy, moglibyśmy go przyrównać do kapitalisty, który nie może wyjąć z banku pieniędzy, dokąd ich tam nie złoży. Kapitalista, wyjmując złożone poprzednio pieniądze, w niczem nie zmniejsza kapitału bankowego; podobnie i robotnik pobierający zarobek nie zmniejsza ani kapitału swego pracodawcy ani zbiorowego społecznego kapitału. Zarobek jego nie wynika z zasobu tak jak czeki kapitalisty nie zmniejszają zasobu bankowego. Prawdą jest, że robotnicy po-

tałem albo usługą, wypadki zaś, w których ona nie przynosi, można przypisać wyjątkowym jedynie niepowodzeniom. Jeżeli zadaniem pracy jest zaspokojenie potrzeb pracodawcy, np. jeżeli najmę chłopca do czyszczenia obuwia, płacę mu zarobek nie z kapitału lecz z bogactwa przeznaczanego przeźemnie na osobiste zużycie, a nie na cele wytwórcze. Gdyby kto chciał zapatrywać się na tego rodzaju zarobek jako na wynikający z kapitału, przyznać jednak musi, że w tym razie kapitał ten przechodzi w kategorię bogactwa przeznaczanego na osobisty użytek posiadacza, tak jak pudełko cygar wzięte na własny użytek przez właściciela sklepu z wyrobami tabacznymi pochodzi z zapasu przeznaczanego na sprzedaż.

bierający zarobek nie otrzymują bogactwa w tej formie, w jakiej je włożyli, podobnie jak kapitalista nie dostaje z banku włożonych przez siebie pieniędzy i banknotów, lecz ilość im równoważną; jeżeli więc nie mylimy się twierdząc, że kapitalista wyjmuje z banku włożone przez siebie pieniądze, możemy równie śmiało powiedzieć, że robotnik otrzymuje w zarobku bogactwo, które wytworzył swą pracą.

Przyczyną tak częstego niezrozumienia tej prawdy ogólnej, jest nierozróżnienie pojęcia bogactwa od pojęcia pieniędzy, błąd, który bywa źródłem wielu zбочen ekonomicznych a rzeczą godną uwagi jest, że wielu z tych, którzy od czasów, jak Adam Smith rozwiązał sfinksową zagadkę, wykazują dobitnie fałszywość systematu merkantylistycznego, równie fałszywie zapatrują się sami na stosunek kapitału do pracy. Pieniądz jest ogólnym środkiem zamiany, pośrednikiem przy przekształcaniu się bogactw, wszelkie zaś trudności wymiany polegają zawsze na zamianie bogactwa na pieniądze i łatwiej jest nieraz wymienić pieniądze na bogactwo, niż jakikolwiek zasób bogactwa na pieniądze z powodu, że więcej jest ludzi chcących posiadać rzecz mającą wartość ogólną, niż taką, która ma jedynie wartość szczególną. Zdarza się nieraz, że kapitalista, który wydał pieniądze na zapłatę robotników, znajduje pewną trudność w natychmiastowej wymianie na pieniądze bogactwa, na które pieniądz jego został istotnie zmienionym, i powiada, że wydał z góry kapitał na zapłatę robotnika. A jednak, jeżeli tylko bogactwo wytworzone przez pracę dorównywa wysokości zapłaty roboczej (a tak się dzieje prawie zawsze), kapitał jego zmienił tylko postać lecz nie zmniejszył się wcale—to co było w pieniądzech, zostało zmienionem na bogactwo.

Istnieje jedna gałąź przemysłu, w której najrzadziej powinnyby się zdarzać tego rodzaju trudności, gdyż wytworem jej jest właśnie materiał, z którego zrobione są pieniądze i, że tak powiem, ich pierwowzór. Ta właśnie gałąź przemysłu może służyć jako przykład wytwarzania, przechodzącego od najprostszych do najbardziej złożonych form.

W dawniejszych nieco czasach w Kalifornii, a następnie w Australii, górnik, który znalazł w łóżysku rzeki piasek złotodajny, nagromadzony tam od wieków przez przyrodę, zbierał, czyli przemywał swój zarobek (jak go sam nazywał), a po upływie dnia, zsypując wynik swej pracy do woreczka, był istotnie w posiadaniu pieniędzy, gdyż piasek złoty miał ogólny obieg na wagę z powodu braku monety brzęczącej. Naturalnie, że zarobek ten był wprost wytworem jego pracy i nie wynikał z żadnego kapitału. Później nieco bogatsi zaczęli najmować ludzi, którzy pracowali dla nich i dostawali jako nagrodę przypadającą im część przemytego piasku. Wkrótce jednak z powodu powiększenia ilości monety brzęczącej, ta ostatnia jako wygodniejsza i mniej tracąca na wadze weszła w ogólne użycie, piasek zło-

todayny został zaliczony do rzędu towarów, przedsiębiorca sprzedawał go i pieniędzmi, otrzymanymi z tej sprzedaży, płacił robotników. Jeżeli posiadał dostateczny zapas gotówki, nie sprzedawał piasku w sąsiednim sklepiku, aby nieopłacać zysków kupca, lecz zebrawszy większą stosunkowo ilość wywoził go do San Francisco, gdzie większą znacznie zapłatę otrzymywał w mennicy. Naturalnie, że zbierając zapas piasku, zmniejszał zasób gotówki, tak jak właściciel fabryki musi wydawać nagromadzone pieniądze, jeżeli chce powiększyć zapas wytworów pracy. Sądzę jednak, że nikt nie będzie tak ograniczonym, by twierdzić, że przedsiębiorca kopalni, wydając gotówkę a otrzymując w zamian piasek złoty, zmniejsza swój kapitał.

Lecz zapasy piasku złotego, który można było wydobyć bez żadnych przygotowawczych robót, wyczerpały się wkrótce i poszukiwanie złota przybrało sztuczniejszą postać. Zanim można było pomyśleć o jakimkolwiek zwrocie kosztów, trzeba było kopać szyby w kopalniach, budować tamy, przeprowadzać tunele przez najtwardsze skały, sprowadzać wodę ze znacznej odległości przez wierzchołki gór lub przez głębokie doliny i kupować kosztowne maszyny. Wszystkie te prace nie mogły być dokonane bez współdziałania kapitału. Uskutecznienie ich, wymagało nieraz lat całych, podczas których nie można było marzyć o zwrocie wyłożonych kosztów, a jednak trzeba było płacić co tydzień lub co miesiąc najętych robotników. Zapewne, powiedzą nam na to, że w tym przynajmniej razie zarobek musi być zaspakajany z kapitału, że musi być zaliczką z niego, i że wypłata musi zmniejszać kapitał. Tutaj nakoniec, kapitał ogranicza przemysł, gdyż bez jego współdziałania nie możnaby dokonać podobnego przedsiębiorstwa. Zwróćmy na to uwagę:

W pewnych rzeczywiście razach możnaby przypuścić, że zarobek jest zaliczką z kapitału. Tam bowiem, gdzie zarobek jest wypłacany zanim wytwór pracy bywa otrzymanym lub ukończonym np. w rolnictwie, gdzie orka, siejba poprzedzają zwykle o kilka miesięcy zbiór ziarna, przy budowaniu domów, okrętów, dróg żelaznych, kanałów i t. d. jasną jest rzeczą, że właściciel kapitału płacący robotników, nie może spodziewać się natychmiastowego zwrotu, lecz musi go wyłożyć na pewien czas, wynoszący nieraz kilka lat. Należy więc pamiętać o podanych zasadach, aby w tych nawet razach nie dojść do fałszywego wniosku, że zarobek wynika z kapitału.

Jeżeli jednak czytelnik zrozumiał mię dokładnie, nie popełni on tego błędu. Chwila zastanowienia wykaże, że zarobek wypłacony przed ukończeniem lub nawet przed otrzymaniem wytworów pracy nie stanowi wyjątku od reguły tak oczywistej wówczas, gdy praca zostaje opłaconą dopiero po ukończeniu wytworu.

Jeżeli pójdę do wekslarza, chcąc wymienić srebro na złoto, rachuje on i odkłada położone przezemnie srebro i wypłaca

mi złotem całą wartość jego odliczając swój zysk. Czyż wekslarz daje mi jaką zaliczkę? Chyba nie, bo posiada obecnie srebrem to, co miał złotem, nie licząc zysku. Zamiana ta nie jest nawet zaliczką chwilową, bo dostaje on moje srebro przed wydaniem swego złota.

Taka działalność wekslarza, jest zupełnie podobną do działalności kapitalisty, który w rozbieganych przez nas wypadkach, wydaje swój kapitał na zapłacenie robotnika. Otrzymuje on jedno bogactwo zanim wyda drugie. Kapitał jego zmienia tylko swą postać, gdyż praca poprzedza zwykle wypłatę zarobku i zwiększa wartość przedmiotów. Zresztą wytworzenie wartości, nie zależy od ukończenia wytworu pracy; ma ono miejsce w każdym stadium wytwarzania, jako konieczny wynik wysiłku; a zatem bez względu na dłuższy lub krótszy proces wytwarzania, praca zawsze powiększa wartość kapitału, zanim go zmniejszy żądaniem wypłaty zarobku.

Oto kowal zajęty kuciem młotów. Naturalnie wytwarza on kapitał—dokładając ukończone młoty do kapitału swego pracodawcy, zanim dostanie należną sobie zapłatę. Oto mechanik lub kotlarz pracujący nad budową okrętu. Czyż on również nie wytwarza wartości i kapitału? Olbrzymi parowiec i młot kowalski są przedmiotami bogactwa, narzędziami wytwarzania, a chociaż ukończenie jednego wymaga lat długich, a drugiego kilku chwil zaledwie, niemniej jednak w obu razach, praca każdodzienna jest wytwarzaniem bogactwa i powiększaniem kapitału. Wartość ukończonego wytworu niezależy od pierwszego, ani od ostatniego uderzenia młota, wytwarzanie wartości jest ciągłym, bezpośrednim wynikiem usiłowania.

Prawda ta staje się jeszcze oczywistszą tam, gdzie podział pracy wprowadził rozdzielanie całego procesu wytwarzania pomiędzy odrębne grupy pracujących — tam bowiem oceniamy wartość wytworzoną przez pracę na każdym przejściowym stopniu wytwarzania. Weźmy np. okręt, budynek, kołowrotek, książkę, naporstek kobiecy, bochenek chleba i t. d. są to wytwory ukończone, nie zostały jednak wytworzonymi ani w jednej chwili, ani przez jednego robotnika. I w tych razach, odróżniamy stadya przejściowe w wytwarzaniu wartości tych przedmiotów. Tam gdzie nie rozróżniamy odrębnych części w ostatecznym procesie wytwarzania, rozróżniamy jednak wartość materiałów. Wartość ich bowiem może się często zmieniać, wykazując wiele przejść rozlicznych, przed wytworzeniem się ostatecznej wartości. Na każdym podobnym przejściu, jesteśmy w stanie oszacować wartości wytworzone i stopień powiększenia kapitału. Pieczywo, które piekarz wyjmuje z pieca, posiada pewną wartość, t. j. wartość użytej na ciasto mąki. Wartość tej ostatniej znowu, zależy od ceny pszenicy, od kosztów zmielenia ziarna i t. d. Surowe żelazo nie może być uważanem za przetwórcy pracy, musi ono przejść przez bardzo wielką liczbę rąk za nim zostanie zamienionem na

narzędzia lub maszyny, dla wytworzenia których wydobyto rudę żelaza z wnętrza ziemi. Czyż ono nie jest jednak kapitałem? Tak samo, proces wytwarzania nie jest skończonym, gdy zbiór wełny jest ułożony w paki, ani wówczas, gdy ona zostanie dostawioną do Lowell'u lub Manchesteru, zamienioną na przędzę lub utkaną na sukno, proces ów kończy się wtedy dopiero, gdy wełna dojdzie do rąk spożywcy. Pomimo tego widzimy wytwarzanie wartości t. j. powiększanie kapitału, w miarę postępu działania, chociaż to zwykle uchodzi naszej uwagi. Czyż zora nie gruntu pod zasiew nie powiększa jego wartości? Czyby dla tego że przypuszczalne deszcze i słoty mogą spowodować nieurodzaj? Stanowczo nie, gdyż nieprzewidziane niepowodzenia mogą się przytrafić w przemyśle na każdym kroku. Przypuszczać należy, że w większości wypadków, zboże zebranem zostanie, że tyle a tyle zasiewu, da tyle a tyle ziarna, a znając ilość uprzędzonych nici, można obliczyć z góry ilość sukna, które z nich ma być utkanem.

Jednym słowem, ponieważ zarobek jest zawsze rezultatem pracy, przeto bez względu na czas potrzebny do wytwarzania, nie pociąga on za sobą żadnej zaliczki, ani chwilowego nawet zmniejszania kapitału. Zbudowanie okrętu, może trwać rok, lub lat kilka, lecz wytworzenie wartości ukończonego okrętu, poczyna się z chwilą rozpoczęcia robót i postępuje codzień, co godzi na. Właściciel warsztatu płacąc robotników, przed skończeniem okrętu, nie zmniejsza ani swego kapitału, ani kapitału społecznego, gdyż wartość części zbudowanego okrętu, jest zawsze w tym samym stosunku do wydatku na zapłacenie pracujących. Zapłata ta nie jest zaliczką z kapitału, gdyż tygodniowa lub miesięczna praca robotników wytwarza i oddaje właścicielowi więcej kapitału, niż on go wypłacił po upływie tygodnia lub miesiąca, co można udowodnić tem, że gdyby właściciel warsztatu chciał sprzedać niewykończony okręt, odniósł by zawsze korzyść z tej sprzedaży.

Podobnie nie było żadnej zaliczki z kapitału, przy budowie tunelu S. Gotarda lub kopaniu kanału Suezkiego. Tunel i kanał, w miarę postępu roboty, stają się kapitałem, niemniej jak pieniądze włożone w przedsiębiorstwo, proch, świdry i t. p. rzeczy potrzebne do pracy, oraz pożywienie i odzież robotników; to też kapitał ogólny przedsiębiorstwa nie zmniejsza się, lecz zamieniony jest na tunel i kanał. A nawet prawdopodobnie, w większej ilości wypadków, kapitał ów wzrasta w miarę postępu roboty, tak jak wzrasta każdy kapitał, mający szybszy obrót. Jestto również widocznem i w rolnictwie. Ze wytworzenie wartości nie ma miejsca dopiero w chwili zebrania zboża z pola, lecz że powstaje krok za krokiem, przez cały ciąg trwania robót przygotowawczych do żniwa; że płacenie robotników nie zmniejsza nawet chwilowo kapitału gospodarza, to staje się widocznem, w razie sprzedaży, lub puszczenia w dzierżawę

wę ziemi, podczas procesu wytwarzania, gdyż pole zorane, jest wiele więcej wartem od ziemi leżącej odłogiem, a grunt zasiany, musi być droższym od zoranego tylko. Jest to oczywiście w razie sprzedaży zboża na pniu, lub gdy gospodarz nie żnie sam, lecz zawiera kontrakt z właścicielem żniwiarki. Cena nowozalożonych ogrodów owocowych i winnic, zależy od ilości roślin. Wartość koni, bydła i owiec, zmienia się również w stosunku do ich wieku. Ten wzrost wartości ma miejsce w każdym zużytkowaniu pracy, chociaż nie zawsze jest widocznym przy zwykłych sposobach zamiany. A zatem, skoro tylko praca poprzedza wypłatę zarobku, zaliczka kapitału jest zawsze wynikiem pracy i idzie od pracującego do pracodawcy, a nie od pracodawcy do pracującego. „A jednak powiedzą nam może, że w wymienionych przez nas wypadkach kapitał *zawsze jest potrzebnym*.” Zapewne, nie spieram się o to. Nie jest on jednak potrzebny na zaliczki pracy, lecz w innych zupełnie celach, które natychmiast wyłożę.

Gdy zarobek jest wypłacanym w naturze t. j. bogactwem wytworzonym przez pracę, np. gdy najawszy człowieka do ścinania drzew, zobowiąże się wynagrodzić go częścią tychże drzew, (sposób używany częstokroć przez właścicieli lub dzierżawców lasów) nie potrzeba żadnego kapitału na zapłatę robotnika. Kapitał nie będzie potrzebnym, gdy, ze względu na to że prędzej i korzystniej mogą sprzedać drzewo w większych ilościach, umówię się płacić robotnikowi pieniędzmi, a nie drzewem, mogę bowiem zamienić drzewo na pieniądze, przed terminem zapłaty robotnika. W takim tylko razie muszę posiadać kapitał zapasowy, gdy chcę zebrać większą ilość drzewa, by móc je sprzedać na korzystniejszych dla siebie warunkach. Jeżeli uda mi się zaciągnąć pożyczkę, na przygotowany zapas drzewa, znowu nie potrzebuję kapitału, jeżeli zaś nie chcę, albo niemogę sprzedać drzewa, lub uzyskać kredytu, muszę mieć przygotowany kapitał. Lecz kapitału potrzebuję nie na zapłacenie robotników, lecz dla tego jedynie, by mieć możność nagromadzenia większego zapasu drzewa. To samo zastosować się da do budowy tunelu. Przedsiębiorcy wtedy tylko potrzebują kapitału do zapłacenia robotników, gdy chcą powiększyć swój kapitał włożony w jego budowę. Wprawdzie wekslarz u którego zamieniam srebro, nie może prowadzić swego interesu bez kapitału. Nie będzie to jednak żadna zaliczka, gdy daje mi złoto w zamian za srebro, lecz ten sam interes jest tego rodzaju, że wekslarz musi mieć pewną ilość gotówki w ręku, by mógł natychmiast uczynić zadość wymaganiom klienta przychodzącego do sklepu.

To samo ma miejsce w każdej gałęzi przemysłu. Jeżeli tylko wytwór pracy zostanie wymienionym natychmiast po jego wytworzeniu, nie potrzeba przygotowywać kapitału na zapłatę robotników, jest on potrzebnym wtedy tylko, gdy produkta są nagromadzone, lub, co w zasadzie wychodzi na jedno, puszczone

w obieg i nie zapłacone natychmiast, t. j. sprzedane na kredyt. Ponieważ jednak wartość wytworów pracy, równoważy tenże kapitał, przeto nie jest on niezbędnym na zaspokojenie zarobku i nie jest zaliczką czynioną na pracę. Wytwórca nie potrzebuje kapitału dla tego, że jest pracodawcą, lecz dla tego, że jest zarazem kupcem i chce osiągnąć większe zyski, nagromadzając więcej wytworów pracy.

Streszczamy zatem: Robotnik pracujący dla siebie, otrzymuje swój zarobek w wytworach pracy, w miarę wytwarzania tychże, a sprzedając ten wytwór, zamienia wartość jego na inne bogactwo. Robotnik najęty za umówioną zapłatę, również sam wytwarza swój zarobek, lecz otrzymuje go dopiero w określonym czasie, w określonej ilości i postaci różnej od wytworu. Wykonywając swą pracę bierze on udział w ogólnej zamianie, a zamiana ta jest już ukończoną, w chwili, gdy dostaje on należną sobie zapłatę. Przez cały czas trwania pracy przysparza on kapitału swemu pracodawcy, ten zaś ostatni wtedy tylko daje zaliczkę robotnikowi, gdy mu wypłaca zasługi przed rozpoczęciem roboty. Charakter umowy tej, nie zmienia się wcale, czy kapitalista otrzymujący wytwór pracy zamienia go natychmiast, czy też zachowuje przez czas jakiś; nie zmienia się on także pod wpływem użytku na jaki obrócony będzie wytwór przez ostatecznego spożywcę, który być może mieszka na innej półkuli i do rąk którego dostał się on po tysiącnych częstokroć zamianach.

ROZDZIAŁ IV.

Utrzymanie robotników nie wynika z kapitału.

W umyśle czytelnika mogły jeszcze pozostać lub usunąć się następujące wątpliwości. Ponieważ pole zorane, nie może bezpośrednio służyć rolnikowi za pokarm, ani maszyna tkacka, częściowo tylko wykończona, nie wytworzy ubrania pracującemu nad nią mechanikowi, czytelnik zatem może pomyśleć sobie, że, mówiąc słowami Johna Stuarta Milla, zapomniałem o tem, że ludność żyje nie z pracy teraźniejszej, lecz z wyników pracy poprzedniej, a mówiąc zaś więcej popularnym językiem, językiem pani Fawcett, nie uwzględniłem tego, że znaczny przeciąg czasu upłynąć musi, pomiędzy chwilą, w której ziarno zostało rzu-

cone w ziemię, a tą w której rezultat siejby może być zamienionym na bochenek chleba, i „że zatem widocznem jest, że robotnik żyje nie ze swej pracy terazniejszej, lecz z bogactwa wytworzonego uprzednio przez własną pracę swoich towarzyszy i że to bogactwo jest kapitałem“ *).

Zasada jakoby kapitał wspierał pracę, zasada tak widoczna, że każdy wniosek na niej oparty zyskuje uznanie ogółu, jest przyjętą przez wszystkie fabrykowane obecnie ekonomiczne teorye. Tak powszechnie przyznano, że utrzymanie robotnika wynika z kapitału, iż twierdzenie jakoby „ilość zaludnienia zależała od zasobów przeznaczonych na jej wyżywienie i zmniejszała się lub powiększała w miarę ubytku lub wzrostu kapitału“ **), stało się pewnikiem i podstawą wielu ważnych rozumowań. A jednak przy bliższem badaniu twierdzenia podobne, okazują się niedorzeczniemi, a pozorne prawdopodobieństwo tych wywodów, pochodzi z niejasnego sformułowania myśli.

Ztąd to właśnie wynika nielogiczny wniosek, że praca nie może być rozpoczęta, dokąd jakieś jej wytwory uprzednie nie zostały zaoszczędzone, czyli, że każdy trud wytwórczy, musi być poprzedzony jakimś zaoszczędzonym wynikiem pracy.

Wykazałem już błędność określenia, jakoby kapitał ograniczał przemysł dla tego, że robotnik pracujący wytwórczo potrzebuje pożywienia, odzieży i schronienia. Z tego że człowiek musi zjeść śniadanie przed pójściem do roboty, nie wynika przecie, aby nie mógł pójść do roboty dokąd kapitalista nie dostarczy mu śniadania, gdyż śniadanie jego może być, i w krajach wolnych od klęski głodowej bywa zwykle zaspokojonem z części bogactwa odłożonego na pokrycie potrzeb, a nie z bogactwa przeznaczonego do wspierania pracy wytwórczej. Zresztą, jakieśmy powiedzieli powyżej, pożywienie, odzież i t. d., słowem, przedmioty bogactwa, są kapitałem dotąd tylko, dokąd są w rękę tych, którzy mają zamiar wymienić je na inne towary lub zużytkować je w celach wytwórczych, przestają zaś być kapitałem skoro przejdą w posiadanie spożywców; wtedy już bowiem nie mogą być zaliczone do rzędu bogactwa przeznaczonego na zaspokojenie naszych potrzeb bez względu na to, czy ich zużycie wspiera wytwarzanie bogactwa, czy też nie. Jeśli nieuwzględnić tego odróżnienia, to niepodobna będzie ustanowić różnicy między bogactwem będącem kapitałem i tem, które nim nie jest, choćbyśmy nawet, idąc za przykładem Milla, uczynili różnicę tę zależną „od zamiaru posiadacza.“ Ludzie bowiem

*) *Ekonomia polityczna dla początkujących* p. panią Fawcett, Rozdz. III stron. 25.

**) Słowa Ricarda (Rozdz. II), na które przystają wszyscy znakomitsi pisarze.

jedzą wtedy, gdy są głodni, noszą ubranie, gdyż to jest im wygodnem i nie czynią zależnem zaspakajania najpierwszych potrzeb swoich od tego, czy przyjmą udział w pracy wytwórczej, lub nie. Weźmy np. śniadanie zastawione na stole robotnika, który sam jeszcze nie wie, czy mu się dnia tego zdarzy sposobność zarobkowania. Jakim sposobem na mocy powyższego odróżnienia kapitału od niekapitału da się określić, czy w tym razie pożywienie będzie kapitałem? Żaden uczony ze szkoły Ricarda i Milla, podobnie jak i sam ten robotnik nie byłby w stanie tego powiedzieć wtedy nawet, gdy spożyty pokarm zamieni się w krew jego i tkanki ciała, a on pomimo najusilniejszych starań nie będzie mógł dostać zajęcia.

Nie potrzebujemy nadal rozwódzić się nad tem rozróżnieniem kapitału od niekapitału. Zdaje mi się, że twierdzenie, jakoby praca żyła z rezultatów pracy uprzedniej, może okazać się prawdziwem w tem tylko znaczeniu, że na siłę robotnika pracującego po obiedzie wpływa jego obiadowy posiłek i że trzeba upolować i upiec zająca, zanim się go spożyje. Nie tak jednak rozumieją to twierdzenie ci, którzy czynią zawisłemi odeń tyle ważnych rozumowań: pojmują je oni tak, jakby musiał istnieć zasób środków do życia na wyłączny użytek robotników, zajętych pracą taką, której wyniki nie mogą służyć do natychmiastowego zaspokojenia ich potrzeb. Zobaczmy czy tak jest w istocie.

Czółno zbudowane z tak wielkim trudem przez Robinsona Kruzoę i przy pomocy tak niewydoskonalonych narzędzi było wytworem pracy niemogącej mu zapewnić natychmiastowych korzyści.

Czyż jednak było koniecznem, aby przed rozpoczęciem tej pracy przygotował on sobie zapas pożywienia, wystarczający na cały czas ścinania drzewa, budowy czółna i spuszczenia go na morze? Bynajmniej, albowiem mógł on przeznaczyć część dnia na budowę czółna a drugą na wyszukanie żywności. Weźmy drugi przykład: Setka ludzi, nie mająca żadnych zapasów, wylądowuje do nieznanego kraju. Czy jest koniecznem, aby przygotowali zapas żywności na całe pół roku, zanim się zajmą uprawą roli? Także nie. Jeżeli tylko ryby, zwierzyna i jagody znajdują się tam tak obficie, że kilku z nich będzie w stanie nagromadzić ilość dostateczną dla wyżywienia wszystkich, wtedy wytworzy się wspólność interesów, która skłoni dostarczycieli pożywienia do dzielenia się (czyli do wymiany) z tymi, którzy za swoją pracę w przyszłości dopiero wynagrodzonymi zostaną.

To co jest prawdą w tym razie, jest nią zawsze. Wytwarzanie rzeczy, które nie są zdatne na pożywienie ani też nie mogą być zużytkowanemi natychmiast, nie potrzebuje poprzedniego wytworzenia bogactwa, aby robotnicy zajęci niem, mieli co jeść. Trzeba tylko aby w obrębie zamiany jednocześnie

istniało wytwarzanie pożywienia dla robotników oraz chęć wymiany tych artykułów spożywczych na spodziewane wyniki pracy.

Zresztą, czyż fakta życiowe nie wskazują, że w normalnym stanie rzeczy, wytwarzanie artykułów spożywczych musi spółistnieć ze spożyciem tychże?

Oto bogaty próżniak, który nie pracuje wytwórczo, ani umysłowo, ani fizycznie, lecz żyje z bogactwa odziedziczonego po przodkach! Żyje li on z bogactwa nagromadzonego z pracy wytworzonej uprzednio, lub też odbywającej się obecnie w koło niego? Stół jego jest zastawiony świeżo zniesionymi jajami, masłem zrobionem przed kilku godzinami, świeżo udojonem mlekiem, rybami, które przedtem spokojnie pływały w morzu, mięsem dopiero co przyniesionem od rzeźnika, jarzynami i owocami przyniesionemi przed chwilą z ogrodu—słowem, pożywienie jego tylko co wyszło z rąk wytwórców, (do nich bowiem należy także zaliczyć pośredników między pierwszym wytwórcą i spożywcą); z wytworów uprzedniej pracy, zobaczymy tu zaledwie kilka butelek starego wina. Majątek nabyty obcą pracą, z którego ten człowiek żyje, nie jest istotnem bogactwem, jest on jedynie środkiem nabycia na swoją własność bogactwa wytworzonego przez innych. Współczesne zatem wytwarzanie dostarcza mu środków do życia.

Okolice Londynu w obrębie 50 mil □ posiadają więcej bogactwa niż ten sam obszar ziemi w jakimkolwiek innym kraju. Gdyby jednak praca wytwórcza Londynu ustała nagle, ludzie zaczęliby umierać po upływie kilku godzin jak owce dotknięte motylicą i prawdopodobnie ani jeden nie zostałby przy życiu w przeciągu niewielu tygodni lub miesięcy. Zupełne bowiem zawieszenie pracy wytwórczej sprowadza klęski stokroć cięższe od tych, które są udziałem miast oblężonych. Nie będzie to mur opasujący miasto na zewnątrz na podobieństwo tego, jakim Tytus otoczył Jerozolimę w celu przeszkodzenia ciągłemu dowozowi żywności, potrzebnej dla oblężonych mieszkańców, lecz jest to podobna zapora opasująca z osobna każdą zagrodę rodzinną. Wyobraźmy sobie podobne zawieszenie pracy w jakimkolwiek społeczeństwie, a zobaczymy o ile jest prawdą że artykuły spożywcze przechodzą natychmiast z rąk do ust i że dzienna praca społeczeństwa dostarcza mu codziennego kawałka chleba.

Robotnicy zajęci pracą, z której niemożna utrzymać natychmiast środków do życia, żyją z pracy ludzi zajętych w tym samym czasie wytwarzaniem żywności, podobnie jak twórcy piramid egipskich, nie mając poprzednio przygotowanych zapasów żywności, korzystali z płonów bogatej i żyznej doliny Nilu, a rząd nowożytny przedsiębiorając pracę, mogącą trwać lata całe, nie przeznaczając nagromadzonego zapasu na wyżywienie robotników,

lecz w miarę postępu roboty dowodzi świeżo wytwarzaną żywność.

Jeżeli zwrócimy uwagę na system zamiany, za pomocą którego przemysł na wielką skalę dostarcza pożywienia, mięsa, odzieży i t. d. robotnikowi, pracującemu nad budową olbrzymiej maszyny, widzimy, że jakkolwiek może być tysiące zamian pośrednich, zanim wytwór przemysłu dojdzie rąk robotnika, można jednak uważać, jakoby zamiana ta miała miejsce wprost między przemysłowcem i robotnikiem. Robotnik dla tego widocznie zgadza się pracować nad budową maszyny, że istnieje popyt na maszynę ze strony wytwórców chleba, mięsa i t. d. lub ze strony tych, którzy wytwarzają przedmioty potrzebne dla wytwórców chleba i mięsa. Ten popyt właśnie skłania mechanika do budowania maszyn i na odwrót mechanik, żądając chleba i mięsa, spowodowuje wytwarzanie równoważnej ilości tych przedmiotów: tym sposobem pracując nad maszyną wywołuje on pojawienie się tych przedmiotów, na nabycie których wydaje swój zarobek.

Uogólnię przeto tę zasadę:

Popyt na spożycie określa cel i kierunek pracy wytwórczej.

Zasada ta jest tak prostą i widoczną, że nie potrzebuje dalszych objaśnień, a jednak przy jej świetle nikną błędne zrozumienia naszego przedmiotu i w rozpatrywaniu zawikłanych urządzeń nowoczesnych dochodzimy do tego samego punktu zapatrywania się na istotny cel i wynagrodzenie pracy, do jakiegośmy doszli, rozbierając stosunki pierwotnych społeczeństw i panujący wówczas sposób wytwarzania i zamiany. Widzimy, że dzisiaj, zarówno jak dawniej, każdy robotnik stara się zaspokoić wszystkie potrzeby własną pracą; widzimy, że jakkolwiek podział pracy dozwala pracującemu wytworzyć małą część z niezbędnych dlań przedmiotów, niemniej jednak on sam je niejako wytwarza, gdyż przyjmując udział w ogólnem wytwarzaniu skłania innych do wytwarzania potrzebnych mu przedmiotów.

W ten sposób jeśli ktoś kuje topory a zjada pszenicę, to pszenica jest również dobrze wytworem jego pracy, jakgdyby przyczynił się sam do zasiania i zebrania jej, a kucie toporów pozostawił rolnikom.

Widzimy zatem, że robotnik nie pobiera żadnej zaliczki z kapitału, jakkolwiek czerpie z ogólnego zasobu i zużywa nie jedno w zamian za swą pracę. Jeżeli zrobiłem kołowrotek i za otrzymany zarobek kupiłem pszenicę, wymieniłem poprostu kołowrotek na pszenicę, czyli dołożyłem kołowrotek do ogólnego zasobu bogactwa a wzięłem zeń pszenicę. Ponieważ jednak zapotrzebowanie oznacza kierunek pracy wytwórczej, przeto póki wytwarzanie nie będzie nadmiernem, nikt nie może zarzucić, ażebym zmniejszył zapas pszenicy; gdyż dokładając kołowrotki do bogactwa, przeznaczzonego na wymianę, a bio-

racę zeń pszenicę, wskazałem niejako innym, że winni wytwarzać pszenicę; tak jak rolnik dokładając pszenicę, a żądając w zamian kołowrotków, nakłania robotników do ich wytwarzania.

Podobnież człowiek idący za pługiem własną pracą wytwarza swoje pożywienie i swoją zapłatę, jakkolwiek ziarno nie zostało jeszcze rzuconem w ziemię a od siewy do żniwa dużo czasu jeszcze upłynie. I chociaż orka jest tylko częścią wytwarzania zboża, niemniej jednak jest ona jego częścią równie niezbędną jak ziarno. Jest ona jednym krokiem naprzód w wytwarzaniu ziarna, krokiem, który oddziela z ogólnego zapasu bogactwa pożywienie i zarobek oracza, dając większą pewność szczęśliwego zbioru. Prawda to nietylko teoretyczna, lecz i praktyczna w dosłownem jej znaczeniu. Przypuśćmy, że w porze orki rolnicy przestaną iść za pługiem. Czyż oznaki niedostatku nie objawiłyby się natychmiast, nie czekając na czas żniwa? Gdy zatrzymamy pługi, czy natychmiast nie odczujemy złych następstw zarówno w domu handlowym, jak w składzie maszyn i w fabrykach? Czy warsztat tkacki i wrzecziono nie ustaną jednocześnie z pługiem? Że takby było, mamy dowód na chwilach następujących po nieurodzaju. Zatem, jeżeli takie byłyby następstwa czyż oracz nie wytwarza w samej rzeczy swego pożywienia i zarobku tak, jakgdyby wynikiem jego pracy całodziennej lub tygodniowej były te przedmioty, na które wymienił swą pracę?

W rzeczywistości, jeśli tylko znajdują się robotnicy poszukujący zajęcia, to brak kapitału nie przeszkodzi właścicielowi żyznego kawałka ziemi ciągnąć z niego korzyści w razie zażyczenia. Może on, jak to ogólnie jest przyjętem w Stanach Zjednoczonych, rozkolonizować grunt, a wtedy koloniści, którym brak środków do życia, otrzymają w sąsiednim sklepie kredyt za pracę, którą wykonać mają, albo dzierżawcy sami chcąc wypłacać robotników, uzyskają kredyt, słowem praca nad uprawą ziemi zostanie zużytkowaną lub zamienioną w miarę postępów roboty. Jeżeli ogólna ilość zużytkowanych przedmiotów, przewyższy tę, która byłaby zużyta, gdyby robotnicy, nie mogąc znaleźć zajęcia, byli zmuszeni żebrać, (gdyż w każdym ucywilizowanym społeczeństwie robotnicy muszą żyć jakkolwiek) wtedy czynioną jest niejako zaliczka z zapasowego kapitału z zamiarem powetowania jej w miarę wykończenia wytworów pracy. Naprzykład w 1877 roku w czysto rolniczych ziemiach Południowej Kalifornii był zupełny nieurodzaj i tysiące owiec padło z głodu. W wielkiej dolinie Św. Joachima wielu dzierżawców, nie miało czem na przednówku wyżywić rodzin swych i służby. Pomimo tego, zaczęli oni z nadejściem pory deszczowej najmować robotników do orki i siewy, korzystając z niewielkich zapasów ziarna, które się gdzieniegdzie zostały. Właściciele zboża starali się je sprzedać jaknajprędzej, obawiając się obniżki po żniwach; ziarno przeszło w ręce rolników, którzy dzięki tej zaliczce

i wymianie, mogli uchronić się od nowej klęski i grożącego im głodu.

Cały łańcuch wymiany, łączący wytwórcę ze spożywcą możnaby przyrównać do zakrzywionej rurki napełnionej wodą. Jeżeli będziemy wciąż dolewać w jeden otwór, to odpowiednia ilość wody wylewać się będzie przez drugi. Nie będzie to też sama woda, lecz ilość jej równoważna. Tak samo wytwórcy dokładają nowe bogactwo, i biorą dla siebie część wytworzonych przedmiotów—zapłata ich przeto i pożywienie jest istotnie wytworem ich pracy.

ROZDZIAŁ V.

Istotna działalność kapitału.

Może teraz zająć pytanie, jaka jest istotna działalność kapitału, jeżeli on nie jest potrzebnym do wypłaty zarobku i do wyżywienia pracujących? Kapitał, jakśmy widzieli, jestto bogactwo przeznaczone do wytworzenia nowego bogactwa, w odróżnieniu od tego, które jest użytem na zaspokojenie potrzeb, albo, jakem określił powyżej, jestto bogactwo będące w drodze zamiany.

Kapitał przeto, zwiększa potęgę wytwórczą pracy, gdyż 1) daje nam środki ułatwiające i przyspieszające pracę, tak, że dziś możemy kopać rów rydlem a nie rękoma, kierować okrętem, nie za pomocą wiosłowania, lecz przez dorzucanie węgla do pieca. 2) Daje on pracy możność korzystania z twórczych sił przyrody, np. otrzymywania zboża przez zasiew, osvajania i hodowania zwierząt. 3) Ułatwia wprowadzenie podziału pracy, w skutek czego z jednej strony wznaga wydajność bogactwa, zużytkowując wiadomości specjalne i powiększając wprawę robotnika; z drugiej zaś strony, potęguje znaczenie pierwszego czynnika wytwarzania t. j. przyrody, albowiem uczy korzystać z właściwości gruntu, klimatu i położenia geograficznego, tak, że każdy rodzaj bogactwa wytworzonym być może w najodpowiedniejszych dla niego warunkach przyrodzonych.

Kapitał nie dostarcza, jak tego dowodzono, materiałów, które praca przetwarza na bogactwo; materiałów tych dostarcza

sama przyroda, a stają się one kapitałem wtedy dopiero, gdy mogą być zamienione na inne, lub gdy je praca częściowo przetworzy.

Zarobek nie jest zaliczką z kapitału, nie jest nigdy zaspokajany z niego, jak tego błędnie dowodzą. Zarobkiem jest ta część wytwórcza pracy, która przechodzi na własność robotnika. Robotnicy zajęci pracą wytwórczą, nie żyją z kapitału, jak to tego błędnie dowodzą. Żyją oni z swej pracy. Człowiek wytwarzający częściowo, lub w całości, przedmiot, który może być wymienionym na artykuły spożywcze, sam te artykuły wytwarza.

Kapitał przeto, jak tego błędnie dowodzą nie ogranicza przemysłu; jedynym ograniczeniem przemysłu, jest stopień możliwości korzystania z sił przyrody. Kapitał może tylko wpływać na formę przemysłu i na jego wytwórczość; jemu to bowiem zawdzięczamy, że zmieniać można narzędzia i korzystać z dobroczynnych skutków podziału pracy.

Jasną jest rzeczą, że kapitał może wpływać na formy przemysłu. Bez faktoryi nie byłyby wykonywane związane z niemi czynności; bez maszyny do szycia niktby nie mógł szyć na maszynie, bez pługu nie byłoby oracza, bez wielkich obrotowych kapitałów przemysł nie mógłby przybierać owych form specjalnych, a tak niezbędnych do wymiany. Również jasną jest rzeczą, że brak narzędzi ogranicza znacznie wytwórczość przemysłu. Gdyby rolnik, nie mając dostatecznego kapitału, zmuszonym był używać rydła zamiast pługa, sierpa zamiast żniwiarki, cepów zamiast młocarni; gdyby mechanik musiał zadawałniać się dłutem przy przeróbce żelaza, tkacz—ręcznym warsztatem i t. d. wytwórczość przemysłu byłaby znacznie mniejszą niż obecnie, gdy kapitał w postaci wydoskonalonych narzędzi, wspiera przemysł. Podział pracy byłby niedostatecznym, zamiana dokonywałaby się jedynie między najbliższymi sąsiadami, gdyż nagromadzenie większych ilości ukończonych utworów, lub zajęcie się przewiezieniem ich, byłoby niemożliwym. Nawet myśliwstwo, rybołówstwo, zbieranie orzechów lub wyrabianie broni niemogłoby być zajęciem specjalnem człowieka, gdyby nieodkładano pewnej części tego co wytworzyli inni, tak, żeby człowiek zajęty wytworzeniem jednych przedmiotów, mógł w razie zapotrzebowania otrzymać inne, i wynagrodzić sobie szeszupły zarobek jednego dnia, nadzieją sutej zapłaty na jutro.

Istnienie udoskonalonego podziału pracy, które jest cechą charakterystyczną wyższej cywilizacji, wymaga nagromadzenia dużej ilości bogactw zapasowych, przeznaczonych do przewiezienia. Mieszkaniec ucywilizowanego społeczeństwa, wtedy tylko może wymienić swą pracę, na pracę, zarówno sąsiadów swoich jak mieszkańców drugiego krańca świata, jeżeli magazyny, sklepy, okręty, wagony towarowe, będą zapełnione wytworzonym

bogaactwem; podobnie jak mieszkaniec dużego miasta, wtedy tylko może dostać ze studni dzbanek wody, jeżeli w rezerwoarach są miliony garncey wody, sprowadzonej przez tysiące rozgałęzionych rur.

Lecz twierdzenie, że kapitał ogranicza formy lub wytwórczość przemysłu, nie znaczy bynajmniej, aby kapitał miał ograniczać sam przemysł. Ekonomisci mówiąc, że „kapitał ogranicza przemysł,” mają na myśli ograniczenie usiłowań pracy, a nie form i wytwórczości tejże. Twierdzenie to zawdzięcza swoje pozorne prawdopodobieństwo przypuszczeniu, jakoby kapitał dostarczał pracy środków do życia i utrzymywał ją—przypuszczeniu bezzasadnemu, jakieśmy dowiedli, a które staje się stanowczo niedorzecznem z chwilą, kiedy przypomnimy sobie, że kapitał jest wytworem pracy, a zatem, że praca musi poprzedzać nagromadzenie kapitału. Kapitał może ograniczać formy i wytwórczość przemysłu, lecz nie znaczy to, by nie mogło być przemysłu bez kapitału, gdyż tkacz może pracować bez wielkiego warsztatu, szwaczka może szyć nie posiadając maszyny, rolnik może uprawiać ziemię bez pługa. Czyż człowiek zamieszkujący sam jeden bezludną wyspę, Robinson Cruzoe np., nie może pracować dlatego, że nie może wyników swej pracy wymienić na inne?

Zresztą co innego jest powiedzieć, że kapitał *może* ograniczać formy i wytwórczość przemysłu, a co innego że *musi* je ograniczać. Przy bliższem bowiem badaniu, okazuje się, że wypadki, w których kapitał społeczny ogranicza formę i wytwórczość przemysłu, są więcej teoretyczne aniżeli praktyczne. Oczywiście, że w krajach jak Meksyk i Tunis, większe i ogólniejsze użytkowanie kapitału zmieniłoby w znacznej części formy przemysłu i powiększyło niezmiernie wytwórczość jego; często też mówimy, że te kraje potrzebują kapitału, do rozwinięcia swych zasobów. Lecz czyż w samej rzeczy niema tam innych niedostatków, innego braku, pociągającego za sobą brak kapitału? Czyż istotną przeszkodą do nagromadzenia i użytkowania z kapitałów, nie będzie tu chciwość i nadużycie rządu, niezabezpieczenie własności, wreszcie ciemnota i przesady ludzi? Bezwątpienia, możemy przedstawić sobie społeczeństwo, w którem brak kapitału będzie jedyną przeszkodą, tamującą rozwój przemysłu, lecz na poparcie musielibyśmy wyobrazić sobie dziwny zbieg okoliczności, zdarzyć się mogący tylko przejściowo. Za jedyny przykład podobnego stanu rzeczy, może służyć państwo spustoszone przez wojnę, przez pożary lub wstrząśnienia przyrody, lub społeczeństwo świeżo utworzone przez napływ ucylizowanych cudzoziemców. Oddawna już zauważono, jak szybko odtworzonym zostaje na nowo kapitał, w krajach spustoszonych przez wojnę i jak prędko powstaje on w nowych społeczeństwach.

Oprócz tych rzadkich i przejściowych warunków, nie mogą sobie przedstawić takiego społeczeństwa, w któremby brak kapitału ograniczał rzeczywiście wytwórczość przemysłu. Jakkolwiek bowiem, mogą się znaleźć się w społeczeństwie jednostki, których praca nieprzynosi należytych korzyści, z powodu braku kapitału, jednak dopóki istnieje społeczny zapas jego, rzeczywistym ograniczeniem przemysłu, będzie tylko zły podział bogactw. Jeżeli, jak np. w Irlandyi, błędny system rządowy nie dozwala rolnikowi posiadać kapitału, jeżeli niesprawiedliwe prawodawstwo odbiera wytwórcy bogactwo, którem on przyczynił się do rozwoju przemysłu, a oddaje je pasożytom społeczeństwa, wówczas rząd, a nie brak kapitału, tamuje wzrost przemysłu. To samo powiedzieć można, o ciemnocie ludu, obyczajach i innych warunkach, które wywierają stokroć szkodliwszy wpływ na wzrost przemysłu, aniżeli sam brak kapitału.

Dajcie udoskonaloną piłę mieszkańcowi Ziemi Ognistej, lokomotywę Beduinowi z Arabii, lub maszynę do szycia kobiecie z plemienia czerwonoskórych i zobaczycie, czy posiadanie tych narzędzi, powiększy choć w części wydajność ich pracy. Na nicby się również nie zdało, obdarowanie ich czemkolwiek, coby powiększyło kapitał ogółu, zużyliby bowiem lub roztrwonili wszystko, czego nie zwykli uważać za kapitał. Brak nasion i narzędzi nie jest przyczyną, powstrzymującą plemiona Komanszów i Apaszów od uprawy roli. Należałoby przedewszystkiem odzwyczaić ich, od życia koczowniczego i nauczyć rolnictwa, jeśli chcemy, by spożytkowali właściwie dane im nasiona i narzędzia. Gdyby przy obecnej swej cywilizacji, wzbogacić ich całym kapitałem Londynu, przestałby on wówczas być kapitałem, gdyż oni zaledwie nieskończenie małą jego częśćkę, tę mianowicie, która by mogła ułatwić im polowanie użyłoby wytwórczo, a i to uczyniliby dopiero, po spożyciu jadalnej części bogactwa, którem zostali tak szczerze obdarowani. Nie należy jednak sądzić, by nie czuli oni zupełnie potrzeby kapitału, umieją go sobie przyswoić często, z przewycięzeniem największych trudności. Te dzikie plemiona polują i walczą najlepszą bronią, wytwarzaną w faktorych angielskich i amerykańskich, zwracając uwagę na najświeższe w tych wyrobach udoskonalenia. Za tem też idzie, że zrozumieliby użytek kapitału, którego potrzebuje społeczeństwo ucylizowane, gdyby sami doszli do wyższego rozwoju.

Za panowania Jerzego IV misjonarze angielscy, wracając z Nowej Zelandyi do kraju, przywieźli dowódcę jednego z plemion tamtejszych, zwanego Hongi. Jego szlachetna postawa i piękne utatuowanie zwracały ogólną uwagę; przedstawiony królowi i niektórym stowarzyszeniom religijnym uzyskał wkrótce pozwolenie powrotu do swoich, obdarowany znacznym zapasem rolnych i rzemieślniczych narzędzi i nasion. Wdzięczny Zelandczyk użył tego kapitału na powiększenie swego zasobu żywności, lecz w sposób, o jakim nie myśleli jego opiekunowie. Prze-

jeżdżając przez Sidney zakupił broń i naboje i wróciwszy do domu rozpoczął natychmiast wojnę z innym plemieniem, a skutek wyprawy był tak pomyślny, że po pierwszej potyczce ugotowano i zjedzono na placu bitwy, trzystu jeńców, Hongi zaś rozpoczął ucztę, wylupiwszy oczy śmiertelnie ranionemu przeciwnikowi, dowódcy plemienia nieprzyjacielskiego i pijąc ciepłą krew z ran jego *).

Dziś jednak, gdy te nieustanne wojny skończyły się i niektóre plemiona przyjęły w znacznej części zwyczaje europejskie, znajduje się pomiędzy nimi wiele jednostek, posiadających znaczne kapitały i umiejących z nich użytkować.

Również byłoby błędem utrzymywać, że jedynie brak kapitału wywołuje pierwotny sposób wytwarzania i wymiany, używany w nowych społeczeństwach. Podobne pierwotne wytwarzanie i wymiana, przynoszące mało korzyści i wymagające mało kapitału, są najodpowiedniejszymi w równie pierwotnych warunkach bytu, nowo powstającego społeczeństwa. Wielkie faktorye i zaprowadzone w nich udoskonalenia używają bez wątpienia najskuteczniejszych sposobów przetwarzania wełny lub bawełny na sukno, lecz tylko w wielkich ilościach. Sukno, potrzebne mieszkańcom małej wioski, może być wytworzone z daleko mniejszym trudem, przy pomocy wrzeciona i ręcznych warsztatów tkackich. Udoskonalona tłocznia drukarska, przygotowuje tysiące egzemplarzy w tym samym czasie, w którym na tłoczni Stanhope'a lub Franklina, można ich wydrukować setkę zaledwie, a jednak niewielkim potrzebom prowincjonalnego dziennika, daleko lepiej odpowiada stara maszyna drukarska. Czółno może zastąpić miejsce parowca, w celu przepłynięcia dwóch lub trzech podróży; kilka worków mąki można z mniejszym wysiłkiem pracy przewieźć konno, lub wozem, niż w wagonach kolei żelaznej; przygotować wielki zapas towarów w sklepiku, w małym miasteczku, było by to po prostu trwonić kapitał. Słowem, widzimy, że pierwotny sposób wytwarzania i wymiany, rozpowszechniony w nowych społeczeństwach i w krajach mało zaludnionych, jest spowodowany, nie tyle brakiem kapitału, co nieumiejętnością korzystnego zeń użytkowania.

Podobnie jak do wiadra można nalać tyle tylko wody, ile się w niem mieści, tak w społeczeństwie, tyle tylko bogactwa może być uważanem jako kapitał, ile go wymaga mechanizm wytwarzania i wymiany, mechanizm odpowiedni istniejącym warunkom t. j. oświacie, obyczajom, gęstości zaludnienia i t. p. Skłaniam się przeto prawie do twierdzenia, że społeczeństwo wytwarza zawsze potrzebną mu ilość kapitału, tak jak zdrowy organizm ludzki, wytwarza odpowiednią ilość tłuszczu.

*) Nowa Zelandya i jej mieszkańcy. Ryszard Taylor. Londyn 1855 r. Rozdz. XXI.

Lecz bez względu na to, czy prawdą jest, że kapitał ogranicza wytwórczość przemysłu i określa w skutek tego maximum płacy robotczej, widoczną jest rzeczą, że istnienie nędzy w krajach ucywilizowanych, nie pochodzi z braku kapitału. Gdyż zarobek nie tylko nie dosięga nigdy granicy wytwórczości przemysłu, lecz bywa stosunkowo niższym w krajach obfitujących w kapitał. Narzędzia i mechanizm wytwarzania w postępowych społeczeństwach, przewyższają zazwyczaj potrzeby; gdyż widoki na korzystne zastosowanie wywołuje je w większej ilości aniżeli kapitał ich potrzebuje.

Wiadro jest tu nietylko pełnem, lecz nawet przepełnionem. Jest to tak widocznem, że nietylko ludzie niewykształceni, lecz nawet poważni myśliciele, przypisują ucisk przemysłu zbyt niemu nagromadzeniu maszyn i takiemuż nagromadzeniu kapitału, a wojna która jest zniszczeniem kapitału, uważana jest za czynnik wpływający na ożywienie handlu i podniesienie ceny zarobku. Do takich to wniosków dochodzą ci, którzy utrzymują, że kapitał służy do nabycia pracy i zapłacenia zarobku.

Zadaniem naszym jest rozwiązać zagadnienie, na które dotąd otrzymaliśmy tylko sprzeczne i niezgodne ze sobą odpowiedzi. Uczyniliśmy już krok nader ważny, określając jasno czym jest kapitał i do czego służy, lecz to dopiero zaledwie krok pierwszy. Streścimy przeto wszystko cośmy dotychczas powiedzieli i idźmy dalej.

Widzieliśmy, że ogólne mniemanie, jakoby cena zarobku zależała od stosunku ilości robotników, do ilości kapitału, przeznaczonego dla nabycia pracy, nie zgadza się z dobrze znanym faktem, że wysokość zarobku i stopy procentowej, są zawsze w stosunku prostym, nigdy zaś w odwrotnym.

Ta sprzeczność nauki z rzeczywistością skłoniła nas, do badania podstawy podobnego twierdzenia, i doszliśmy do wniosku, że wbrew ogólnym teoryom, zarobek nie wynika z kapitału, lecz zostaje wytworzonym przez pracę, dla której jest zapłatą. Widzieliśmy, że robotnicy nie żyją z kapitału i nie biorą zeń żadnej zaliczki, że zadaniem kapitału jest jedynie wspieranie pracy wytwórczej przez dostarczanie jej narzędzi, nasion i t. d. oraz bogaetwa, przeznaczonego do wykonania zamiany.

W ten sposób, dochodzimy do wniosków praktycznych, tak brzemiennych znaczeniem, że wynagradzają nam one w zupełności pracę podjętą. Jeżeli więc zarobek jest wytworem pracy, a nie kapitału, musimy uznać jako bezzasadne ogólnie przyjęte teorie, co do stosunku kapitału do pracy i potępic wszelkie sposoby ulżenia nędzy, przez powiększenie kapitału, lub przez zmniejszenie ilości robotnika, bez względu na to, czy są one wygłasza-

ne przez mistrzów ekonomii politycznej, czy przez nieoświeconych robotników.

Jeżeli każdy robotnik wykonywając swą pracę, sam wytwarza kapitał na zapłacenie swego zarobku, to cena zarobku nie może się zmniejszać w skutek powiększenia ilości robotników, lecz przeciwnie, ponieważ przy tem wydajność pracy wzrasta, przeto, jeżeli inne warunki pozostaną też same, im więcej jest robotników, tem cena zarobku powinna być większą.

To niezbędne zastrzeżenie „jeżeli inne warunki pozostaną też same“ naprowadza nas na kwestyę, którą należy zbadać i rozstrzygnąć zanim będziemy mogli pójść dalej. Kwestyą tą jest: Czy twórcze siły przyrody zużytkowane przez ludność pracującą, wyczerpują się w skutek wzrastania tejże ludności?

KSIĘGA II.

Zaludnienie i środki do życia.

Więc walka? z przyrodą—Boga...
I wre nią przyroda cała?
O byt gatunku tak dbała!
Życiu jednostki tak wroga!

Tennyson.

ROZDZIAŁ I

Teorya Malthusa. Historia jej powstania i dowody podane na jej poparcie.

Oprócz teoryi dotąd przez nas rozbieranych istnieje jeszcze jedna, na którą należy zwrócić uwagę. Ogólnie przyjęte poglądy co do powstawania zarobków i praw kierujących nimi, znajdują najsilniejsze poparcie w teoryi, której Malthus nadał swoje nazwisko, a której myśl zasadnicza zawartą jest w twierdzeniu: „ludność szybciej dąży do rozmnażania się niż środki do życia.“ Dwie te teorye popierając się wzajem, służą ekonomistom za odpowiedź na badane przez nas zagadnienia społeczne.

Zdaje mi się, że potrafiłem dowieść, iż ogólnie przyjęte zdanie, jakoby cena zarobku zależała od stosunku kapitału do ilości robotników, jest tak dalece bezzasadnem, iż należy się dziwić tylko, jakim sposobem mogło ono uzyskać sobie uznanie tak trwałe i powszechne. Nie dziwi nas, że myśl taka mogła powstać w ustroju społecznym, w którym liczna ludność robocza, szukając pracy i zarobku, zdaje się być na łasce odrębnej zupełnie warstwy kapitalistów, i że w podobnych warunkach została ona przyjętą przez ogół tych, którzy nie zadają sobie trudu, odróżnić prawdopodobieństwa od prawdy; lecz godnem jest podziwu, że zdanie, które przy zastanowieniu okazuje się tak bezpodstawnem, mogło być podzielonem przez tylu nowoczesnych myślicieli, któ-

rzy poświęcili swe zdolności pracy nad wyjaśnieniem i ugruntowaniem zasad ekonomii politycznej.

Fakt ten, niedający się zkądinąd objaśnić, pochodzi ztąd, powtarzamy, iż teoria Malthusa została tak ogólnie uznana. Teoria zarobku nigdy nie była poddana krytycznemu badaniu, gdyż dzięki wspierającej ją teorii Malthusa ekonomiści uważali ją za prawdę oczywistą. Obie te teorie połączone wzmacniają się i bronią wzajemnie i jednocześnie obie znajdują poparcie w zasadzie, która otrzymała wybitne znaczenie w rozprawach nad teorią renty i polega na tem, że po przejściu pewnej granicy dalsze wkładanie kapitału i pracy do uprawy coraz to mniejszy przynosi dochód. Wszystkie zjawiska i urzadzenia, spotykane w dotychczasowych społeczeństwach postępowych, zdają się zgadzać tak dalece ze wszystkimi temi teoriami, iż roztrząsanie ich wydaje się zbytecznem.

Trudno orzec, której z tych dwóch teoryj należy się historyczne pierwszeństwo. Prawo ludności wtedy dopiero zostało sformułowaniem dość dokładnie, by mogło uzyskać powagę dogmatu naukowego, kiedy już i prawo zarobku do znaczenia takiego doszło. Powstały one i rozwijały się jednocześnie i, jakkolwiek bardzo nieobrobione, istniały duzo wcześniej, zanim ujęto ekonomię polityczną w pewien systemat. Z niektórych ustępów dzieł Adama Smitha można wnioskować, że uczony ten podzielał teorię Malthusa w pierwotnej jej postaci, i temu właśnie możnaby przypisać po części zboczenie jego rozumowań w kwestyi zarobku. Bądźco bądź, obie te teorie tak są ściśle z sobą związane, tak się dopełniają wzajemnie, że Buckle śledząc za postępem ekonomii politycznej w „Rozwoju umysłowości szkockiej w XVIII w.“ przypisuje przeważnie Malthusowi zaszczyt „ostatecznego ugruntowania“ teorii zarobku przez udowodnienie, że spadająca cena zarobku wynika z zbytniego rozmnożenia się ludności stosunkowo do wzrostu środków życiowych.

Powiada on w „Historji Cywilizacji Anglii“ (Tom III, Rozdz. 5). „Wraz z końcem XVIII wieku uzupełniono ważne to odkrycie. Stanowczo zostało dowiedzionem, że wynagrodzenie za pracę zależy wyłącznie od dwóch rzeczy, a mianowicie od wysokości tego narodowego zasobu, z którego się wszelka praca opłaca, i od liczby robotników, pomiędzy których zasób ten się dzieli. Wielki ten krok w postępie wiedzy naszej winniśmy głównie, lubo niecałkowicie, Malthusowi, którego dzieło „O ludności,“ nie tylko że stanowi epokę w dziejach myśli spekulacyjnej, ale pociągnęło za sobą wiele praktycznych następstw a prawdopodobnie przyniesie jeszcze ważniejsze. Wyszło, ono w r. 1798 tak, że Adam Smith, który zmarł w r. 1790, nie doczekał się już tego, coby mu było największą sprawilo przyjemność—widzieć własne swoje pomysły raczej rozszerzone niż poprawione. Zaiste niezawodną jest rzeczą, że bez Smitha nie byłoby

Malthusa, to jest że, gdyby Smith nie był położył fundamentów, Malthus nie zdołałby gmachu zbudować.“

Głośna ta teoria, która od pierwszej chwili swego istnienia wywarła tak ogromny wpływ na kierunek myśli, nie tylko w dziedzinie ekonomii, lecz nawet w zakresie spekulatywnego rozumowania, została uogólnioną przez Malthusa w zdaniu, że, jak się okazuje ze wzrostu ludności w koloniach Północnej Ameryki, ludność wzrasta w postępie geometrycznym, dążąc do podwojenia się w okresie dwudziestopięcioletnim, podczas gdy środki do życia „nawet w warunkach najpomysłniejszych dla przemysłu, mogą wzrastać zaledwie w postępie arytmetycznym, czyli że w każde 25 lat, przybywa ilość równa tej, która istnieje obecnie.“ Zdziwimy się niesłychanie, naiwnie utrzymuje dalej Malthus, gdy zestawimy konieczne następstwa owych dwóch nie jednakowo wzrastających szeregów. A zestawia on je w taki sposób.

„Przypuścimy, że ludność wyspy wynosi 11 milionów, a ogół wytworzonych przedmiotów dozwala obecnie każdemu żyć wygodnie. Po upływie pierwszych 25 lat, ludności będzie 22 miliony i środki do życia, podwajając się w pierwszym okresie, będą zupełnie wystarczające. Po następnem 25 leciu, ludność wynosić będzie 44 miliony, środki zaś do życia wystarczą zaledwie na utrzymanie 33 milionów. W następnym znów okresie z ogólnej ludności t. j. 88 milionów, połowa tylko, będzie mogła mieć zapewnione utrzymanie. Wreszcie przy końcu pierwszego wieku będzie 176 milionów ludności, środki zaś do życia wystarczą na wyżywienie 55 milionów tak, że 121 milionów mieszkańców zostanie bez chleba.

„Zamiast wyspy, weźmy teraz pod uwagę całą kulę ziemską—wylączając naturalnie z rachunku wychództwo—i przypuścimy, że ziemia jest zaludniona obecnie, przez tysiąc milionów mieszkańców i że ród ludzki wzrasta w następującym postępie: 1, 2, 4, 8, 16, 32, 64, 128, 256, środki zaś do życia jak 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9. Po upływie dwóch wieków stosunek ludności do środków do życia będzie 256:9; po upływie trzech wieków jak 4096:13; a po upływie dwóch tysięcy lat niepodobna będzie znaleźć wykładnika tego stosunku.“

Ponieważ ogólna cyfra ludności musi być sprowadzoną do granic, zakreślonych przez sumę istniejących środków do życia, przeto Malthus wyprowadza wniosek, że nadmierny wzrost ludności musi być powściąganym przez wstrzemięźliwość płciową i przez rozliczne przyczyny zwiększające śmiertelność jak: przestępstwa, wojna, nędza i t. d. Środki zmniejszające rozrost ludności, nazywa on tamą zapobiegającą, środki zaś zwiększające śmiertelność—tamą naturalną. Taka jest głośna teoria Malthusa, wygłoszona przez niego samego w szkicu „O Ludności.“

Nie warto rozwodzić się nad fałszywym stosunkiem wzrostu ludności do środków życiowych; ten postęp geometryczny i arytm-

metyczny przywodzi mi na myśl gonitwę zająca z żółwiem, które przez wieczność całą zrównać się w biegu nie mogą. Stosunek ten nie jest nieodzownie teorii Malthusa potrzebnym, został on odrzuconym przez wielu jej zwolenników; Mill np. odzywa się o tem porównaniu jako „o nieudatnej próbie udowodnienia rzeczy, które i bez tego są widoczne dla każdej jednostki zdolnej rozumować logicznie“ *).

Treścią teorii Malthusa jest, że ludność mnoży się prędzej niż środki do życia; a czy przyjmemy jak Malthus postęp geometryczny dla wzrostu ludności, a postęp arytmetyczny dla wzrostu środków do życia, czy, idąc za Millem powiemy też, że ludność idzie w postępie rosnącym, a środki do życia w postępie malejącym, to jest już kwestyą podrzędną. Zasadniczą myślą, na którą zgadzają się obaj, a którą wyrazimy słowami Malthusa jest ta, że „ludność dąży stale i nieustannie do rozmnażania się nadmiernego, w stosunku do istniejących środków życiowych.“

Oto najprostsza forma, w jakiej obecnie można wyrazić teorię Malthusa:

Ludność, dążąc stale do rozmnażania się prędzej od środków potrzebnych jej do życia, musi je wyczerpywać stopniowo, co utrudnia z czasem coraz bardziej warunki istnienia. To też wszędzie gdzie zdolność rozmnażania nie miarkowana rozważą zdola rozwinąć się w całej pełni, tam dojść musi do tego stopnia nędzy, który doprowadzi ludność do normy odpowiedniej do środków utrzymania, któremi ludność ta rozporządza.

Teorya ta w zasadzie swej również jest niezgodną z dobrocią i mądrością Stwórcy, jak szemrania tych, którzy usiłują odpowiedzialność za nędzę i smutne jej następstwa przypisywać niezbadanym wyrokom Opatrzności. Nadto twierdząc, że przestępstwa i cierpienia są nieuniknionym wynikiem naturalnego popędu z którym łączą się najczystsze i najśłodsze uczucia, teorya tu staje w sprzeczności z poglądami głęboko w umysłach ludzkich zakorzenionemi; to też była ona od pierwszej chwili swego istnienia zwalczana z zawziętością, w której często więcej było zapału niż logiki. A jednak wyszła zwycięzko z tych walk i pomimo zarzutów Godwinów, pogroźek Cobbet'ów i pocisków, wymierzanych nań przez rozumowania, szyderstwo, ironię i uczucie, staje ona w obec całego świata jako pewnik niezbity, uzyskując potwierdzenie tych nawet, którzy spoglądają na nią z niedowierzaniem.

*) Zasady Ekonomii politycznej Ks. II Rozdz. 9. Pomimo tego, co mówi Mill, jasną jest rzeczą, że Malthus silny kładzie nacisk na ustanowiony przez siebie stosunek, zresztą wydaje mi się bardzo prawdopodobnem, że temu właśnie zawdzięcza on rozległą swą sławę, gdyż szumne formuły zdobywają powódnie prędzej niż dokładne rozumowanie.

Łatwo pojąć powody tego tryumfu i źródła tej potęgi. Teorya Malthusa, opierając się pozornie na pewniku matematycznym, że nieustanny wzrost ludności musi ostatecznie wyczerpać zdolność wyżywcze ziemi, że wreszcie tej ziemi nawet na pomieszczenie zabraknąć może, szuka porównania w stosunkach królestw zwierzęcego i roślinnego, w których różne gatunki toczą nieustanną walkę z przeszkodami tamującymi rozrost, a porównaniom tym coraz więcej znaczenia nadaje nowy prąd myśli, dążący do obalenia różnic, zachodzących między różnorodnymi objawami życia i istnienia. Zresztą teorię tę stwierdza pozornie wiele faktów oczywistych np. większa stosunkowo ilość przestępstw, ubóstwa i nędzy w krajach gęsto zaludnionych; wzrost materialnego postępu, który, powiększając ludność, nie przynosi ulgi nędzarzom; szybki napływ ludności do świeżo zaludnionych krain, wreszcie mniejsze rozmnażanie się ludności w krajach gęsto zaludnionych, spowodowane ogromną śmiertelnością klas, skazanych na niedostatek.

Teorya Malthusa podaje zasadę ogólną, która objaśnia wyżej podane i inne podobne fakta w sposób zarówno zgodny z twierdzeniem, że zarobek wynika z kapitału, jak i ze wszystkimi wnioskami ztąd wyprowadzonymi. Zgodnie z teorią zarobku, jakoby wartość jego spadać miała w miarę wzrostu ludności roboczej, sprowadzającego większe rozdrobnienie kapitału, teorya Malthusa twierdzi, iż nędza wzrasta, w miarę jak wzrost ludności sprowadza większe rozdrobnienie środków do życia.

Obie te teorye są w gruncie jednoznaczne i stają się jednoznaczne nawet formalnie, gdyż ekonomia polityczna zbyt często przeistacza nazwy, biorąc za jedno kapitał i środki do życia, ludność w ogóle i ludność roboczą *).

Tak też jest w istocie; teorya ludności, podana przez Malthusa, ugruntowała ostatecznie teorię zarobku Smitha, jak to utrzymuje Buckle w ustępie przytoczonym powyżej.

W kilka lat po wydaniu szkicu „O Ludności“ Ricardo, chcąc sprostować błąd Smitha co do istoty i pochodzenia dochodu gruntowego, podał jeden dowód więcej na poparcie teorii Malthusa, twierdząc, że dochód gruntowy musi wzrastać w miarę potrzeb wzrastającej ludności, zmuszonej do uprawiania mniej żyznych krain, lub mniej żyznych okolic danego kraju. W ten sposób powstała potrójna kombinacya, a teorya zarobku utworzona najpierw i teorya dochodu gruntowego powstała później podpierają z dwóch stron gmach wzniesiony przez Malthusa; wykazują one bowiem, prawdziwość teorii Malthusowskiej (że ilość ludności przewyższa summę istniejących środków do życia), dowodząc

*) Można się przekonać, jaki wpływ wywarła teorya Malthusa na zrozumienie pojęcia kapitału, porównyując określenie Smitha, który pisał przed Malthusem z określeniami Ricarda, Mac Cullocha i Milla, którzy pisali po nim.

spadania ceny zarobku i podnoszenia się dochodu gruntowego w miarę rozmnażania się ludności danego kraju.

Teorya Malthusa, stanowiąc niejako punkt środkowy nauki ekonomii, (gdyż teorya tak ogólnie przyjęta nie uległa od czasów Ricarda żadnej zasadniczej zmianie, chociaż nieustannie była objaśniana), jest wprawdzie wstępną dla uczucia, o ile się doń odnosi, lecz nie staje w sprzeczności z innymi pojęciami warstwy robotczej szczególnie w dawniej zamieszkałych krajach; przeciwnie nawet harmonizuje ona z nimi niemniej, jak i teorya zarobku, na której się ona opiera i której jednocześnie za podstawę służy. Robotnik łatwo zgodzi się na to, że konkurencya, spowodowana przeludnieniem, jest przyczyną niskiej zapłaty i trudności w znalezieniu pracy, a brudne i zacieśnione mieszkania nędzarzy wydają mu się oczywistym dowodem tegoż przeludnienia.

Teorya Malthusa temu atoli najwięcej zawdzięcza swój tryumf, że nie staje ona w sprzeczności z interesami i prawami, które moiżni tego świata przywłaszczyli sobie, lecz przeciwnie pochlebia tym interesom i prawa te zabezpiecza. Powstała ona w czasach, w których upadały dawne środki obrony i dawne urządzenia, służące za uniewinnienie przywilejom, dzięki którym mniejszość monopolizowała na swoją korzyść dobra tego świata. Twierdząc bowiem, że niedostatek i nędza powstają z przyczyn naturalnych, teorya ta niedozwala ich przypisywać instytucjom politycznym, a zatem znosi odpowiedzialność rządów. szkic „O Ludności“ był oczywiście odpowiedzią daną Wilhelmowi Godwinowi, na jego „Badania nad Sprawiedliwością Polityczną“, w których autor udawadnia ogólne ludzkie prace do równości; Malthus zaś napisał swój „Szkic“ w celu usprawiedliwienia istniejących nierówności społecznych i, ochraniając od odpowiedzialności urządzenia ludzkie, zrzucił całą winę na wyroki Stwórcy. Nie była to myśl nowa, gdyż czterdzieści lat przedtem Walloce, odpowiadając na ogólne żądanie równego podziału bogactw, wykazał niebezpieczeństwa mogące wyniknąć z nadmiernego rozmnażania się ludzi; lecz chwila, w której Malthus wypowiedział to samo, była dobrze wybraną, wówczas bowiem, bogacze, przejęci strachem na widok świeżo wybuchłej Rewolucyi francuskiej, z obawą patrzeli na wszelkie krytyki panującego stanu rzeczy.

Zarówno dziś jak i wtedy teorya Malthusa odmawia racyi bytu wszelkim żądaniom reformy i uwalnia egoizm od odpowiedzialności moralnej w obec opinii i własnego sumienia, podając nieuniknioną konieczność za jedyne źródło złego. Na takiej to filozofii opierał się ów bogacz z Biblii, co uczłował wesóło, nie myśląc o Łazarzu konającym z głodu u jego progu; ona to dozwala odmówić jałmużny żebrakowi i, siedząc w pysznej ławce w kościele, błagać Ojca wszystkich ludzi o nowe łaski bez żadnego poczucia odpowiedzialności za rozpacz ubogiego, który o parę kroków dalej kłęczy na gołej ziemi. Gdyż, według tej te-

oryi nędza, niedostatek i śmierć głodowa nie wynikają z wadliwego ustroju społecznego lub z nienasyconej żądzy jednostek, lecz są nieuniknionem następstwem praw przyrody, z którymi walka byłaby również bezskuteczną, jak stawianie przeszkód powszechnemu prawu ciężenia ciał, a w dodatku byłaby nawet bezbożną. Z tego punktu zapatrywaniu się człowiek, który wobec nędzy ogólnej zebrał pewien majątek, przyrównywa siebie, do podróżnego, który znalazł małą oazę wśród palącego piasku pustyni, zasypującego innych towarzyszy jego. Zyskał on dużo dla siebie, nie krzywdząc nikogo. Zresztą, gdyby nawet bogaci chcieli wypełniać dosłownie rozkazy Chrystusa i podzieliли majątności swoje pomiędzy ubogich, nikt by na tem nie zyskał. Ludność wzrosłaby wkrótce nadmiernie w stosunku do istniejących kapitałów i do środków życiowych, a równość, wytworzona w ten sposób, byłaby jedynie równością ogólnej nędzy. Wystawiając w ten sposób z góry jako bezskuteczne wszelkie reformy sprzeczne z interesami możliwych, odstręczono ogół od zmian tego rodzaju. Ponieważ prawa moralne zakazują niweczyć środki, którymi prawa naturalne się posiłkują, aby pozbyć się nadmiaru ludności, i przeciwdziałać popędowi ludzi do rozmnażania się, przeto żadne usiłowania ani pojedyncze, ani zbiorowe, nie wykorzenią nędzy; należy jedynie zaufać skuteczności rozpowszechniania oświaty i nakazywać wstrzemięźliwość płciową.

Każda zasada, która wydaje się logiczną warstwom ubogim, a usprawiedliwia chciwość i samolubstwo bogaczy, musi rozpowszechnić się prędko i zakorzenić głęboko. Tak się też stało z teorią podaną przez Malthusa.

W ostatnich czasach teoria ta została jeszcze wzmocnioną przez zmianę pojęć co do pochodzenia człowieka i co do rozwoju gatunów. Zdaje mi się, że nietrudno byłoby wykazać, o ile Buckle miał słuszności, twierdząc, że teoria Malthusa stanowi epokę w historii myśli spekulacyjnej, lecz nie możemy dalej śledzić wpływu jaki ona wywarła na dziedzinę filozofii, (do której należy zaliczyć dzieło Buckle'a) bo badanie to, jakkolwiek nader zajmujące, przekracza jednak zakres naszej pracy. Nie możemy wszakże pominąć związku, istniejącego między teorią Malthusa i nową, tak potężną dzisiaj filozofią rozwoju, jeżeli chcemy ocenić dokładnie wszystkie źródła, z których teoria ta czerpie swoją potęgę. Wiemy już, że teoria zarobku i teoria dochodu gatunkowego podniosły teorię Malthusa do godności prawdy naukowej, lecz znaczenie jej wzmagają się jeszcze i wydaje się być niezwalczonem w skutek rozszerzenia pojęć co do rozwoju życia organicznego we wszystkich jego formach. Agassiz, który do ostatniej chwili swego życia był zaciętym przeciwnikiem nowej filozofii, twierdził, że Darwinizm jest „prześiąknięty na wskroś Malthusem,“ zresztą sam Darwin powiada, że walka o byt „jest to zastosowanie teoryi Malthusa do kró-

lestwa zwierzęcego i roślinnego w całej jej rozciągłości i potędze *).

Nie wydaje mi się poprawnem twierdzenie, jakoby teoria rozwoju drogą doboru naturalnego i utrzymywania się doskonalszych gatunków była zastosowaniem Malthusjanizmu, gdyż teoria Malthusa nie obejmowała początkowo pojęcia rozwoju, i z istoty swej obejmować go nie potrzebuje. Lecz wkrótce zostało pojęcie to do niej podanem. Mac Culloch **) przypisuje udoskonalenia społeczne i rozwój sztuk „zasadzie wzrastania“ i twierdzi, że wynikająca zeń nędza jest bodźcem dla rozwoju przemysłu, dla nauki i dla nagromadzenia bogactw bez którego to bodźca ludzkość popadłaby w krótkim czasie w ogólne zniechęcenie i chyliłaby się ku upadkowi. Czyż to nie jest uznanie w ludzkim społeczeństwie potężnych następstw „walki o byt“ utrzymywania się doskonalszych gatunków, czynników, za pomocą których, jak twierdzą najnowsze powagi naukowe, przyroda wywołała do życia te nieskończenie różnorodne istoty, których ustrój jest tak cudownie przystosowanym do warunków, wśród których istnieć muszą? Czyż to nie jest przyznanie siły na pozór nieubłaganej i okrutnej, dzięki której pracą niezliczonych stuleci najniższe twory przeistoczyły się w mięczaki, mięczak w małpę, małpa w człowieka, a wiek dziewiętnasty mógł się stać dalszem następstwem kamiennego okresu?

W ten sposób pojęta, przez naukę poparta i pozornie dowiedziona teoria Malthusa t. j. twierdzenie, że nędza powstaje w skutek nadmiernego wzrostu ludności w stosunku do summy istniejących środków życiowych czyli wyrażając to w innej formie, że wzrost ludności roboczej dąży do sprowadzenia ceny zarobku do minimum płacy, za którą robotnicy zgodzą się pracować—jest przyjętą obecnie jako pewnik niezaprzeczalny, na mocy którego należy objaśniać zjawiska społeczne tak, jak przez długie wieki zjawiska niebieskie objaśniane były na zasadzie nieruchomości ziemi, a prawa Mojżeszowe uważano jako podstawę badań geologicznych. Potrzeba ogromnego zasobu odwagi, by pomimo tylu uczonych dowodzeń zaprzeczyć prawdziwości teorii Malthusa, jest ona bowiem uznana przez cały ogół myślący i wpływ jej uwydatnia się zarówno w literaturze poważnej jak i w książkach mniejszej wartości. Zgadniają się na nią ekonomiści i mężowie stanu, historycy i badacze przyrody, posiedzenia socyologiczne i kupieckie, duchowni i materyaliści, najzacofańsi konserwatyści i najskrajniejsi radykaliści. Rozprawiają o niej ci nawet, którzy nigdy nie słyszeli o Malthusie i nie mają wyobrażenia, czem rzeczywiście jest ta teoria.

*) Pochodzenie gatunków. Rozdział III.

**) Przypisek IV do „Bogactw Narodów.“

Jednakże sędzę, że wykażemy jej bezzasadność tak, jakżeśmy to uczynili z pokrewną jej teorią zarobku. Zmniejszylśmy już nieco potęgę tego olbrzyma, dowiodłszy, że zarobek nie wynika z kapitału.

ROZDZIAŁ II.

Wnioski oparte na faktach.

Sędzę, że ogólne rozpowszechnienie teorii Malthusa i mnogość powag naukowych, broniących jej prawdziwości, wystarczą, by wykazać konieczność zbadania podstawy, na której się teoria ta opiera i przyczyn, które nadały jej potężny wpływ na „kwestję socyalną.“

Być może, iż poddawszy samą teorię szczegółowemu rozbirowi, znajdziemy, że i ona, podobnie jak teoria zarobku, nie wytrzyma próby.

Przedewszystkiem fakta, przytoczone dla dowiedzenia tej teorii, nie wykazują jej prawdziwości; a porównania, przeprowadzone w tym celu, również jej nie popierają.

Powtóre, istnieją fakta zaprzeczające jej stanowczo.

Zadam cios zasadniczej myśli, wykazując, że ani doświadczenie, ani porównywanie nie dostarczają słusznych powodów do twierdzenia, że wzrost ludności jest szybszy od wzrostu środków do życia. Fakta, przytoczone na poparcie powyższego twierdzenia, dowodzą jedynie tego, że popęd do rozmnażania się, gdyby nie był tamowany, mógłby przewyższyć ilość środków do życia tam mianowicie, gdzie, jak w nowych społeczeństwach z powodu zaludnienia słabego, lub też jak w starych między uboższymi warstwami z powodu nierównego podziału bogactw, życie ludzkie ma za główny cel walkę o zaspokojenie najpierwszych swych potrzeb. Nie jest to jednak wniosek dość uzasadniony, by go można zastosować do społeczeństw, w których nie brak ludności lub w których sprawiedliwszy rozdział bogactw pomiędzy całą ludność, dałby możność dbania nie tylko wyłącznie o zapewnienie sobie utrzymania. Nie można również twierdzić, iż popęd do rozmnażania się, sprowadzając nędzę, przeszkodzi istnieniu podobnego społeczeństwa; rozumowanie podobne, odbierając nam punkt wyjścia, zmusza do powtarzania jednego w kółko. Gdybyśmy bowiem przypuszczali nawet, że popęd do rozmnażania się

musi ostatecznie wytworzyć nędzę, to jeszcze nie mielibyśmy prawa twierdzić, że istnienie nędzy pochodzi z tej właśnie przyczyny, dopóki nie bylibyśmy zupełnie pewni, że ta nędza nie da się wyprowadzić z żadnej innej okoliczności; obecny zaś ustrój rządu, prawodawstwa i zwyczajów przeszkadza nam do zdobycia podobnych pewników. Jest to wykazane dokładnie w samym szkicu „O prawie Ludności.” Warto by przeczytać przez samą ciekawość to dzieło, o którym wielu rozprawia, nie znając go zupełnie. Sprzeczność, zachodząca pomiędzy wartością dzieła, a skutkami jakie sprowadziło i temi, jakie mu przypisują; (gdyż jakkolwiek Jakób Stuart, Townsend i inni dzielą z Malthusem zaszczyt odkrycia prawa ludności, dopiero ukazanie się szkicu „O prawie Ludności“ nadało rozgłos tej kwestyi) sprzeczność ta jest jednym z najciekawszych zjawisk w historii literatury i nietrudno też zrozumieć, dla czego Godwin, którego „Sprawiedliwość Polityczna“ wywołała szkic „O prawie Ludności“ nie uważał do późnego wieku za potrzebne wystąpić z odpowiedzią. Dzieło to zaczyna się twierdzeniem, że ludność dąży do rozmnażania się w postępie geometrycznym, podczas gdy środki do życia mogą, przy najszcześniejszych warunkach, wzrastać w postępie arytmetycznym; twierdzenie to jest również mało uzasadnionem, jakgdybyśmy, opierając się na fakcie, że gdy długość ogona młodego szczenięcia podwaja się w przeciągu pewnego czasu, waga jego ciała w tym samym czasie o tyleż funtów się zwiększyła, chcieli utrzymywać, że u szczeniąt ogon rośnie w postępie geometrycznym, waga zaś—w postępie arytmetycznym. Wniosek, wyprowadzony z tego twierdzenia, jest tak komicznym, że trzeba by ostrego pióra Swifta, który przyjąwszy podane przez nas porównanie i zestawiając ustanowiony przez nas stosunek, przewidziałby „ważne następstwa“ wynikające z tego, że gdy pies dojdzie do wagi 50 funtów, ogon jego będzie miał przeszło milę długości i zaleciłby używanie bandaży jako „tamy zapobiegającej, by uchronić biednego psa, od nieustannych amputacyi ogona t. j. od tamy naturalnej.“ Szkic, rozpoczęty od takiej niedorzeczności, zawiera następnie długie rozumowania, podjęte w celu wykazania konieczności cła na przywóz zboża i podatków za wywóz jego, — rozumowania zaliczone już od dawna do rzędu wyszydzonych sofizmatów. Całe, nader sztucznie wyrozumowane ustępy dowodzą, jak dalece autor nasz jest pozbawionym zdolności logicznego myślenia; powiada on np. że gdyby cena zarobku wzrosła od 18 pensów, lub dwóch szyllingów dziennie, do 5-ciu szyllingów, to nawet i cena funta mięsa podniosłaby się od 8 lub 9 pensów do 2—3 szyllingów, w skutek czego położenie warstwy roboczej nie uległoby żadnej pomyślnej zmianie. Dowodzenie to mógłbym chyba przyrównać do tego, co znajomy mój drukarz poważnie utrzymywał, że ponieważ pewiem autor miał 40 lat wtedy, gdy on miał 20, a zatem dziś, gdy on (drukarz) doszedł do lat 40, autor musi liczyć 80 lat

wieku. Podobna niejasność myśli cechuje całe dzieło, a nietylko pojedyncze jego ustępy *).

W całej książce pełno jest dowodzeń, które w gruncie są niczem innym, jak tylko zarzutami, stawianymi teoryom tam podanym, gdyż zapatrywanie się Malthusa na to, co on nazywa „tamtą naturalną“ wykazuje dobitnie, że zjawiska, które on przypisuje nadmiernemu wzrostowi ludności, pochodzą z przyczyn zupełnie innych. Ze wszystkich przytoczonych przykładów— a czerpie on je ze wszystkich części świata,—wykazujących pozornie, że przestępstwa i nędza zmniejszają się w skutek ograniczenia liczby małżeństw i skrócenia życia ludzkiego, niema ani jednego, w którymby też przestępstwa i nędzę należało rzeczywiście przypisać nadmiernej ilości ust do jedzenia w porównaniu do ilości rąk, zdolnych do wytwarzania pożywienia; lecz zawsze nędza i przestępstwa są wynikiem ciemnoty i chciwości ogółu, złych rządów, praw niesprawiedliwych, lub wreszcie klęsk spowodowanych przez wojnę.

A jednak dziś każdy może jasno wykazać to, o czem Malthus zapomniał. Napróżnobyśmy badali przebieg historii, lub uczynili przegląd całej powierzchni kuli ziemskiej, nie znajdziemy ani jednego większego obszaru ziemi **), na którym nędza i niedostatek pochodziłyby z przeludnienia. Jakkolwiek potężnymi byłyby niebezpieczeństwa, wynikające z nadmiernego wzrostu ludności, nigdzie nie objawiły się one dotąd. Ta klęska nigdy nie trapiła jeszcze ludzkości. Powiadają nam, że ród ludzki dąży nieodmiennie do wzrostu, przewyższającego sumę istniejących środków do życia! Jakże więc stało się, że powierzchnia kuli ziemskiej jest dziś tak rzadko jeszcze zaludnioną, gdy tyle tysięcy, a nawet tyle milionów lat upłynęło, odkąd się człowiek na niej ukazał? Jak się to stało, że miejsca, w których dawniej wrzała działalność ludzka, są zamienione w pustynie, że

*) Inne dzieła Malthusa, jakkolwiek pisane wtedy, gdy imię jego było już głośnie, są uważane jako utwory bezwartościowe przez tych nawet, którzy przypisują wielkie znaczenie szkicowi „O prawie Ludności.“ Encyclopedia Britannica, która w zupełności podziela zapatrywania Malthusa, odzywa się w ten sposób o jego: „Ekonomii Politycznej.“ „Jest to dzieło bardzo niestaranie ułożone, nie dające dokładnego wyobrażenia o przedmiocie. Malthus zajmuje się tu przeważnie rozbieraniem teorii Ricarda i badaniem pochodzenia i przyczyn wartości. Trudno wynaleść coś bardziej niedostatecznego nad te rozprawy. Mówiąc szczerze, należy przyznać, że Malthus nie miał nigdy jasnego i ścisłego pojęcia o poglądach Ricarda, ani o przyczynach, od których zależy zamienna wartość przedmiotów.

**) Powiadają większego obszaru ziemi,—mogą bowiem istnieć małe wysepki odcięte od reszty świata, a zatem pozbawione możności wymiany, koniecznej do zaprowadzenia udoskonalonych sposobów wytwarzania, roz powszechnionych w krajach gęściej zaludnionych; takie tylko miejscowości mogłyby służyć jako przykład, udowadniający powyższe twierdzenie. Chwila zastanowienia wykazuje, że miejscowości, w tak wyjątkowych warunkach zostające, nie mogą być brane w rachubę.

polą niegdyś uprawne, dziś są porośnięte chwastem i że po dawnych siedzibach ludzkich dzikie zwierzęta, liżąc swe małe, przechadzają się dzisiaj.

Często bardzo uchodzi naszej uwagi fakt, że w historii rodu ludzkiego spotykamy równie ubytek, jak i powiększanie się ludności. Twierdzenie, że ludność kuli ziemskiej jest dziś liczniejszą, niż była w którejkolwiek uprzedniej epoce, należy przedej do rzędu domysłów, niż do prawd dowiedzionych. Od czasów Monteskiusza, który w pierwszej połowie zeszłego wieku utrzymywał, że ród ludzki zmniejszył się ilościowo od Chrystusa, wiele umysłów skłaniało się ku temu rozumowaniu. Najnowsze dociekania i badania uczonych przyznają słusność opowiadaniom starożytnych historyków i podróżnych, uważanym dawniej za przesadzone i odkrywają ślady pierwotnych społeczeństw, wysoce rozwiniętych pod względem cywilizacyjnym, i bardzo gęsto zaludnionych; zgadzają się oni również na to, że człowiek istnieje na ziemi od niepamiętnych prawie czasów. Jeżelibyśmy przyjąć chcieli za podstawę do naszych badań w tym względzie rozwój handlu i sztuk pięknych, oraz wzrost miast, to obliczylibyśmy błędnie ludność, która tem łatwiej mogła wyżywić się przycechującej pierwotne społeczeństwa uprawy ziemi na wielkich obszarach, że i sztuczne nawodnienie pól nie było tym społeczeństwu obcem. Odosobnione, a dobrze uprawne, przestrzenie Chin i Europy służą za dowód, że bardzo liczna ludność może żyć przy mało ożywionym handlu i przy stanie rzemiosł mniej udoskonalonych, niż w dzisiejszych czasach i niedążyć do skupiania się w wielkich miastach, za przykładem teraźniejszych ludów *).

Bądźcobądź, Europa jest częścią świata, o której z pewnością twierdzić możemy, że ma dziś więcej ludności, niż jej posiadała kiedykolwiek. Nie może się to jednak odnosić do wszystkich części Europy. Grecya np., wyspy morza Śródziemnego i Turcyja Europejska, prawdopodobnie Włochy, a być może Hiszpania, także były niegdyś więcej zaludnione niż dzisiaj, to samo miało może miejsce w Europie północno-zachodniej i w częściach jej północnych i wschodnich.

Ludność Ameryki wzrosła również od czasów, jak ją znamy; wzrost ten nie jest jednak tak znacznym, jak to

*) Sądząc z map podanych przez H. Bancfort'a przy jego dziele „Pierwotne Szczepy,” stan Vera Cruz, nie należy do części Meksyku, posiadających dużo zabytków starożytności. A jednak Hugo Fink z Kordowy powiada, że w stanie tym niema prawie stopy ziemi, w której przy rozkopywaniu nie znalazłoby pierwotnego noża, lub glinianego naczyńka; że cały kraj jest poprzerynany stosami kamieni poukładanymi równoległe z obawy, by podczas pory deszczów woda nie podmyła gruntu; wskazówki te każą nam wierzyć, że ludność starożytna osiedlała się w najuboższych nawet miejscowościach, a zatem, że była ona nie mniej gęsta, niż nią jest dzisiaj w najludniejszych krajach Europy.

ogólnie przypuszczają, gdyż niektórzy twierdzą, jakoby Peru w chwili, gdy kraj ten odkryty został, posiadało więcej ludności, niż dziś cała Ameryka Południowa. Wszystko zdaje się wskazywać, że ludność Ameryki zmniejszyła się w epoce, poprzedzającej jej odkrycie. Możemy tylko przypuszczać, jakie tam narodowości przeżyły swój okres, jakie państwa powstawały i upadały, w „tym nowym świecie, który już jest starym.“ Lecz odłamy olbrzymich zwałisk świadczą o potężnej cywilizacji Inkasów; wśród zwrotnikowych lasów Jukatenu i Środkowej Ameryki znajdują się gruzы wielkich miast zapomnianych jeszcze przed podbiciem tych krajów przez Hiszpanów; urzędnictwa społeczne, jakie Cortez znalazł w Meksyku, są nam dowodem pewnego stopnia rozwoju owych barbarzyńców; w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych napotykaemy tu i owdzie rozproszone wały i szanice, które świadczą o wielkiem stosunkowo dawnem zaludnieniu; w kopalniach miedzi położonych w okolicach Górnego Jeziora są ślady, że Indianie, zanim jeszcze zawiązali stosunki z „białymi ludźmi,“ znali już użytek pewnych narzędzi.

Co się tyczy Afryki, nie może tu zachodzić żadna wątpliwość. Północna Afryka posiada dziś zaledwie nieznaczną część dawniejszej swej ludności; dolina Nilu również była dawniej daleko gęściej zaludnioną; co się zaś tyczy szybkiego wyludnienia okolic Sahary, to było ono stanowczo spowodowane rozpowszerezeniem handlu niewolnikami.

Co do Azji, która dziś jeszcze jest zamieszkałą przez więcej niż połowę rodu ludzkiego, jakkolwiek co do gęstości zaludnienia nie można jej nawet porównywać z Europą, mamy jednak pewne dane, że Indie i Chiny posiadały niegdyś daleko więcej ludności; wielka zaś kolebka ludzkości, z której potoki całe wielką falą zalały Europę, musiała być również znacznie więcej zaludnioną. Najwidoczniej spostrzegamy tę zmianę w Azji Mniejszej, w Syrii, w Babilonie, w Persyi, słowem na tych obszarach ziemi, które niegdyś uległy zwyciężkiemu orężowi Aleksandra Macedońskiego. Tam, gdzie dawniej wielkie miasta roily się tłumami, widzimy dziś nędzne wioski, lub nieurodzajne pustynie.

Wydaje mi się nieco dziwnem, że ani jedna z tak licznych teoryj nie obliczyła ściśle długości życia ludzkiego. Obliczenie to prędzej może zgadzałoby się z faktami historycznymi, aniżeli twierdzenie, że wzrost ludzkości musi z czasem przewyższyć ilość środków do życia. Prawda, że ludzie ustępowali z jednych miejsc, a zajmowali inne, że zmieniali siedziby swe, że jedne narody powstawały, a drugie chyliły się do upadku i znikwały z powierzchni ziemi, że miejscowości mało zaludnione napełniały się ludźmi, podczas gdy ludne okolice stawały się bezludnymi; nie dowodzi to jednak, jeżeli nie będziemy wyprowadzali wniosków li tylko teoretycznych, żeby ilość rodu ludzkiego powiększała się nieustannie lub w pewnych danych epokach. Pier-

wotni pionierzy nigdy, o ile wiemy, nie zapuszczali się w kraje zupełnie bezludne; musieli oni staczać walki z narodami uprzednio tamże mieszkającymi, a zpoza potężnych państw dzisiejszych widnieją duchy ujarzmionych barbarzyńców. Zgadza się ogólnie na to, że ludzie byli niegdyś bardzo nieliczni, wiemy bowiem, że istniał okres geologiczny, w którym nie było jeszcze człowieka na ziemi, i nie możemy uwierzyć bajeczkom, jakoby z zębów smoka, posianych przez Kadmusa, powstała ogromna ilość ludzi, a jednak dostrzegamy liczną już ludność w odległej przeszłości, na którą historia, podania ustne i badania uczonych, rzucają słabe i zamglone światło. Widzimy dalej, że, pomimo tak dawnego zaludnienia, wzrost ludności nie był dość potężnym by przez tak długie wieki zapełnić całą ziemię, a nawet, o ile stanowczo twierdzić możemy, by powiększyć ogólną jej ilość. Ziemia jako całość jest dziś jeszcze bardzo rzadko zaludnioną w porównaniu z tą ilością ludzi, którą tworzyć jej siły wyżywićby mogły.

Istnieje jeszcze inny rozległy, ogólny fakt, który musi zwrócić uwagę każdego, kto myśląc o tej kwestyi sięga wzrokiem poza społeczeństwa nowożytne. Malthuzyanizm głosi prawo powszechne, że ludność dąży do powiększenia się szybszego, niż środki do życia. Jeżeli takie prawo istnieje, to wszędzie, gdzie tylko spotykamy znaczniejsze zgromadzenie ludności, powinniśmy ono stawać się tak oczywiście, jak wielkie prawa fizyczne. Jakże więc się dzieje, że nie znajdujemy poleceń, odnoszących się do „moralnej wstrzemięźliwości“ Malthusa, ani w traktatach filozoficznych i kodeksach Rzymu, ani u Żydów, Egipcyan, Hindusów, Chińczyków, słowem u żadnego z narodów, które doszły do pewnej cywilizacji, a posiadały własną filozofię i odrębne prawodawstwo, lecz przeciwnie wiedza stuleci i wszystkie religie wpajały pojęcia obowiązków społecznych i religijnych wprost przeciwne tym, które wygłasza nowożytna ekonomia polityczna i które obecnie Anna Besant usiłuje rozפשcechnić w Anglii.

Musimy nadto pamiętać, że istniały społeczeństwa, w których państwo samo zapewniało każdemu z mieszkańców możliwość pracy i wyżywienia się. Mill powiada (Księga II Rozdz. XII), że państwo musi ograniczyć ilość małżeństw i narodzin, inaczej bowiem wytworzy się ogólny stan nędzy i upadku. „Powyższe następstwa—twierdzi on—wskazane były tyle już razy, w tyłu dziełach znakomitych pisarzy, iż osobom wykształconym nie wolno już mylić się co do ich znaczenia.“ A jednak w Sparcie, w Peru, w Paragwaju, słowem w tych krajach przemysłowych, które przyczyniły się do pierwotnego zorganizowania rolnictwa, panowała widocznie zupełna nieświadomość owych strasznych następstw popęd naturalnego.

Poza tymi rozległymi, powszechnymi faktami, które wskazałem, istnieją jeszcze drobniejsze, a ogólnie znane, które

wydają mi się zupełnie niezgodne z ową zasadą nadmiernego rozmnażania się ludności. Jeżeli popęd do rozmnażania się jest tak silnym, jak Malthus przypuszcza, to czemuż przypiszemy tak często zdarzający się fakt wymierania rodzin, które nie zaznały nigdy niedostatku? Jak się to dzieje, że, pomimo iż lordowie angielscy mają nadane sobie przywileje dziedzicznych tytułów i dziedzicznych posiadłości, rodziny arystokratyczne wymierają, a Izba Lordów utrzymuje się w skutek tego jedynie, że w każdym prawie wieku nowe rodziny uzyskują indygenat?

Musimy się udać do Chin, chcąc wynaleść przykład rodziny, która w dostatku i zaszczytach przetrwała wieki całe. Istnieją tam jeszcze potomkowie Konfucjusza i stanowią oni jedyną właściwie arystokrację dziedziczną, używając osobnych przywilejów i zaszczytów. Według zasady, że ludność podwaja się w okresie 25-cio letnim, rodzina ta dzisiaj t. j. w 2150 lat po śmierci swego protoplasty powinna liczyć członków 859,559,193,106,709,670,198,710,528. Tymczasem zamiast tej olbrzymiej liczby, widzimy, że rodzina Konfucjusza we 2150 lat po jego śmierci czyli za panowania cesarza Kanghi liczyła 11,000 mężczyzn t. j. ogółem 22,000 dusz. Niezgodność z zasadą jest oczywista tem bardziej, jeżeli zwrócimy uwagę na to, że poszanowanie i cześć, jaką mieszkańcy Państwa Niebieskiego otaczają potomków swego mistrza, przeszkadzały zastosowaniu „tamy naturalnej” i że zasady Konfucjusza nie nakazują bynajmniej „tamy zapobiegającej.”

A jednak mógłby nam kto powiedzieć, że i takie rozmnażanie się jednej rodziny jest ogromnem, że jakkolwiek zrodzenie 22,000 osób z jednej pary w przeciągu 2150 lat dalekiem jest od stosunku, ustanowionego przez Malthusa, niemniej dozwala ona przypuszczać, iż w tych warunkach przeludnienie jest możliwe.

Zastanówmy się nad tem. Rozmnażanie się jednej rodziny nie jest przecie dowodem ogólnego wzrostu ludności. Smith i żona jego mają dwoje dzieci, syna i córkę, z których każde zawiera związki małżeńskie z córką i synem sąsiada a każde znów ze swej strony ma dwoje dzieci. Tym sposobem Smith i żona jego mają czworo wnucząt, lecz z tego powodu to pokolenie nie będzie liczniejszem od poprzedniego, gdyż każde z dzieci ma dwie pary dziadostwa. Przypuściwszy dalsze rozradzanie rodziny na setki, tysiące i miliony rozgałęzień, zobaczymy, że żadne pokolenie zstępne nie będzie zawierało więcej osobników, niż którekolwiek pokolenie wstępne. Pość dzieci, które może zrodzić jeden człowiek, jest nieokreśloną. To tylko jest pewnem, że miał on dwoje rodziców, którzy pochodzili również od dwóch par. Przeprowadźmy ten postępek przez kilka pokoleń, a zobaczymy, czy wykaże on nam „uderzające następstwa” równe tym, o których mówi głośny Malthus.

Lecz dajmy już pokój podobnym porównaniom i przejdźmy do ściślejszego rozumowania. Sądzę, że wypadki, podawane ogólnie jako przykłady przeludnienia, nie wytrzymają krytyki. Najczęściej wspominają w takich razach o Indjach, Chinach i Irlandyi. W każdej z tych krain wielu ludzi zginęło z głodu, całe zaś warstwy skazane są na straszną nędzę, lub zmuszone do emigrowania w obce strony. Czyż jednak przeludnienie jest rzeczywistym powodem tego nieszczęścia?

Indye i Chiny nie są miejscowościami najgęściej na kuli ziemskiej zaludnionymi, jeżeli porównamy ogół ludności do przestrzeni tych krajów; według obliczeń pp. Behma i Wagnera gęstość zaludnienia Indyj wynosi 132 ludzi na milę kw., Chin 119 na m. kw., podczas gdy w Saksonii wypada 442 ludzi na milę kw., w Belgii 441, w Angli 442, w Niderlandach 291, we Włoszech 234, w Japonii 233 *). W obu tych krajach znajdują się obszary leżące odłogiem, lub nieużytkowane należycie, lecz nawet, rozpatrując najgęściej zaludnione okolice, przypuszcząć należy, że dużo większa ludność mogłaby się tam wyżywić wygodnie, gdyż sposób wytwarzania, jest tam nader pierwotny i niedostateczny, a twórcze siły przyrody zupełnie nieużytkowane. Nie pochodzi to z wrodzonej nieudolności mieszkańców, Hindusi bowiem, jak to wykazała nauka porównawczego językoznawstwa, są wspólnego z nami pochodzenia; Chińczycy zaś, byli narodem ucywilizowanym i znali podstawy najnowszych wynalazków wtedy, gdy przodkowie nasi stanowili jeszcze hordę koczujących barbarzyńców. Przyczyną złych warunków ekonomicznych są urządzenia społeczne, zaprowadzone w tych krajach, okuwające w więzy siłę wytwórczą i krępujące rozwój przemysłu.

W Indjach warstwy pracujące pozostają od niepamiętnych czasów w rozpaczliwym położeniu w skutek zdzierstw i ucisku warstw wyższych. Przez długie lata rolnik miał się za szczęśliwego, jeżeli cheiwy i skąpy pracodawca pozwolił mu z wytworów pracy zachować dla siebie tyle, by mógł wyżywić rodzinę i zostawić trochę ziarna na przyszły zasiew; nie było zatem możności nagromadzenia kapitału lub użytkowania go w celach wytwórczych, bogactwo gwałtem wydarte ludowi przechodziło w ręce książąt lub ich ulubieńców, którzy jak rozbójnicy rabowali kraj, było też ono roztrwaniem na nieuży-

*) Biorę te dane z wykazów za rok 1873, opuszczając ułamki dziesiętne. Behm i Wagner twierdzą, że Chiny liczą 446,500,000 ludności, podczas gdy inni utrzymują, że zaludnienie to nie przewyższa 150,000,000. Według tychże obliczeń Indo-Chiny liczą 205,225,580 mieszkańców i 132,29 wypada na 1 milę kw.; wyspa Ceylon liczy 2,405,287 mieszk. t. j. 97,36 na 1 milę kw. Indostan zaś liczy 21,018,062 mieszk. czyli 27,94 na 1 m. kw. Obliczają oni ludność całej kuli ziemskiej na 1,337,000,000 mieszkańców, a zatem przecięciowo wypada 26.64 na 1 milę kw.

teczne i naganne zbytki, podczas gdy zasady religijne, polegające na wierzeniach strasznych i zabobonnych, tyranizowały umysł tak, jak siła fizyczna uciemiężała ciało. W podobnych warunkach mogły się rozwijać te tylko rzemiosła, które służyły do powiększenia wystawności i zbytku bogaczy. Słonie książąt indyjskich jaśniały od ozdób wytwornej złotniczej roboty; parasole, oznaka władzy królewskiej, połyskiwały od drogich kamieni, podczas gdy pługiem rolnika, był kij zaledwie zaostrzony. Dziewice z książęcego haremu osłaniały twarz muslinem tak cienkim, że go wschodnie ludy nazywały utkanym zefirem—lecz rzemieślnik musiał się posługiwać nędznymi i niedostatecznymi narzędziami, a działalność handlowa odbywała się prawie ukradkiem.

Czyż nie jest jasnym, że ów właśnie ucisk wytworzył nędzę i głód panujący w Indjach, i czyż można się zgodzić z twierdzeniem Buckle'a, jakoby nadmiar ludności spowodził nędzę—ta zaś wytworzyła ucisk? *).

Przewieleby Wilhelm Tennant, kapelan Towarzystwa Wschodnich Indyj pisze w r. 1796 na dwa lata przed wydaniem szkicu „O Ludności:“

„Trudno zaiste wytłomaczyć sobie tak często powtarzający się głód w Indostanie, jeżeli zwrócimy uwagę na nadzwyczajną żywność gleby tamtejszej. Zło nie może być przypisane nieurodzajności gruntu lub warunkom klimatycznym, musi ono tkwić w przyczynach politycznych i nie trudno odgadnąć, że przyczyną taką jest skąpstwo i zdzierstwo różnorodnych rządów. Przemysł jest pozbawionym najważniejszego bodźca, a mianowicie bezpieczeństwa. W skutek tego, każdy stara się zebrać tyle tylko zboża, ile mu go potrzeba na obecną chwilę, i pierwszy nieurodzaj sprowadza głód.

„Rządy Wielkich Mogołów nie zapewniały żadnej opieki ani wyższym ani niższym warstwom. Były one nieustannym szeregiem gwałtów, buntów, zdrad i kar, nie mogły przeto popierać handlu, ani rzemiosł, ani też wytworzyć określonego systemu rolnictwa. Nieprawdą jest twierdzenie, jakoby narody europejskie położyły koniec tym rządóm. Upadły one w skutek własnego zepsucia i wtedy nastąpiły czasy despotycznego panowania drobnych udzielnych wodzów, których prawa do rządów polegały na zdradzaniu państwa, a których tyranja była równie bezgraniczną jak ich skąpstwo.

*) „Historja Cywilizacji w Anglii,“ Tom I, Rozdz. 2. Buckle w rozdziale tym przytacza wiele przykładów panującego w Indjach od najdawniejszych czasów ucisku i poniżenia klas niższych i przypisuje te fakty urodzajności gruntu i innym warunkom ułatwiającym wytworzenie żywności, zaślepiony teorią Malthusa, z której uczynił kamień węgielny swych rozumowań.

„Podatki są, jeszcze i teraz czasami, a dawniej były zawsze pobierane dwa razy do roku przez wojsko, które jak zgraja zbójców wypędzało nieszczęśliwych włościan do lasów i, rabując następnie opustoszone wioski, zabierało dla siebie to wszystko, co mogło zaspokoić jego zachcianki lub nasycić chciwość. Wszelkie usiłowania, podjęte przez wieśniaków w celu obrony swej osoby lub własności, stawały się hasłem strasznej zemsty. Zmuszano ich ogniem z dział i karabinów do poddania się, następnie sprzedawano ujętych, a siedziby ich palono i równano z ziemią.

„Często zdarza się spotykać rolników, którzy pokonawszy obawę, zbierają rozproszone resztki tego, co było wczoraj ich mieszkaniem, częściej jednak widać dym palących się wiosek, a żadna ludzka istota nie przerywa ponurej ciszy tego straszego zniszczenia. Opisy te nie stosują się jedynie do rządów Mahometańskich, to samo dzieje się w prowincjach, zostających pod władzą Hindusów“ *).

Po tych bezlitośnych okrucieństwach, które wytwarzałyby nędzę i głód wtedy nawet, gdyby jeden tylko człowiek zajmował milę kw. przestrzeni, a kraj był rajskim ogrodem, nastąpiły w Indyach w początku rządów Wielkiej Brytanii zdzierstwa tem straszniejsze, że sam rząd miał więcej potęgi. Oto, co powiada Macaulay, w swoich Szkicach:

„W Kalkucie gromadzono olbrzymie majątki kosztem strasznej nędzy milionów ludzi. Byli oni dawniej już przyzwyczajeni do ucisku, lecz ucisk ten nie przybierał nigdy tak zatrważających rozmiarów. Rządy nowe były podobnemi raczej do władzy złego ducha, niż do ludzkiego panowania. Niektórzy znosili zło z poddaniem. Inni uciekali od białych ludzi, tak jak ich przodkowie od Maharatty, a podróżny angielski, niesiony w wytwornym palankinie, widział na około siebie milczące wsie i miasteczka, których mieszkańcy na wieść o jego przybyciu chronili się w niedostępne miejscowości.

Burke wymownem słowem rzuca potężniejsze światło na te okrucieństwa, o których Macaulay napomyka zaledwie,—opowiada on o ziemiach całych, poddanych nienasyconej chciwości najgorszych istot ludzkich, o miejscowościach, niegdyś zaludnionych, a dziś zamienionych w pustynię i o nędznych wieśniakach, którym gwałtem odbierano skąpe zapasy żywności.

Lecz ta bezprawna swawola pierwotnych rządów angielskich dawno już została powściągniętą. Potężna ręka Anglii, obdarowała pokojem ten olbrzymi kraj; sprawiedliwe prawodawstwo angielskie, wyrażone całym systematem mozolnie uło-

*) Wpomnienia z Indyj Wilh. Tennant, Londyn 1804, Tom I, Rozdz. XXXIX.

żonych kodeksów, zapewniło każdemu z tych pokornych i wzgardzonych narodów te same prawa, jakimi się cieszą wolni Anglo-Saksonowie; poprzerzynano cały półwysep siecią dróg żelaznych i pomyślano nawet o sztucznem nawodnieniu pól. A jednak, w miarę większego nagromadzenia się ludności jedna klęska głodowa następowała po drugiej, zadając tem straszniejsze ciosy, im przestrzenie były większe.

Czyż to wszystko nie jest potwierdzeniem teoryi Malthusa? Czyż to nie wykazuje jasno, że ludność dąży zawsze do przewyższenia środków życiowych bez względu na to, o ile wzrasta możność szybkiego wytwarzania tychże środków? Czyż Malthus nie miał słuszności, twierdząc, że sami zmuszamy przyrodę do otwierania nowych upustów nadmiaru ludności, skoro tylko zamkniemy upusty dawniej już istniejące, i że głód lub wojna będą zawsze potrzebne, dokąd popęd do rozmnażania się nie będzie tamowanym przez wstrzemięźliwość płciową? Takie były objaśnienia, wygłaszane przez prawowiernych ekonomistów. My jednak na zasadzie najnowszych rozpraw o sprawach indyjskich, podanych przez pisma angielskie, dochodzimy do przekonania, że istotną przyczyną ciągle panującego w Indyach głodu nie jest bynajmniej zbyt wielkie nagromadzenie ludności w porównaniu do wydajności ziemi.

Już nie jedno jarzmo ciążyło nad milionową ludnością indyjską, lecz żadne nie było tak ciemzące, jak jarzmo angielskie, którzy tę milionową ludność tak bardzo pozbawili środków istnienia, że aż to ich jarzmo doprowadzić może do najstraszniejszej katastrofy, jak to wykazują sami nawet angielscy pisarze. Inni najeźdźcy mieszkali w kraju, a jakkolwiek rządy ich były złe i tyrańskie, rozumieli oni ludność miejscową i wzajem od niej byli rozumiani; gdy obecnie Indye przyrównać się dadzą do wielkiego majątku, którego właściciel, nie tylko jest obcokrajowcem, lecz w dodatku, nigdy na miejscu nie przebywa. Urzędnicy angielscy uważają Indye tylko jako miejsce czasowego wygnania, zaprowadzili w nich nadzwyczaj kosztowne urzędnictwa wojenne i cywilne, za czem idzie, że olbrzymia suma, wynosząca co najmniej 20,000,000 fun. ster. (pobierana z ludności, której robotnik jest bardzo zadowolony, jeżeli w najlepszym razie zarobi 1½ do 4 pens. dziennie) zostaje corocznie wywożona do Anglii pod postacią podatków, pensyj urzędniczych, zwrotu rządowych kosztów, suma, która nigdy pod żadną formą, krajowi zwracana nie bywa. Podobnie rachunek wykazał, że kosztowne przeprowadzenie żelaznych kolei i nawodnienie pól, nie przyniosło żadnych dochodów. W niektórych częściach Indyi Anglicy podnieśli wysokość czynszu tak, by własność ziemską przeszła w ich posiadanie, co się też i stało, bo rolnicy nie byli w możności wnoszenia tak wysokich opłat. W innych okolicach, w których dochód gruntowy pobierany jest przez państwo pod postacią podatków, są one tak wysokie i ściągane tak niemilo-

siernie, że rolnicy, którzy w najlepszym razie mieliby tylko nędzne utrzymanie, popadają w szpony lichwiarzy, zdzierców, jeśli to jest możebnem, gorszych od państwa. Sól, najniezbędniejszy artykuł użycia, wszędzie, a szczególnie tam, gdzie pożywienie jest przeważnie roślinnem, jest obłożona podatkiem wynoszącym prawie 12 od 100, w skutek czego użytek jej w przemyśle nie jest możliwy i mało który mieszkaniec może jej nabyć ilości dostateczną dla siebie, swej rodziny i bydła. Prócz przedstawicieli angielskiego rządu, istnieje cała banda urzędników krajowych, która gnębi i zdziera na własną rękę. Ciężka administracja angielska stała się potężnem narzędziem rabunku w rękach krajowych lichwiarzy, u których wieśniacy są zmuszeni dla opłacenia podatków zaciągać pożyczki na najcięższych warunkach, wydając im obligi, których znaczenia nieraz sami nie rozumieją. „Nie dbamy zupełnie o ludność indyjską,” pisze Florencyja Nigthingale z uczuciem ciężkiego żalu. „Położenie wieśniaka w naszym wschodnim cesarstwie jest najsmutniejszą rzeczą, jaką na wschodzie, a nawet w świecie całym, widzieć można.” W dalszym ciągu swego dzieła, podaje ona jako przyczynę straszego głodu wysokość podatków pozbawiających wieśniaka środków uprawiania ziemi; twierdzi, iż uciemiężenie warstw ubogich, równające się istotnemu niewolnictwu „jest owocem naszych własnych praw” i stwierdza fakt, „iż w kraju najżyźniejszym na świecie, nawet w tych okolicach, w których nie trafia się ogólna klęska głodowa, śmierci głodowe bywają bardzo częste” *).

„Klęski głodowe, które pustoszą tak często Indye—powiada H. M. Hyndman **),—są po większej części klęskami pieniężnymi. Brak pożywienia pochodzi stąd, że ludzie nie są w stanie zaoszczędzić pieniędzy. A jednak jesteśmy niejako zniewoleni do wyższego jeszcze opodatkowania tego ludu.” Dalej wykazuje on, iż nawet z prowincyj, głodem dotkniętych, żywność w formie podatków bywa wywożoną i że wysokość tych podatków, zarówno jak pokrywanie olbrzymich wydatków rządu, wyczerpuje zupełnie zasób krajowy, zubożając co rok więcej ludność miejscową. Towary, wywożone z Indyi, składają

*) Panna Nigthingale (w artykule *Naród Indyjski* w zeszycie „Nineteenth Century“ za sierpień 1875 r.) podaje wiele dowodów, iż nędza rolników w Południowych Indjach spowodowana jest w znacznej części opieką i poparciem, jakie dzierstwo lichwiarzy i niższych urzędników krajowych znajduje w cywilnych władzach angielskich. Nasze prawodawstwo—powiada Dawid Wedderburn w art. „O protegowanych książętach indyjskich“ w poprzednim Czerwcowym numerze tegoż czasopisma—może być uważane jako ustrój pomagający bogatym uciemięzać ubogich, tak, że ci ostatni są nieraz zmuszeni chronić się przed sądowniczą władzą w głąb dzielnic niepodległych.“

**) Zobacz artykuły w „Nineteenth Century“ za październik 1878 r. i za Marzec 1879.

się przeważnie z wytworów rolnictwa. Przynajmniej za trzecią ich część,—jak oblicza pan Hyndman nigdy do kraju nie wraca, stanowią one daninę płaconą przez ludność, lub pokrywają wydatki administracyi angielskiej w Indyach *). Zresztą przywóz towarów składa się przeważnie z zapasów rządowych i przedmiotów zbytku, przeznaczonych dla przedstawicieli rządu angielskiego. Hyndman twierdzi jeszcze, że wydatki rządowe wzrosły ogromnie, odkąd Indye podniesione zostały do godności cesarstwa, że nadmierne opodatkowanie pozbawia środków do uprawy roli ludność i tak nędzną i nigdy nie sytą, że wołów (pociagowych zwierząt indyjskich) ubywa ciągle, że nędzne narzędzia rolnicze pozostają nieustannie w rękę lichwiarzy, „i my to ludzie interesu, zmuszamy rolników pożyczać od nich na 12, 24, 60%” **), ażeby mogli opłacić koszta budowli publicznych, które nigdy nie przynoszą więcej jak 5%. Mówi on dalej; „niezaprzeczalnie jest stwierdzonem, że rządy nasze zubożyły społeczeństwo indyjskie, i że zubożenie to zwiększa się ciągle z zadziwiającą szybkością.” A z twierdzeniem tem zgadzają się nie tylko fakta, podane przez przytoczonych przezemnie pisarzy, lecz nawet urzędowe sprawozdania angielskie. Ciągłe zwiększanie podatków potęguje tylko istotną przyczynę klęsk głodowych, na które uboczne usiłowania rządu nie zaradzić nie mogą. Jakkolwiek w Indyach Południowych 6,000,000 padło ofiarą strasznego głodu, a część pozostała znalazła się w zupełnej nędzy, nie ulżono jednak podatkom, a nawet podniesiono na 40% opłatę od soli, która już i pierwiej była artykułem zbytku dla tych nędzarzy. Ten sam nacisk na pobór podatków miał również miejsce w Bengalu podczas głodu 1770 roku.

Tylko bardzo powierzchowny sąd może dawną i obecną nędzę Indyj przypisać nadmiernemu wzrostowi ludności, w stosunku do środków pożywienia, jakich ziemia dostarcza. Gdyby rolnicy mogli sami dla siebie zużytkować swój mały kapitał, gdyby byli wolni od tego ucisku, który w najlepszych nawet latach stawia ich w gorszych warunkach bytu, niżeli te, które mają cipayowie i więźnie w dobroczynnych więzieniach angielskich, wtedy przemysł, podniosłszy się do większego wytwarzania, wystarczyłby bez wątpienia dla wyżywienia dużo większej ludności. Dziś jeszcze istnieją w Indyach olbrzymie przestrzenie leżące odłogiem, nietknięte dotąd bogactwa kopalne, a zresz-

*) Profesor Fawcett, pisząc o proponowanej pożyczce dla Indyj, podaje takie cyfry: 1,200 funt. sterl. przejazd i wyekwipowanie jednego z członków rady Jenerał-Gubernatora, 2,450 f. st. wyekwipowanie i przejazd biskupów Kalkuty i Bombaju.

***) Florencyja Nightingale mówi, że lichwiarze biorą zazwyczaj 100%. Niepotrzebujemy chyba objaśnić, że zyski podobne, zarówno jak i procenta pobierane przez lichwiarzy dających na zastaw, nie są odsetkiem w ekonomicznym znaczeniu tego wyrazu.

tą dowiedzionem jest, że ludność Indyi nie tylko nie przekroczyła od czasów historycznych granicy, poza którą twórcze siły przyrody wyczerpywać się zaczynają w skutek ciągłego z nich użytkowania, ale nawet jeszcze nie wzięła dotąd wszystkich tych sił na swój użytek. Istotną przyczyną nędzy w Indjach było zawsze i jest dotąd zdzierstwo człowieka, a nie ubóstwo przyrody.

Te same warunki powtarzają się w Chinach. Pomimo zaludnienia, stosunkowo dość gęstego w niektórych okolicach, nie ono to, lecz też same przyczyny, które widzieliśmy działające w Indjach, spowodowały nadzwyczajne ubóstwo warstw najniższych. Panuje tam zupełny brak bezpieczeństwa publicznego, a wytwarzanie i wymiana odbywają się w najniekorzystniejszych warunkach. Tam, gdzie działalność rządowa objawia się jednym szeregiem ucisków, a każdy dla zapewnienia nietykalności swego kapitału jest zmuszonym opłacać się mandarynom; gdzie wewnętrzne przenoszenie towarów odbywa się na ludzkich ramionach; gdzie dżonki (nazwisko statków chińskich) muszą być budowane w ten sposób, by były niezdatnymi do morskiej żeglugi; gdzie korsarstwo jest uprawnionym handlem; gdzie rozbójnicy tworzą należycie uorganizowane pułki, — tam zawsze musi istnieć nędza i głód bez względu na stopień zaludnienia *). Że Chiny są w stanie wyżywić ludność znacznie większą, tego dowodzą wielkie przestrzenie nieuprawnej ziemi, o których świadczą wszyscy podróżni, a również wiadome, lecz dotąd niewydobywane, bogactwa kopalne. Wiemy np., że Chiny posiadają, największe z dotąd znanych, pokłady węgla kamiennego. Łatwo sobie wyobrazić, o ile wzrosłyby środki wyżywienia ludności, gdyby wzięto się do wydobywania tego węgla. Węgiel nie jest pożywieniem—to prawda, lecz może on być wymienionym na pożywienie, — jak to ma miejsce we wszystkich krajach górniczych, — a rozwój nowej gałęzi przemysłu, dając możność użytkowania rąk tysiąca niezajętych robotników, da im zarazem środki do życia.

A zatem ani w Indjach ani w Chinach nie można oskarżać zbytniego nagromadzenia ludności, w stosunku do istniejących środków wyżywczych, o spowodowanie nędzy i głodu. Nie gęste zaludnienie lecz przyczyny, które nie pozwalają społeczeństwu rozwinać się w całej pełni i przeszkadzają robotnikowi zaoszczędzić owoc swej pracy, są powodem ostatecznej nędzy milionów ludu; one to częstokroć zupełnie pozbawiają masy możności wyżywienia się. Zbyt niemu nagromadzeniu ludności nie należy przypisywać tego, że Hindusi uważają się za szczęśliwych, jeśli dostaną garść ryżu, ani tego, że Chińczyk zjada szczury i szcenięta, ani tego także, że Indyanie żywią się konikami pol-

*) Ogniskiem głodu w Chinach nie zawsze były miejscowości najgęściej zaludnione.

nymi a tuziemcy w Australii robakami, które wyszukują w spruchniałych drzewach.

Niech mi wolno będzie wytłumaczyć się jaśniej. W powyższem dowodzeniu miałem na myśli nie to tylko, że Indye i Chiny mogłyby wyżywić większą ludność, gdyby postąpiły nieco na drodze rozwoju społecznego, na co wreszcie zgodzi się każdy zwolennik teorii Malthusa: nie zaprzecza on bowiem temu, że rozwój rzemiosł i wytwórczości daje możność wyżywienia się większej ilości mieszkańców. Lecz zasadniczym punktem teorii Malthusa jest twierdzenie, jakoby naturalny popęd ludzkości skłaniał ją zawsze do przekroczenia granicy określonej przez zdolność wytwarzania; jakoby następstwem owego popędu być musiał—że użyję tu słów samego Malthusa—taki stopień nędzy i przestępstw, który z konieczności stanie na przeszkodzie dalszemu rozwojowi pracy wytwórczej; za tem idzie, że w miarę wzrastania siły wytwórczej ludność wciąż powiększać się będzie w tym samym przewyższającym stosunku i doprowadzi znów społeczeństwo do uprzedniego położenia. Temu właśnie muszę zaprzeczyć stanowczo i twierdzę, że nigdzie jeszcze nie spotkałem przykładu, jakoby nędza i przestępstwa wypływały kiedykolwiek z rozmnożenia się ludności nadmiernego, stosunkowo do środków życiowych, lecz że, przeciwnie, są one zawsze i wszędzie wynikiem wojny, tyranii i ucisku, które nie pozwalają zużytkować należyście zasobu wiedzy ludzkiej i nie zapewniają bezpieczeństwa tak koniecznego dla rozwoju sił wytwórczych. Wykażemy później przyczyny, które sprawiają, że naturalny przyrost ludności nie sprowadza nędzy; teraz zajęci jesteśmy udowodnieniem, że dotąd przynajmniej nigdy on jej nie sprowadził. Okazało się to oczywiście w Indyach i w Chinach, a jest również oczywiście wszędzie, gdzie tylko zechcemy gruntownie rozpatrzyć zjawiska, które powierzchowny sąd ogółu zwykł uważać jako konieczne następstwa przeludnienia.

Irlandya jest jedynym krajem w Europie, który może służyć za przykład przeludnienia. Nadzwyczajne ubóstwo wieśniaków, niska płaca robocza, wychodźstwo, oraz ponawiające się często klęski głodowe uważane są ogólnie jako dowód popierający teorię Malthusa, dowód rozwijający się przed oczami świata cywilizowanego. Wątpię, czy możnaby znaleźć więcej uderzający przykład, jak dalece teoria z góry powzięta zaślepiła ludzi i nie dozwalała im rozpoznać prawdziwego stosunku faktów życiowych. Bo to tylko jest prawdą, że Irlandya nigdy jeszcze nie miała tyle ludności, by jej nie mogły wyżywić dostаточно naturalne siły kraju przy istniejącym rozwoju pracy wytwórczej. W okresie największego zaludnienia (od 1840—1845 r.) Irlandya miała około 8,000,000 mieszkańców. Lecz większa część tychże zaledwie wyżywić się mogła; odziani w łachmany, mieszkali w nędznych chałupach, żywili się kartoflami jedynie, to też gdy przyszła zaraza na kartofle, tysiące ich wymierać zaczęło. Czyż to jednak

niezdolność gruntu do wyżywienia tak znacznej ilości mieszkańców doprowadziła ich do takiej nędzy, że nieurodzaj jednej rośliny spowodował śmierć głodową? Czyż tutaj także nie napotykamy tego nielitościwego zdzierstwa, które odbierało rolnikom indyjskim owoc ich pracy i dozwalało im konać z głodu niezależnie od pożywienia, tak hojnie dostarczonego przez przyrodę? Wprawdzie mieszkańcy Irlandyi nie mieli nigdy do czynienia z bandami wędrownych poborców, którzy by rabowali i uciemiali kraj; lecz za to robotnicy tamtejsi są ogałacani ze wszystkiego przez również niemilosierzną warstwę posiadaczy ziemskich (landlordów), pomiędzy których ziemia rozdzieloną została, a którzy, uważając ją za swą własność bezwzględna, nie chcą przyznać żadnych praw uboższym uprawiaczom.

Zwróćmy uwagę na warunki wytwarzania, w jakich żyła ta ośmio milionowa ludność przed nadejściem zarazy na kartofle. Do stosunków tych możemy zastosować słowa Tennanta, wypowiedziane odnośnie do Indyj: „Przemysł pozbawionym jest najważniejszego bodźca, t. j. bezpieczeństwa publicznego.“ Uprawą ziemi zajmowali się przeważnie dzierżawcy, którzy nie śmieli zaprowadzać żadnych udoskonaleń nawet wtedy, gdy im pozwalały na to ogromne czynsze wymagane od nich, z obawy, by nowe udoskonalenie nie było dla właścicieli ziemskich hasłem do podwyższenia tegoż czynszu. Praca bywała częstokroć nadaremna i nie przynosiła żadnego dochodu; robotnicy, którzyby bezzwłocznie wzięli się do roboty, gdyby owoc ich trudów był zabezpieczonym, tracili czas i siły na bezcelowem próżniactwie. A jednak nikt nie zaprzeczy, że w tych nawet warunkach Irlandya nie tylko wyżywiła 8 milionów mieszkańców, lecz była nadto krajem wywozowym. Wtedy gdy zaludnienie było największe, gdy w kraju panował ciężki głód, wywożono zboże, mięso i masło drogami, oszańcowanemi ze stron obu przez stopy konających, lub zmarłych z głodu. Do kraju nie wracało w zamian za ten cały wywóz żywności lub przynajmniej za przeważną część jego. Przynosił on też same korzyści ludności irlandzkiej, jakgdyby żywność ta była wrzuconą do morza, spaloną, lub też niewytworzoną zupełnie. Nie była to wymiana, lecz danina—czynsz opłacany nieobecnyim właścicielom ziemskim, podatek ściągany od wytwórców przez tych, którzy w żadnej mierze nie przyczynili się do wytwarzania.

Gdyby pożywienie mogło być pozostać w ręku wytwórców, gdyby rolnicy mogli użytkować dla siebie kapitał własną pracą wytworzony; gdyby bezpieczeństwo publiczne, wpływając na rozwój przemysłu, dozwoliło wprowadzić różne niezbędne udoskonalenia,—wtedy największa nawet ludność mogłaby żyć wygodnie i zaraza na kartofle nie pozbawiłaby zwykłego obiadu ani jednej jednostki. Fałszywym jest bowiem twierdzenie angielskich ekonomistów, że jedynie niezaradność wieśniaków irlandzkich sprawiła, że kartofle stały się ich głównem pożywieniem. Wychodźcy

Irlandzcy nie żywią się kartoflami, gdy mogą dostać co innego; zresztą zapobiegliwość Irlandczyków staje się najbardziej widoczną w Stanach Zjednoczonych, tam bowiem usiłują oni zawsze odłożyć coś na czarną godzinę. Jeżeli przeto ludność żywi się wyłącznie kartoflami, to z tego tylko powodu, że nadmierne czynsze pozbawiają ją możności nabycia innego pożywienia. Nigdy więc przeludnienie nie było przyczyną nędzy i ubóstwa Irlandczyków.

Mac Culloch powiada w 1838 r. („Uwagi nad bogactwem narodów“ § 4) „Gęstość zaludnienia jest bezpośrednią przyczyną strasznej nędzy i ucisku ogółu ludności irlandzkiej. Mocę śmiało twierdzić, że w Irlandyi mieszka dwa razy więcej osób, niż kraj mógłby zatrudnić i wyżywić przy istniejących środkach wytwarzania.“

Ponieważ w 1881 r. ludność Irlandyi wynosiła 8,175,124, przeto możemy przyjąć, że w 1838 r. Irlandya liczyła około 8 mil. mieszkańców. A zatem na zasadzie twierdzenia Mac Cullocha, przy istniejących wówczas sposobach wytwarzania, około 4 milionów osób powinno było znaleźć zatrudnienie i żyć wygodnie. Dalej na początku zeszłego wieku, kiedy Swift pisał swoje „Modest Proposal“ Irlandya liczyła około 2 milionów mieszkańców. A zatem, ponieważ środki wytwarzania i rozwój przemysłu uległy niewielkiej zmianie w okresie między 1728 a 1838 rokiem, przeto jeżeli straszna nęcza i ucisk ludności w 1838 r. były spowodowane przeludnieniem, to—na zasadzie dowodzeń Mac Cullocha,—cała dwumilionowa ludność irlandzka w 1727 r. powinna była żyć w zamożności i mieć dostateczne zatrudnienie. Nie tak się jednak działo, gdyż mieszkańcy Irlandyi w 1727 znajdowali się w tak strasznej nędzy i uciemżeniu, że Swift z gorzką i zjadliwą ironią radzi, by używać mięsa ludzkiego na pokarm i dostarczać corocznie do jatek sto tysięcy niemowląt irlandzkich, jako przysmak dla bogaczy, w celu pozbycia się nadmiaru ludności.

Kto zastanawiał się nad nędzą Irlandyi, jak ja pisząc ten rozdział, temu trudno wyrażać się w przystojny sposób o zdaniach, spotykanych w dziełach takich nawet myślicieli jak Mill i Buckle, temu trudno zgodzić się na to, że jedynie tylko przeludnienie jest powodem nędzy i cierpienia Irlandczyków. Krew wre w żyłach, gdy się czyta chłodne opisy powszechnej i ciemniejszej tyranii, i jej to właśnie, a nie ubóstwu ziemi, należy przypisać objawy pauperyzmu i klęsk głodowych. Doprawdy, gdyby nie to, że historia świadczy, jak dalece nęcza obezwładnia i znieczula człowieka, możnaby powziąć uczucie pogardy dla narodu, który tak systematycznie krzywdzony, może cierpieć swoich ciemniejszych.

Mogłoby być kwestyą, jeszcze czy przeludnienie mogło doprowadzić kiedy do nędzy i głodu, ale utrzymywać, że nęcza i głód w Irlandyi z tej przyczyny powstają, byłoby również mało uzasad-

nionem jak przypuszczać, że przeludnienie Afryki było przyczyną handlu niewolnikami, lub że zniszczenie Jerozolimy wynikło ze zbyt szczupłych środków do życia, nie wystarczających potrzebom rozmnażającej się ludności. Gdyby nawet Irlandya była gajem bananów i drzew chlebowych, gdyby wybrzeża jej były, jak wyspy Chimhas, jednym pokładem guana, gdyby żar podzwrotnikowych promieni słońca pobudził jej grunt wilgotny do większej żyzności, to i wtedy nawet warunki społeczne, podobne dzisiejszym, musiałyby wytworzyć ubóstwo i głód. Co stanie na przeszkodzie istnieniu klęsk tych w kraju, w którym nadmiernie wysokie czynsze pozbawiają rolnika plonów jego pracy i tylko w czasach urodzaju pozwalają mu żyć jako tako; w kraju, w którym system dzierżawczy niedozwala wprowadzić w gospodarstwie żadnych ulepszeń i sprawia, że ziemia uprawiana być musi nędznie, a często nadaremnie; w kraju, w którym dzierżawca nie śmie wkładać kapitału wtedy nawet, gdy jest w możności, z obawy, by mu właściciel nie podniósł warunków dzierżawy; w kraju, w którym tenże dzierżawca jest istotnie nędznym niewolnikiem, żyjącym w ciągłej trwodze, iż na lada skinienie podobnego mu człowieka może zostać wypędzonym ze swojej ubogiej chałupy, stać się włóczęgą bez dachu i chleba, włóczęgą, nie mającym prawa zerwać bodaj dziko rosnącego owocu, lub też złowić zająca dla zaspokojenia głodu, który go dręczy? Niezależnie od zaludnienia, niezależnie od możności użytkowania z darów przyrody, czyż nędza i głód nie są koniecznem następstwem urządzeń takich, w których wytwórca zmuszony jest pracować w warunkach pozbawiających go energii, nadziei, własnej godności i nie pozwalających mu na żadną oszczędność; w których nieobecni właściciele ziemscy biorą dla siebie czwartą, co najmniej, część wytworów kraju, nie w zamian nie dając; a w dodatku przemysł mało rozwinięty musi żywić mieszkańców w kraju właścicieli, ich konie i psy gończe, agentów, urzędników i komorników, musi utrzymywać kościół państwowy, który znieważa przekonania religijne krajowców, zwać je przesadami, oraz tłumy policyantów i żołnierzy, którzy ścigają i więżą każdego, kto śmie stawić opór temu bezprawiu i tej samowoli władców? Twierdzić, jakoby prawa naturalne były przyczyną nędzy podobnej, jest bezbożnością stokroć gorszą od ateizmu.

Wnioski, do których doszliśmy badając położenie Indyi, Chin i Irlandyi, okazują się zawsze jednostajnymi. O ile sięgają wiadomości nasze o stosunkach życiowych, możemy śmiało zaprzeczyć temu, jakoby wzrost ludności nadmierny w stosunku do wytworzonego pożywienia sprowadzał kiedykolwiek nędzę i przestępstwa, i jakoby powiększenie się liczby mieszkańców kraju zmniejszało gdziekolwiek odnośne wytwarzanie żywności. Klęski głodowe w Indyach, Chinach i Irlandyi nie mogą być następstwem przeludnienia, tak jak niemi nie są w mało zaludnio-

nej Brazylii. Nędza i przestępstwa z nędzy wynikające są również mało związane z ubóstwem przyrody, jak śmierć sześciu milionów zgłodzonych orzęm Czyingishana i jak okrucieństwa Tamerlana, układającego stosy z czaszek ludzkich, lub wreszcie jak wytopienie starożytnych Bretonów i pierwotnych Indyan Zachodnich.

ROZDZIAŁ III.

Wnioski oparte na analogii.

Jeżeli zaprzestaniemy badać stosunki życiowe i zechcemy zwrócić uwagę na analogie, przeprowadzone w celu udowodnienia teorii Malthusa, spotkamy się znowu z tem samym sprzecznym rozumowaniem.

Zarówno Malthus, jak i najnowsze podręczniki ekonomiczne czerpią z królestwa zwierzęcego i roślinnego przykłady na poparcie twierdzenia, że wzrost ludności jest szybszy od wzrostu środków do życia i że naturalne to rozmnażanie się ludzkości, nie powściągane żadnymi środkami zaradczymi, doprowadzić musi do niskiej ceny zarobku i do nędzy; następnie zaś (jeżeli pomimo użycia tychże środków ludzkość wzrasta ciągle liczebnie) dojść musi według nich do takiego głodu, że większość jednostek pozbawioną zostanie możności istnienia. Przykłady podobne wykazują obecność nader silnego popędu do rozmnażania się u zwierząt i roślin, np. para łososi zabezpieczonych od nieprzyjaciół może w przeciągu lat kilku zapelnąć ocean; para królików, postawiona w tych samych warunkach, zaludni wkrótce powierzchnię łąd stałego; dalej, wiele roślin rozsiewa setki nasion, a niektóre owady składają tysiące jaj, — słowem w obu tych królestwach każdy gatunek usiłuje rozmnożyć się z nadzwyczajną szybkością i, jeżeli tylko jest zabezpieczonym od swych nieprzyjaciół, wzrasta liczebnie tak dalece, że przekracza granicę, zakreśloną przez ilość pożywienia nań przypadającą.

Lecz czyż porównania takie opierają się na jakiegokolwiek podstawie? Wszak pożywienie człowieka pochodzi właśnie z królestwa zwierzęcego i roślinnego, przeto istnienie większej zdolności odradzania się u zwierząt i roślin, niż u człowieka dowodzi stanowczo, że prędzej od ludności wzrastają środki do życia. Fakt ten, że wszystkie istoty służące na pożywienie człowiekowi mogą rozmnażać się stokrotnie, niektóre tysiąckrotnie, lub nawet

milionkrotnie w tym samym czasie, w którym ilość ludzi podwaja się zaledwie, czyż nie przekonywa nas, że wzrost ludności nie przewyższy nigdy sumy środków do życia, gdyby nawet popęd płciowy działał w całej pełni swej siły? Możemy się o tem przekonać ostatecznie, jeżeli zwrócimy uwagę na to, że jakkolwiek każdy gatunek zwierząt i roślin usiłuje w skutek naturalnego popędu pokonać warunki, które tamują dalsze jego rozmnażanie, to jednak warunki te nigdzie nie są stałe i bezwzględne. Przeszkodą dalszego rozmnażania się jakiegokolwiek gatunku nie był nigdy dotąd brak ziemi, wody, powietrza lub promieni słonecznych, lecz jedynie brak pożywienia, albo też obecność innych gatunków wrogich mu z nim, lub współzawodniczących. Dzięki temu człowiek może usuwać przeszkody, tamujące rozmnażanie się gatunków, dostarczających mu pożywienia (w niektórych razach sama obecność jego usuwa te przeszkody) do tego stopnia, że rozradzanie się tworów, które służą do zaspokajania jego potrzeb staje się takie, że własna jego płodność nie jest im w stanie wyrównać. Człowiek, polując na jastrzębie, zwiększa ilość ptaków jadalnych, zastawiając sidła na lisy, rozmnaża dzikie króliki; pszczoła robocza idzie w ślad za pionierem, a materje organiczne, któremi obecność człowieka napełnia rzeki, służą rybnom za pokarm.

Gdybyśmy nawet wyłączyli wzgląd na ostateczne pobudki; gdybyśmy odstąpili od przypuszczenia, że silna i nieustanna płodność zwierząt i roślin została im nadaną w celu, by mogły wystarczyć potrzebom człowieka, a zatem że wzrost niższych tworów organicznych, przewyższający częstokroć ich środki do życia, nie jest bynajmniej dowodem, by to samo miało mieć miejsce z człowiekiem „koroną stworzenia:” to jeszcze zachodzić będzie tak znaczna różnica między człowiekiem i tworami niższego rzędu, że porównanie powyższe upaść musi samo z siebie. Ze wszystkich istot żyjących, jeden tylko człowiek może wpłynąć na rozwój reprodukcyjnej siły przyrody, daleko potężniejszej od tych jego sił które mu pożywienia dostarczają, potężniejszej od jego własnych sił i zmusić tamtą, by mu dostarczała pożywienia. Zwierzęta, owady, ptaki i ryby karmią się tem tylko, co znajdują. Rozmnażanie się ich odbywa się kosztem żywności i jeżeli tylko spożyły całą sumę istniejącego dla nich pożywienia, nie mogą rozmnażać się dalej, dokąd nie wytworzy się nowe źródło żywności. Na tym to właśnie punkcie człowiek różni się od wszystkich innych istot, gdyż rozmnażanie się rodu ludzkiego pociąga za sobą powiększenie ogólnego zapasu żywności. Gdyby niedźwiedzie, a nie ludzie przybyły z Europy do Ameryki Północnej, spotykałibyśmy tam dzisiaj nie więcej niedźwiedzi jak za czasów Kolumba a prawdopodobnie mniej nawet, gdyż napływ niedźwiedzi nie przyczyniłby się do powiększenia zapasów pożywienia ani rozszerzyłby warunków niedźwiedziego życia. Tymczasem w samych granicach Stanów Zjednoczonych napotykamy dziś 45,000,000 ludności, da-

wniej było jej tam paręset tysięcy zaledwie, a jednak na tym samym obszarze Ziemi wypada dziś więcej pożywienia na każdego z tych 45 milionów, niż go było dla każdej jednostki, składającej ludność pierwotną. Rozmnożenie się ludności nie zostało spowodowane przybyciem pożywienia, lecz przeciwnie to pożywienie wzrosło w skutek rozmnożenia się ludności. Dla tego tylko przybyło pożywienia, że jest więcej ludzi.

Taka jest różnica pomiędzy zwierzęciem i człowiekiem. Zarówno człowiek jak i jastrząb jada kurczęta, lecz im więcej jastrzębi tem mniej kurcząt, im więcej ludzi tem więcej kurcząt. Zarówno człowiek jak i foki używają łososi na pokarm, lecz gdy foka zje łososia, to jeden z nich ubywa, gdy przeciwnie człowiek, umieszczając w warunkach odpowiednich ikrę łososia, może powiększyć ilość łososi tak dalece, że będzie ich więcej niż jemu potrzeba, a przeto bez względu na stosunek, w jakim się rozmnaża ród ludzki, znajdzie on zawsze dosyć łososi na swój pokarm.

Słowem, podczas gdy powiększanie się ilości pożywienia potrzebnej dla wszelkich gatunków zwierząt i roślin jest od nich niezależnem, wzrost żywności człowieka zależy od niego samego, pominawszy ostateczne granice, zakreślone przez brak ziemi, powietrza, wody lub promieni słonecznych. Jeżeli tak jest wistocie, to porównanie, które usiłowano przeprowadzić w tym względzie między człowiekiem a niższymi tworami organicznymi, musi upaść koniecznie. Podczas gdy liczebne powiększanie się zwierząt i roślin zmniejsza zapas ich pożywienia, rozradzanie człowieka nie wywiera żadnego wpływu na ogół jego środków do życia, dokąd nie wyczerpią się twórcze siły ziemi. Jest to prawdziwem nie tylko wogóle, ale i w szczegółach. Tak jak nie możemy obniżyć poziomu najmniejszej zatoki lub przystani, jeżeli nie obniżymy jednocześnie poziomu nie tylko tego morza, które jest z niemi w bezpośredniem zetknięciu, lecz zarazem wszystkich istniejących mórz i oceanów, podobnież ilość pożywienia, potrzebna dla danej miejscowości, zależy nie tylko od twórczych sił tejże miejscowości lecz i od podobnych sił całej kuli ziemskiej. Przestrzeń 50 mil kwadratowych może przy obecnym rozwoju przemysłu wyżywić zaledwie parę tysięcy ludzi, a jednak trzy i pół miliona mieszkańców żyje na przestrzeni 50 mil kwadratowych, otaczających Londyn, a ilość środków do życia wzrasta tam ciągle w miarę przybywania ludności. Co się tyczy możności dostarczenia pożywienia, ludność Londynu mogłaby wzrosnąć do stu miliona, lub do pięciuset milionów, lub nawet do tysiąca milionów; czerpie ona bowiem potrzebną żywność ze świata całego, a jedynem ograniczeniem jej wzrostu może być ostateczne wyczerpanie twórczych sił ziemi.

Tutaj powstaje nowy wzgląd, ogólnie uważany jako poparcie teorii Malthusa, ten mianowicie, że siły twórcze ziemi muszą się wyczerpywać stopniowo. Dzieła ekonomiczne, chcąc dowieść owego

ostatecznego zmniejszenia się wytwórczości ziemi, twierdzą, iż gdyby nie było prawdą, iż wydajność roli nie powiększa się w stosunku do pracy i kapitału w nią włożonego, to rozmnażanie się ludzi nie pociągałoby za sobą rozwoju rolnictwa, a zwiększone w skutek tego potrzeby mogłyby być i byłyby zaspokojone i ludzie niepotrzebowaliby uprawiać świeżej ziemi, leżącej niedługo odlegiem. Wydaje się pozornie, że raz zgodziwszy się na to twierdzenie, należałoby również uznać teorię, że trudność dostarczania żywności wzrasta w miarę rozmnażania się ludzi.

Sądzę jednak, że ta konieczność jest li tylko pozorną. Twierdzenie to należy do rzędu prawd względnych, które przy bezwzględnym badaniu okazują się fałszem, gdyż mniemanie z góry powzięte i nie udowodnione bywa zwykle założeniem, z którego wyprowadzonym zostało. Człowiek nie jest w stanie wyczerpać ani zmniejszyć twórczych sił przyrody: wynika to z pojęcia o niezniszczalności materii i siły. Wytwarzanie i zużycie—to wyrażenia względne, właściwie bowiem człowiek ani wytwarza, ani zużywa. Zbiorowa i usilna praca rodu ludzkiego niezdolałaby uczynić tej wirującej kuli cięższą ani lżejszą nawet o jeden atom, niezdolałaby powiększyć ani zmniejszyć sumy sił, których wieczne krążenie wytwarza wszechruch i podtrzymuje życie wszech istot. Tak jak woda, którą czerpiemy z oceanu, musi doń kiedyś powrócić, podobnież pożywienie, czerpane przez nas z wielkich zbiorników przyrody, dąży do powrotu od chwili, w której przez nas wydobytem zostało. To, co czerpiemy z pewnej ograniczonej przestrzeni, chwilowo, być może, zmniejsza jej wytwórczość, gdyż może być zwróconem przyrodzie w innej miejscowości, lub też może zostać rozdzielonem między dwie różne okolice, a nawet na całą powierzchnię ziemi, lecz możliwość ta zubożenia przyrody zmniejsza się w miarę zwiększenia przestrzeni a nikt nie zupełnie, gdy weźmiemy pod uwagę całą kulę ziemską. Ziemia może wyżywić tysiąc bilionów ludzi z równą łatwością jak i tysiąc milionów; wniosek ten koniecznie wyprowadzić musimy z tej prawdy oczywistej, że, przynajmniej tak dalece jak sięgają nasze wiadomości, materia jest wieczną i siła musi działać nieustannie. Życie nie niszczy sił, które je podtrzymują. Stajemy się członkami wszechświata, nic z sobą nie przynosząc, odchodzimy, nic również nie zabierając. Pod względem fizycznym człowiek jest tylko przejściową formą materii, zmiennym objawem ruchu. Materia zostanie i siła przetrwa, nic się nie wyczerpuje ani zmniejsza. Z tego więc wypływa, że jedynym ograniczeniem wzrostu ludności jest ograniczenie przestrzeni.

To ograniczenie przestrzeni,—to niebezpieczeństwo, że rozmnożenie się rodu ludzkiego dojdzie do takich rozmiarów, iż nie zostanie miejsca nawet na łepkę od szpilki, — jest tak od nas dalekiem, że nie może więcej przerażać nad możliwe wygaśnięcie słońca i zlodowacenie skorupy ziemskiej. To przypuszcze-

nie właśnie, jakkolwiek odległe i niejasne, nadaje teorii Malthusa jej pozorne prawdopodobieństwo. A jednak i ono niknie przy głębszem badaniu, opiera się bowiem na założeniu fałszywym. Jakkolwiek wzrost życia zwierzęcego i roślinnego dąży do przepelnienia przestrzeni, nie dowodzi to bynajmniej, by podobne dążenie miało być właściwem człowiekowi.

Zgadzam się na to, że człowiek jest tylko więcej rozwiniętem zwierzęciem; że małpa o chwytnym ogonie, która rozwinęła w sobie stopniowo akrobatyczne zdolności, jest pokrewną mu istotą, zarówno jak i garbaty wieloryb, który od dawien dawna zamieszkał w morzu; zgadzam się również, że zachodzi pewne powinowactwo między człowiekiem a roślinami, i że on podlega tym samym prawom co ryby, ptaki, zwierzęta ssące i rośliny. Pomimo to jednak między człowiekiem a innemi zwierzętami istnieje ta różnica, że jest on jedynem zwierzęciem, którego żądze i pragnienia wznoszą się w miarę zaspakajania, jedynem zwierzęciem, którego nasycić nie podobna. Potrzeby każdej innej istoty są jednostajne i stale. Nasz wół nie pragnie niczego więcej niż najpierwszy jego protoplasta, ujarzmiony przez człowieka. Mewa morską, unoszącą się nad szybkim angielskim parowcem, nie potrzebuje innego pożywienia ani schronienia niż owe mewy, które krążyły koło statków Juliusza Cezara, gdy ten po raz pierwszy przybił do brzegów Brytanii. Z całego zasobu bogactwa, którem natura tak szczerze obdarowała świat żyjący, wszystkie twory organiczne oprócz człowieka przyswoić sobie są zdolne tyle tylko, ile im ich potrzeba do zaspokojenia określonych i stałych potrzeb. Wszelkie zaś dodatkowe zasoby i sprzyjające okoliczności jedynie spowodują ich rozmnażanie się.

Nie tak się dzieje z człowiekiem. Gdy tylko uczyni on zadość najpierwszym swoim potrzebom, natychmiast tworzy sobie nowe. Przedewszystkiem potrzebuje on pożywienia, następnie odzieży; gdy raz posiada owe dane, dozwala rozwinąć się swym zdolnościom odradzania, a wszystkie te potrzeby i popędy są wspólne jemu i zwierzętom. Tutaj jednak kończy się owa wspólność. Zwierzę nie pójdzie nigdy dalej, a człowiek uczynił zaledwie pierwszy krok na drodze nieskończonego postępu, postępu, którego zwierzę nigdy nie pojmie i nigdy się doń nie wzniesie.

Jak tylko żądanie jego co do ilości jest zaspokojonem, szuka on jakości. Pierwotne nawet zwierzęce jego potrzeby rozszerzają się, oczyszczają i wnoszą. Od pożywienia swego wymaga on nietylko nasycenia głodu, lecz również zadowolenia podniebienia; w odzieży stara się nietylko o wygodę, lecz i o ozdobę; pierwotna kryjówka staje się domem mieszkalnym; wrodzony popęd płciowy przekształca się w delikatne uczucie, a życie zwierzęce rozwija się i uszlachetnia pod wpływem pojęcia o pięknie. W miarę potęgowania się możliwości zaspokajania po-

trzeb wzrastają jego pragnienia. Lukullus pragnie ucztować z Lukullusem; na rozkaz smakosza obracają się na roznach tuziny dzików; Kleopatra, chcąc podnieść swe wdzięki, ucieka się do wszystkich królestw przyrody; powstają kolumny marmurowe, ogrody wiszące i piramidy, współzawodniczące z pagórkami o wysokość. Władze, zupełnie uśpione w roślinie i chwilami jedynie przejawiające się w zwierzętach, budzą się do życia w człowieku, skoro nabierze pojęcia o wyższych požądaniach. Oczy jego umysłu otwierają się i pragnie wiedzieć. Znosi on żar pustyni i mroźne podmuchy północnych wichrów, lecz nie w celu zdobycia pożywienia; czuwać potrafi noc całą by zbadać prawa obrotu ciał niebieskich. Dokłada pracę do pracy, chcąc nasycić głód, którego żadne zwierzę nie czuje i zaspokoić pragnienie, o istnieniu którego nie wie ono nawet.

Wznosząc się ponad przyrodę, badając głęb własnej istoty, przebijając okiem mgły, które zaciemniają przeszłość, spoglądając śmiało w ciemny i nieznany widnokrąg przyszłości—człowiek rozwija w sobie nienasyconą żądzę wiedzy, podczas gdy zwierzę szuka odpoczynku w śnie błogim. Poza faktami dopatruje się on praw i zasad; chciałby zbadać, jakim sposobem ziemia powstała i gwiazdy zostały zawieszony w przestrzeni, chce odkryć i wysledzić źródło życia. Następnie w miarę dalszego rozwoju szlachetnej swej natury powstaje w nim najwyższe pragnienie, najpodnioślejsza nadzieja — chęć rozjaśnienia i ulżenia życiu ludzkiemu, wytepienia nędzy i grzechu, cierpienia i wstydu. Oswaja on i poskramia zwierzęta, opuszcza bogate uczy, zostawia innym nagromadzenie wielkich bogactw, czynienie zadość własnym przyjemnościom, roskoszowanie się krótkim a przemijającym dniem letnim. Waleczy za prawa tych, których nigdy nie widział i nigdy ujrzeć nie może; pracuje na sławę, którą posiadzie wtedy dopiero, gdy ciało jego legnie w mogile. Działa on dla przyszłości tam, gdzie chłodno i daleko od ludzi, coby mu dłoń bratnią podali, gdzie ostre kamienie ranią mu stopy, a gęste ciernie szarpiają ubranie i ciało. Buduje gmachy dla przyszłych pokoleń, nie zważając na dotkliwe szyderstwa i urągania, wycina ścieżki, które kiedyś być może rozszerzone zostaną na drogi handlowe. Pragnienia jego wznoszą się w coraz wyższe sfery, a gwiazda, ukazująca się na Wschodzie przewodniczy mu i ukazuje dalszą drogę. Pulsa człowieka tętnią aspiracją boską, chciałby zmienić prawa obrotu słońce!

Czyż szalona przepaść dzieląca człowieka i zwierzę dozwala na wysnucie analogij podobnych powyższym? Dajcie więcej pożywienia, ułatwicie warunki bytu, zwierzę lub roślina rozmnożyć się tylko mogą, człowiek zaś rozwijać się będzie. W pierwszym razie siła tu użytą zostanie jedynie na liczebne powiększenie jednostek, w drugim niechybnie dąży ona do uszlachetnienia i spotęgowania życia. Człowiek jest zwierzęciem—to prawda, lecz tkwi w nim inny jeszcze pierwiastek. Jest on owem

mitycznym drzewem, którego korzenie są w ziemi a najwyższe gałęzie sięgają niebios.

Słowem bez względu na sposób w jaki zapatrywać się będziemy na twierdzenie, że ludność dąży nieustannie do wzrastania po nad ilość środków życiowych, dochodzimy zawsze do wniosku, że jego podstawą jedyną są mniemania z góry powzięte i że ani fakta życiowe nie stwierdzają ich, ani też poczynione porównania niedają im poparcia. Twierdzenie to jest tylko chimera wyobraźni nie mniej jak owo, które przez tak długi czas nie dozwalało wierzyć w kulistość i obrót ziemi. Jest to teorya podobna do tej, która by utrzymywała, że każde ciało znajdujące się pod nami a nie przytwierdzone do ziemi upaść musi; że kula wprawiona w ruch z masztu płynącego okrętu musi upaść poza maszt; że żywa ryba, puszczone do naczynia napelnionego wodą, nie poruszy z miejsca żadnej cząsteczki wody. Teorya ta jest równie bezzasadną, jeśli nie równie niedorzeczną, jak rachunek, który mógłby był uczynić Adam, gdyby zajmował się obliczaniem i chciał wiedzieć, sądząc po wzroście nowonarodzonego syna, jaki będzie jego ciężar, gdy zostanie dorosłym człowiekiem. Przypuśćmy, że dziecko to ważyło zaraz po urodzeniu dziesięć funtów a w ośm miesięcy później dwadzieścia funtów, otóż na mocy tych danych, z tym zasobem wiedzy matematycznej, o którą go posadzają niektórzy uczeni, Adam mógłby był dojść do wniosków równie uderzających jak te, o których mówi nam Malthus a mianowicie, że doszedłszy lat dziesięciu dziecko powinno ważyć tyle co wół, w dwunastu latach waga jego równałaby się wadze słonia, a w trzydziestym roku życia wynosiłaby 175,676,339,548 tonn.

W każdym razie nie mamy potrzeby kłopotać się o wzrost ludności ponad ilość środków do życia, tak jak Adam nie miałby powodu martwić się szybkim wzrostem swego niemowlęcia. Jeżeli na mocy zjawisk życiowych i przeprowadzonych analogij możemy wyprowadzić jakikolwiek wniosek, to chyba ten tylko, że ludzkość znakomicie przystosowuje się do warunków bytu i że prawo zaludnienia działa również prawidłowo, jak każde inne prawo przyrody. Przypuszczenie, jakoby zdolność płciowa rodu ludzkiego mogła w normalnych warunkach społeczeństwa sprowadzić nędzę i przestępstwa, jest również bezzasadnem, jak mniemanie, że siła ciężenia strąci księżyc na ziemię a tę ostatnią na słońce, lub jakgdybyśmy dlatego, że woda zamarza przy 32° Fr. dowodzili, że podczas znośnej nawet zimy niepodobna mieszkać w umiarkowanym klimacie, gdyż wszystkie rzeki i jeziora zamarzają do dna. Wiele faktów ogólnie znanych każe nam wierzyć, że oprócz tam zapobiegających i naturalnych, które—zdaniem Malthusa — nakazuje przezorność, istnieje trzeci jeszcze hamulec, który wchodzi w grę, w miarę rozwoju umysłowych władz człowieka i podniesienia przeciętnej stopy dostatku. Ilość narodzin jest stosunkowo znacznieszą w nowych

społeczeństwach, gdzie walka z przyrodą zostawia człowiekowi nader mało czasu na pracę umysłową. Wiemy również, że w starych społeczeństwach większą jest płodność warstw ubogich, które pomimo nagromadzonych wokół zasobów pozbawione są wszelkich korzyści wypływających z posiadania i wiodą życie zwierzęce niemal; mniejszą zaś jest płodność warstw bogatych, pędzących życie niezależne, wygodne, wolne od trosk i kłopotów a więcej urozmaicone. Fakt ten stwierdzony gadką ludową „bogacz jest stworzonym dla szczęścia, nędzarz dla dzieci“ został zauważonym przez Adama Smith, który powiada, że często bardzo zdarza się spotykać w Górnej Szkocyi, konającą z głodu kobietę, matkę dwadzieściorga trojga lub dwadzieściorga czworga dzieci. Zresztą fakt ten tak wszędzie się powtarza, że nie mamy potrzeby dłużej się zatrzymywać nad nim.

Jeżeli takie jest istotne prawo ludności, to popęd do rozmnażania się nie powinien być wszędzie jednakim, lecz winien objawiać się silniej tam, gdzie większa stosunkowo ludność wytworzyła cokolwiek więcej dostatku i tam, gdzie istnienie rasy jest zagrożonem przez śmiertelność, spowodowaną wrogami okolicznościami; winien zaś słabnąć tam, gdzie tylko staje się możliwym wyższy rozwój jednostek, a istnienie rasy jest zabezpieczone. Innemi słowy—prawo ludności zgadza się z prawem rozwoju umysłowego i jest mu podporządkowanem; wszelkie zatem niebezpieczeństwo zrodzenia jednostki, która nie znalazłaby w świecie możności wyżywienia się, wynika nie z praw przyrody, lecz z wadliwych urządzeń społecznych, skazujących masy na nędzę pośród nagromadzonego bogactwa. Sądzę, że prawda ta zostanie ostatecznie udowodnioną wtedy, gdy przygotowawszy sobie grunt, zaczniemy śledzić istotne prawa rozwoju społecznego. Nie możemy uczynić tego natychmiast, by nie przerywać naturalnego porządku badań. Rozumowałem dotąd przecząco, wykazując, że dowody przytaczane na poparcie teorii Malthusa *nie stwierdzają jej*. W następnym rozdziale będę rozumował twierdząco i wykażę, że same fakta *zbijają* zupełnie tę teorię.

ROZDZIAŁ IV.

Obalenie teoryi Malthusa.

Zasada, jakoby wzrost ludności pociągał za sobą nędzę ogółu i obniżał płacę roboczą, jest tak głęboko zakorzeniona i tak uwikłana siecią niezliczonych rozumowań ekonomicznych, tak zupełnie zgadza się ona z pojęciem ogółu i tak łatwo przybierać może różnorodne kształty, że uważałem za rzecz konieczną,— zanim poddam ją ostatecznie krytyce faktów życiowych,— wykazać niedostateczność rozumowań, które mają jej służyć za poparcie. Ogólne bowiem uznanie tej zasady jest jednym więcej przykładem z liczby tych, które nam dostarcza historia myśli i które pokazują, jak łatwo ludzie zaprzeczają istnieniu rzeczy oczywistych, gdy ich zaślepi z góry powzięte mniemanie.

Nie trudno nam będzie poddać tę zasadę ostatecznej, najwyższej krytyce faktów życiowych. Widzimy odrazu, że przekonanie, jakoby wzrost ludności spowodowywał obniżkę płacy roboczej i nędzę ogółu, pociąga za sobą i to drugie, że wzrost ten zmniejsza zasób bogactwa, który dana ilość pracy wytworzyć jest w stanie.

Oto, co utrzymują ekonomiści. Twierdzą oni zgodnie, że im więcej żądany od przyrody, tem ona mniej hojną się okazuje tak, że zdwojony wkład pracy nie podwaja bynajmniej ilości wytworów; a zatem, że wzrost ludności musi pociągać za sobą obniżenie płacy roboczej i większe ubóstwo, czyli że — jak powiada Maltus,—koniecznymi jego następstwami są przestępstwa i nędza. Przytaczam słowa Milla, odnoszące się do tej kwestyi:

„W danym stanie oświaty większa ludność, średnio biorąc, nie może być tak obficie zaopatrzona, jak ludność mniej znaczna. Nędza, zwykły wynik przeludnienia, pochodzi ze skąpstwa natury, a nie z niesprawiliwości społeczeństwa. Niesłuszny rozdział bogactw, wcale nie powiększa złego, czyni je tylko dotkliwszem. Daremniebyśmy mówili, że na każde przybywające usta, przybywa także rąk para; nowe usta tyleż potrzebują pokarmu, co dawne, a przybyłe ręce wytwarzają mniej. Gdyby cała ludność wspólnie posiadała wszystkie narzędzia wytwarzania, gdyby wytwory dzielone były równo pomiędzy członków społeczeństwa, gdyby, nadto, przemysł w tak urzędzonym społeczeństwie był równie energiczny, a ilość wytworów równie znaczna jak dzisiaj; — wtedy niezawodnie cała ta społeczność znalazłaby się w dobrym bycie: lecz w razie podwo-

jenia się tej ludności,—a podwojenie to, wywołane tak potężną zachętą, nastąpiłoby niechybnie po upływie lat dwudziestu,— w jakim ona znalazłaby się stanie? Jeśli tylko sposoby wytwarzania nie dojdą w tymże czasie do takiego stopnia doskonałości, o którym obecnie żadnego niemamy pojęcia, to przyjdzie się uciec dla wyżywienia tak wielkiej ludności do uprawy gorszych gruntów i do wkładania przy zmniejszonej wydajności, większej daleko pracy w lepsze grunta, a wtedy każda jednostka będzie uboższą niż poprzednio. Gdyby ludność i potem wzrastała w tym samym stosunku, wkrótce każdy ograniczyłby się musiał rzeczami koniecznymi potrzebnymi do życia; następnie i tychby zabrakło, albo też śmiertelność musiałaby zapobiedz dalszemu przybytkowi“ *).

Całemu temu rozumowaniu stanowczo zaprzeczę muszę, i twierdzę, że odwrócić je należy. Sądzę, że w danym stanie oświaty większa ludność, zbiorowo biorąc, może być zaopatrzoną obficie, niż ludność mniej znaczna. Sądzę, że nędza i przestępstwa, uważane przez ekonomistów jako konieczny wynik przeludnienia, pochodzą z niesprawiedliwości społeczeństwa, a nie ze skąpstwa natury.

Sądzę, że nowe usta, powołane do życia przez wzrost ludności, nie potrzebują więcej pokarmu od dawnych, podczas gdy przybyłe w ślad za nimi ręce mogą w normalnych warunkach wytwarzać więcej. Sądzę, że jeżeli inne warunki pozostaną też same, im ludność będzie większą, tem znaczniejszy będzie dostatek, którym każda jednostka przez sprawiedliwy podział bogactwa obdarzoną zostanie. Sądzę, że gdyby nastąpiła równość społeczna, każda jednostka w miarę wzrostu ludności stawałaby się bogatszą, a nie uboższą.

Śmiało więc odwołuję się do sądu ogółu i poddaję kwestję tę krytyce faktów życiowych.

Lecz zauważmy, (gdyż nawet kosztem powtarzania się, chciałbym ustrzedz czytelnika od niejasności myśli, spotykanej w dziełach głośnych pisarzy) zauważmy, że kwestya sporna polega nie na tem, na jakim szczeblu swego wzrostu zaludnienie może wytworzyć najwięcej pożywienia, lecz na tem, na jakim szczeblu zaludnienia najsilniej działa potęga wytwarzania bogactwa. Gdyż siła wytwarzania bogactwa równoważy możność otrzymywania środków życiowych, a zużycie jakiegokolwiek formy bogactwa lub siły wytwórczej równoważy zużycie pożywienia. Np. mam w tej chwili nieco pieniędzy w kieszeni. Za pieniądze te mogę kupić żywności, cygar, klejnotów, lub biletów do teatru, a użytek, jaki mogę uczynić z tych pieniędzy, skłania pracę do wytwarzania żywności, cygar, klejnotów, lub do urządzania wi-

*) Zasady Ekonomii Politycznej. Ks. I, Rozdz. XIII, § 2.

dowisk teatralnych. Wartość garnituru dyamentowego równoważy wartość pewnej ilości beczek mąki, t. j. praca użyta na wydobycie i oszlifowanie dyamentów wyrównywa, średnio biorąc, pracy włożonej w utrzymanie pewnego zapasu mąki. Jeżeli ustroję żonę moją w dyamenty, muszę użyć takiego wysiłku siły wytwarzającej żywność, jakgdybym odpowiednią ilość pożywienia użył na cele ozdoby. Gdy najmuję lokaja, ubywa, być może, jeden rolnik od pluga. Hodowla i wyżywienie rasowej stadniny wymaga tyle starania i pracy, co chów i wyżywienie większej znacznie ilości koni roboczych. Ubytek bogactwa z powodu illuminacyi, lub wystrzałów na wivat równoważnym jest spaleniu pewnego zasobu pożywienia; utrzymanie pułku żołnierzy lub załogi wojennego okrętu zużywa niewytwórczo pracę, któraby mogła być obróconą na wytworzenie żywności dla tysięcy ludzi. A zatem siła, z jaką ludność wytwarza przedmioty konieczne do życia, nie mierzy się ilością istotnie otrzymanych przedmiotów koniecznego użytku, lecz wszechstronnym wysiłkiem tejże siły.

Nie potrzebuję zresztą przeprowadzać oderwanych rozumowań. Kwestya sporna polega na tem, czy siła wytwarzania bogactwa zmniejsza się w miarę wzrostu ludności?

Fakta życiowe są tak przekonywające pod tym względem, że należy tylko zwrócić na nie pilną uwagę. W ostatnich czasach mieliśmy przykład szybkiego wzrostu ludności w niejednym społeczeństwie. Czyż jednak bogactwo tych społeczeństw nie powiększyło się jednocześnie dużo szybciej? Widzimy, że w niektórych krajach ludność wzrasta ciągle. Czyż zasób bogactwa narodowego nie powiększa się prędzej jeszcze od tegoż wzrostu? Czy wątpić możemy, że podczas gdy przyrost ludności w Anglii wynosił 2% rocznie, zasób jej narodowego bogactwa wzrastał w wyższym jeszcze stosunku? Czyliż nie jest prawdą, że podczas gdy ludność Stanów Zjednoczonych podwajała się co dwadzieścia dziewięć lat *), bogactwo tamtejsze podwajało się w znacznie krótszym przeciągu czasu? Czyż nie jest prawdą, że przy odpowiednich warunkach zaludnienia i przy odpowiednim stopniu oświaty najgęściej zaludnione społeczeństwa są zarazem najbogatszymi? Czyż gęsto zaludnione Stany Wschodnie nie są w stosunku do ilości mieszkańców bogatsze od mało zaludnionych Stanów Zachodnich i Południowych? Czyż Anglja, gęściej zaludniona nawet od Stanów Wschodnich, nie jest stosunkowo bogatszą? Gdzie napotkacie znaczną część bogactwa narodowego użytą na cele nie wytwórcze: na wznoszenie kosztownych gmachów, na nabywanie pięknych mebli, wytwornych pojazdów, posągów, obrazów, pysznych ogrodów i ozdobnych yach-

*) Przyrost ludności wynosił tamże 35% co lat dziesięć.

tów? Czyliż raczej nie w miejscowościach najgęściej zaludnionych? Gdzie znajdziecie więcej ludzi, którzy nie pracując sami wytwórczo żyją kosztem ogólnego wytwarzania: ludzi żyjących z procentów, eleganckich próżniaków, złodziei, służalców, prawników, literatów i t. d.? Czyż nie daje się to spotykać w miejscowościach gęsto zasiedlonych raczej niż w mało zaludnionych? Dokąd chroni się kapitał, szukając korzystniejszego umieszczenia? Czyż nie do krain mało zaludnionych? Fakta te dowodzą ostatecznie, że gęściej zaludnione społeczeństwa posiadają więcej bogactwa i że siła wytwórcza z przybytkiem rąk wzrasta coraz szybciej. Gdziekolwiek zwrócimy oczy, wszędzie ujrzymy oczywistość tych faktów. Na jednakim poziomie oświaty, przy tym samym rozwoju rzemiosł, przy jednakowych systemach rządowych najbogatszymi są zawsze najludniejsze kraje.

Weźmy fakt poszczególny, który pozornie zdaje się popierać krytykowaną przez nas teorię, a mianowicie: weźmy społeczeństwo, w którym w miarę wzrostu ludności istotnie obniżyła się cena zarobku i w którym—nie wnioski wątpliwe—lecz rzeczywistość wykazuje, iż hojność przyrody zmniejszyła się istotnie. Społeczeństwem tem jest Kalifornia. Pierwsza fala wychodźców, która na wieść o odkryciu złota napłynęła do Kalifornii, znalazła w niej przyrodę nader szczodłą. Piasek złotonośny, nagromadzony przez lat tysiące w łożyskach rzek, dawał się wydobywać z nader małym wysiłkiem pracy tak, że uncya jego (wartująca 16 dol.) stanowiła zwykły każdodzienny zarobek. Na równinach porosłych bujnemi trawami pasły się niezliczone stada koni i bydła, to też podróżny mógł w każdej chwili osiodłać nowego rumaka, a gdy potrzebował posiłku, mógł zabić wolu, oddając właścicielowi skórę tylko, jako jedyną wartośćową część zwierzęcia. Żyzne grunta, które najpierwej uprawiane zostały, zorane i zasiane jedynie dawały tak bogate plony, o jakich w starych społeczeństwach marzyć nie było można przy nader starannej uprawie i sztucznem użyznianiu pól. To też dzięki bogactwu przyrody cena zarobku i stopa procentowa były niegdyś wyższe w Kalifornii niż gdziekolwiek indziej na świecie.

Ta płodność dziewiczej przyrody zaczęła się zmniejszać stopniowo w miarę, jak zwiększyły się żądania wzrastającej ludności. Zapasy piasku złotonośnego wyczerpały się tak dalece, że dziś prawie trudno go znaleźć, a poszukiwanie złota wymaga dużych kapitałów, wprawnego robotnika, kosztownych maszyn i jest połączone z wielkiem ryzykiem. „Za konie dziś płacić trzeba;“ rzeźnicy w San Francisco biją bydło, wypasione na równinach Newady i przywożone wagonami z za gór; zagrodnicy muszą dziś oszczędzać słomy i szukać nawozu, a rola nienawodniona sztucznie daje zbiór tylko trzy razy na lat cztery. Cena zarobku i stopa procentowa spadły również. Ludzie uważają się za szczęśliwych, gdy zarobią w przeciągu ty-

godnia tyle, ile dawniej żądali za jednodniową robotę, a kapitał przynosi dziś tyle procentu rocznie, ile go dawniej dawał przez miesiąc. Gdyż związek między zmniejszeniem wytwórczych sił przyrody, a obniżką ceny zarobku jest istotnie związkiem przyczyny i skutku. Czyliż jest prawdą, jakoby zarobek był niższy dla tego, że taż sama praca mniej się opłacać może?

Przeciwnie. Jestem przekonany, że w Kalifornii siła wytwórcza pracy nie tylko nie była mniejszą w 1879 r. niż w 1849 lecz znacznie większą. Zdaje mi się, że ktokolwiek śledzi, jak ogromnie wydajność pracy podniosła się w Kalifornii w skutek przeprowadzenia nowych dróg handlowych, kolei żelaznych, telegrafów, w skutek budowy przystani, parowców i maszyn wszelkiego rodzaju, w skutek ściślejszych stosunków, łączących ją z resztą świata, w skutek niezliczonych oszczędności, wynikających ze wzrostu zaludnienia,—ten nie może wątpić, że wynagrodzenie pracy przez przyrodę jest tam, ogólnie biorąc, dużo większe dziś, niż było za czasów nietkniętych pokładów piasku złotonośnego i dziewiczości gruntu;—gdyż wzrost działalności pracy ludzkiej wynagrodził zupełnie upadek działalności przyrody. Wiele faktów świadczy, że zużycie bogactwa w stosunku do ilości pracujących jest tam dziś znaczniejsze, niż dawniej i potwierdza prawdziwość wyprowadzonego przez nas wniosku. Cała pierwotna ludność, zmuszona do pracy, składała się też wyłącznie z jednostek w poranku życia będących i do pracy zdolnych—dziś znajduje tam utrzymanie znaczna ilość kobiet i dzieci; inni niewytwórcy wzrosli również w stosunku wyższym niż ogół zaludnienia; zbytek powiększył się więcej, niż obniżyły się zarobki; tam, gdzie najpiękniejsze domy były niczem więcej jak szałasami, dziś wznoszą się gmachy, współzawodniczące o wykwint z pałacami Europejczyków; po ulicach San Francisco toczą się pyszne pojazdy, a wytworne yachty krążą po jego zatoce; powiększyła się warstwa ludzi żyjących dostatnio z własnego dochodu, a w porównaniu z bogaczami dzisiejszymi najbogatsi w pierwotnych czasach wydają się nędzarzami — słowem na każdym kroku mamy uderzające dowody, iż wytwarzanie i zużycie bogactwa wzrosło tam więcej niż ludność i że jedynie niesprawiedliwy rozdział bogactw sprawia ubóstwo niektórych warstw.

Co jest oczywistem w tym poszczególnym razie jest niem również, gdy czynimy przegląd innych społeczeństw. Najbogatszymi krajami są te, w których największa jest wydajność pracy a nie te, gdzie natura jest najpłodniejszą — Massachusetts a nie Meksyk, Anglja a nie Brazylia. Siły przyrody wydają się najwięcej wyczerpanemi przez wymagania dużej ludności tam, gdzie społeczeństwo używa wielką ilość wytworów na cele zbytkowe i na utrzymanie ludzi nie pracujących wytwórczo i tam, gdzie się znajdują największe siły oporu na wypadek wojny

i innych kataklizmów. Że wytwarzanie bogactwa musi być w stosunku do zajętej nim pracy większe w gęsto zaludnionych krajach jak np. w Anglii, aniżeli w nowych społeczeństwach, gdzie zarobek i odsetki są wyższe—to staje się oczywiście na podstawie tego faktu, iż jakkolwiek mniejsza stosunkowo część ludności jest zajęta pracą wytwórczą, to jednak większa część otrzymanego zasobu może być obróconą na cele inne niż zaspokajanie najpierwszych potrzeb życiowych. Wszystkie siły nowego społeczeństwa zużywają się w celach wytwórczych, żaden mężczyzna nie jest odeń wolny, żadna kobieta nie jest wolną od zajęć gospodarskich. Niema tam nędzarzy ani żebraków, ale niema i próżnujących bogaczy; niema oddzielnej warstwy, zajętej dostarczaniem wygod dla bogatych lub zaspokajaniem ich zachcianek; niema uczonych i literatów, niema przestępców, grabiących społeczeństwo, które w skutek tego nie potrzebuje utrzymywać innej warstwy na cele obrony. A jednak pomimo tego, iż całe siły społeczeństwa zwrócone są ku wytwarzaniu, nie może tam być takiego zużycia bogactwa jak w starych społeczeństwach, gdyż jakkolwiek warunki bytu warstw niższych w nowym społeczeństwie są lepsze i niema tam prawie ludzi pozbawionych możności wyżywienia się, nikt przecie nie posiada tam wiele więcej nadto, i mało kto żyje we względnym zbytku lub nawet w wygodach. Czyli innymi słowy—zużycie bogactwa jest w stosunku do zaludnienia znacznie większe w starych społeczeństwach, jakkolwiek ilość pracy włożona w wytwarzanie bogactwa jest tam mniejszą t. j. że mniej robotników wytwarza więcej bogactwa, gdyż bogactwo musi być wytworzone, zanim zostanie użytem.

Mogą nam jednak zarzucić, że większy zasób starych społeczeństw wynika nie z większej potęgi wytwórczej, lecz z uprzednio nagromadzonego bogactwa, którego nowe społeczeństwa nie miały jeszcze czasu wytworzyć.

Zwróćmy przez chwilę uwagę na to, czem jest pojęcie nagromadzonego bogactwa. Bogactwo może być nagromadzone tylko w niewielkiej ilości, gdyż społeczeństwa—podobnie jak większa część ludzi—żyją istotnie z dnia na dzień. Nie można nagromadzać dużych zapasów bogactwa, chyba tylko w wyjątkowych jego formach. Dostarczane przez naturę przedmioty, które, przetworzone i przekształcone przez pracę, stanowią bogactwo, usiłują nieustannie powrócić do swej pierwotnej postaci. Niektóre formy bogactwa trwają kilka godzin zaledwie, inne kilka dni lub kilka miesięcy, inne zaś kilka lat nawet; nadzwyczaj mała część bogactwa może przejść z jednego pokolenia na drugie. Weźmy jakąkolwiek z najużyteczniejszych i najwięcej stałych form bogactwa np. okręt, dom, kolej żelazną, maszynę i t. d. Staną się one nieużytecznymi w bardzo krótkim czasie, jeżeli praca nie będzie ich ciągle ochraniać i odnawiać. Niech praca w jakimkolwiek społeczeństwie ustanie nagle, a zobaczy-

cie, że bogactwo jego zniknie natychmiast tak, jak strumień wody wytryskający z fontanny przerywa się, gdy zamkniemy rury zbiornika. Niech praca rozpocznie napowrót zawieszoną działalność, a w ślad za tem ukaże się znów bogactwo. Fakt ten zauważono oddawna, gdziekolwiek wojna, lub inna klęska zniweczyła bogactwo i uszczupliła zarazem ludność. Dzisiejsze bogactwo Londynu nie zmniejszyło się, w skutek pożaru 1666 r. ani też bogactwo Chicago, z powodu pożaru 1870 r. Na tych obszarach, spustoszonych ogniem, ręka pracy wzniosła w krótkim czasie nowe, wspanialsze stokroć od dawniejszych, gmachy, i zapełniła je większym zasobem bogactwa, a cudzoziemiec nieświadom historii miasta z trudnością uwierzyłby, że kilka lat temu wszystko to było gruzami. Ta sama zasada prędkiego nagromadzenia się bogactwa uwidocznia się w każdym nowo powstającym mieście. Dajejż też samo zaludnienie, też samą wydajność pracy miastu, założonemu wczoraj dopiero, a stanie się ono równie bogatym, jak starożytny gród Rzymian. Ktokolwiek widział Melbourne, lub San Francisco, ten wątpić nie może, że gdyby ludność Anglii przeniosła się do Nowej Zelandyi, pozostawiając na miejscu nagromadzony przez lat tyle zasób, bogactwo Nowej Zelandyi wyrównałoby wkrótce obecnemu bogactwu Anglii; lub gdyby naodwrot, Anglia była tak mało zaludniona, jak obecnie Nowa Zelandya; kraj ten pomimo swego bogactwa stałby się wkrótce tak ubogim jak ta ostatnia. Bogactwo bowiem nagromadzone uprzednio jest tem dla stosunków społecznych czem spożyty pokarm dla organizmu zwierzęcego. Pewien zasób jest nieodzownie potrzebnym, często nawet w chwili przesilenia społeczeństwo czerpać zeń musi; lecz bogactwo, wytworzone przez poprzednie pokolenia, tyle się przyczynia do obecnego zużycia, ile na siłę człowieka wpływają obiady, zjedzione przezeń w przeszłym roku.

Bez względu na to zastrzeżenie, oczywistą jest rzeczą, że uprzednio nagromadzone bogactwo wpływa na większe lub mniejsze zużycie ogółu wtedy, gdy zasób narodowy zmniejszać się zaczyna; wtedy zaś gdy ten ostatni wzrasta, to większe zużycie spowodowuje szybsze wytwarzanie bogactwa. Porównajmy warunki, w jakich żyły różne społeczeństwa, lub jedno społeczeństwo w różnych epokach, a zobaczymy, że cechą postępu jest nietylko wzrost ludności, lecz niemniej większe nagromadzenie i większe zużycie bogactwa; nietylko zbiorowo biorąc, lecz i w stosunku do każdej jednostki. A zatem wzrost ludności nigdy dotąd nie spowodował zmniejszenia zasobu narodowego, lecz przeciwnie zawsze spowodowywał jego powiększenie.

Przyczyna ta jest widoczną. Gdyż jeżeli nawet wzrost ludności zmniejsza działalność przyrody z powodu konieczności uprawiania gorszych gruntów, to jednak następstwem jego jest takie spotęgowanie pracy, że wynagradza ono wszelkie straty. Dwudziestu ludzi pracujących razem, wytworzą—niezależnie od

ubóstwa przyrody—przeszło dwadzieścia razy więcej, niżby zdołał wytworzyć jeden robotnik, obsypany szczerze darami natury. W miarę wzrostu ludności udoskonala się podział pracy; wytwarzanie i rozdział bogactw odpowiadają lepiej potrzebom ekonomicznym, a zasady Malthusa stają się prawdziwymi, jeżeli je odwrotnie rozumiemy. Widzimy, że w możebnych granicach dalszego przybytku ludności, w jakimkolwiek społeczeństwie, większa ilość pracujących może stosunkowo wytworzyć większy zasób i łatwiej uczyni zadość potrzebom ogółu.

Czyż fakta nie potwierdzają słów naszych? Czyż można twierdzić, iżby mały rozwój sił wytwórczych był przyczyną ubóstwa, które trapi ogniska cywilizacji? W tych nawet krajach, gdzie ubóstwo jest najcięższe, rozwój wytwarzania jest dostateczny, by zapewnić każdemu nie tylko wygodne, lecz nawet zbytkowe życie. Zastój przemysłu i handlu, ta choroba naszego wieku, nie z braku sił wytwórczych wynika.

Ten właśnie objaw—że nędza jest najcięższą w miejscowościach gęsto zaludnionych i rozwiniętych wytwórczo — przejmujemy trwogą świat cywilizowany i jest zagadką, którą postaramy się rozwiązać. Widzieliśmy, że teoria Malthusa, która przypisuje nędzę ubytkowi sił wytwórczych nie jest w stanie dać nam dokładnego objaśnienia, gdyż wszelkie fakta życiowe zbijają ją stanowczo. Przypisuje ona prawom Bożym istnienie stosunków, które jakieś przy tak powierzchownem nawet badaniu spostrzedz mogli, pochodzą istotnie z wadliwych urządzeń społecznych. Spostrzeżenie to nasze, przy głębszem zastanowieniu, okaże się prawdą niezbłą. Lecz na teraz musimy się zająć kwestyą, *co istotnie wytwarza nędzę, niezależnie od rozwoju materialnego.*

KSIĘGA III.

Prawo podziału bogactw.

„Pierwsze maszyny, wynalezione w celu wykonania jakiegokolwiek ruchu, bywają zazwyczaj nader złożone; dopiero z biegiem czasu, ludzie dochodzą do przekonania, że można osiągnąć te same rezultaty, za pomocą mniejszej ilości kół i motorów. Podobnie złożonemi były pierwotne systemata filozoficzne; sądzono bowiem, że każde dwa, pozornie odrębne, zjawiska są w rzeczy samej sprzężone, że należy zatem koniecznie podciągnąć je pod osobne prawo; zdarzało się jednak często, że w późniejszym czasie odnajdywano jedną wielką zasadę, która okazywała się ogniwem, łączącym cały szereg niezgodnych i odrębnych napozór zjawisk.“

Adam Smith.

„Zasady rządzące badaniami filozoficznemi, objaśniane na podstawie historii Astronomii.“

ROZDZIAŁ I

Badanie ogranicza się na rozpatrywaniu praw podziału bogactw—konieczny stosunek tychże praw.

Sądzę, że uprzednie rozumowania dowiodły dostatecznie, iż podane przez ekonomię polityczną objaśnienie, roztrząsanego przez nas zagadnienia, nie jest w gruncie rzeczy żadnem objaśnieniem. Twierdzenie, jakoby liczebny wzrost robotników pociągał za sobą ciągle rozdrabnianie kapitału, z którego zarobek

wypłacanym bywa, nie tłómaczy bynajmniej, dla czego zarobki spadają, a nie podnoszą się w miarę większego dobrobytu. Gdyż, jakżeśmy widzieli, zarobek jest bezpośrednim wytworem pracy i nie pochodzi z kapitału. Każdy robotnik, pracujący wytwórczo, sam stwarza swój zarobek, każda dodatkowa praca powiększa istotny fundusz zarobkowy — a to powiększenie bogactwa narodowego przewyższa zazwyczaj zasób, użyty na opłatę pracy.

Zażadane objaśnienia nie daje nam również twierdzenie, jakoby wzrost ludności wyczerpywał twórcze siły przyrody; wiemy bowiem, że wzmagająca się wtedy praca sama powiększa swą wytwórczość i, że porównywając rozmaite społeczeństwa, znajdujące się w jednakowych warunkach i różniące się tylko co do ludności, spostrzegamy zawsze największy zasób bogactwa tam, gdzie ludność jest największa. Jak dotąd zatem zawikłaliśmy jedynie nasze zagadnienie. Obaliliśmy wprawdzie teorię, która pod pewnym przynajmniej względem objaśnia zjawiska społeczne, lecz w skutek tego zjawiska te wydać nam się mogą bardziej jeszcze niezrozumiałemi. Gdyby w owych czasach, kiedy teoria Ptolomeusza ogólnie przyjętą była, ktokolwiek był dowiódł, że słońce i gwiazdy nie krążą naokoło ziemi, to jeszcze pozostałyby do objaśnienia zjawiska kolejnego następstwa dnia i nocy, i pozornego ruchu ciał niebieskich; gdyż inaczej dawna teoria natychmiast odzyskałaby znaczenie prawdy naukowej i pozostałaby niezbitą, dopóki inna doskonalsza niewytłomaczyłaby tamtych zagadnień. Podobnie i nas rozumowanie doprowadziło do wniosku, że robotnik pracujący wytwórczo sam stwarza swój zarobek, że wzrost ilości robotników powinien powiększyć zapłatę każdej jednostki, a tymczasem fakta oczywiście wykazują, jak wiele robotników nie może znaleźć zatrudnienia i do jakiego stopnia liczebne powiększenie się pracujących wpływa na obniżkę ich zapłaty. Słowem dowiedliśmy, że cena zarobku powinna być najwyższą wtedy, gdy w rzeczywistości jest ona najniższą.

Jednakże, pomimo tej pozornej sprzeczności, uczyniliśmy już krok naprzód. Wprawdzie nie znaleźliśmy właściwej przyczyny złego, lecz wiemy już, gdzie szukalibyśmy jej daremnie, a zatem ograniczyliśmy zakres naszego badania. Gdyż to przynajmniej stało się jasnym, że ani brak kapitału, ani wyczerpanie twórczych sił przyrody nie jest przyczyną, która sprawia, że cała warstwa wytwórców ma tak ograniczone środki do życia, pomimo niezmiernego spotęgowania siły wytwórczej. Jeżeli więc przyczyną tą nie są prawa wytwarzania, musi ona tkwić w prawach podziału bogactw, ku nim przeto zwrócimy się obecnie.

Zaczynamy od szczegółowego rozpatrzenia wszystkich zasad podziału bogactw. Musimy wykryć prawo, określające jaką część ogólnego wytwarzania zostaje użytą na wypłatę zarobku, aby wytłómaczyć dla czego nędza warstw najniższych wzrasta w miarę wzrostu zaludnienia i rozwoju rzemiosł. Aby znaleźć

prawo zarobku, lub, aby przynajmniej upewnić się, żeśmy je znaleźli, musimy określić, jaka część ogólnego wytwarzania przypada w udziale kapitalistom, a jaka właścicielom ziemskim, gdyż ogólne wytwarzanie musi zostać rozdzielone pomiędzy ziemię, pracę i kapitał, które to czynniki w połączeniu wytwarzają bogactwo narodowe.

To, co nazywamy ogólnym produktem, lub produkcją społeczną jestto suma bogactwa, stworzonego przez toż społeczeństwo, czyli zasób narodowy, z którego (dokąd tylko uprzednio nagromadzony zasób nie został zmniejszonym) pochodzą wszystkie dochody, i który musi wystarczyć na zaspokojenie wszelkich potrzeb. Jakem wytłómaczył powyżej, pod wyrazem wytwarzanie rozumiemy nietylko wykonanie przedmiotu, lecz i powiększenie jego wartości, w skutek przewozu lub wymiany. Takim jest wytwarzanie bogactwa zarówno w krajach czysto handlowych, jak i czysto rolniczych, lub przemysłowych; zawsze pewna część wytworów przypada w udziale kapitałowi, inna—pracy, inna zaś, właścicielom ziemskim, jeżeli ziemia ma jakąkolwiek wartość. Jak wiadomo, pewna część wytworzonego bogactwa bywa przytem zwracaną kapitałowi, który się wciąż zużywa i wciąż odnawia; nie potrzebujemy jednak brać tego w rachubę, gdyż zwyczaj uważamy kapitał zakładowy jako stały. A zatem, mówiąc o wynikach wytwarzania, mieć będziemy na myśli przewyżkę bogactwa, która jest wypadkiem tegoż wytwarzania po całkowitym zwrocie kapitału użytego na nie; kiedy zaś mówimy o procentach, mamy na myśli to, co przypada w udziale kapitałście po zwrocie, lub odtworzeniu jego kapitału.

Wiemy również, że w każdym rozwiniętem społeczeństwie pewna część wytworów bywa opodatkowaną lub zużyta przez rząd. Możemy jednak pominąć tę okoliczność przy śledzeniu praw podziału bogactw i uważać opodatkowanie, jako czynnik ograniczający wytwórczość, lub też nieistniejący wcale. To samo da się zastosować do pewnych form monopolów, o których będzie mowa w jednym z następnych rozdziałów (Rozd. IV), a których wpływ jest równoważny z podatkami. Dopiero po wykryciu praw podziału bogactw, możemy zauważyć, czy opodatkowanie ma z niem jaki związek i jakim on jest mianowicie.

Musimy koniecznie poznać, trzy prawa podziału bogactwa, a przynajmniej choć dwa, gdy bezwzględnie na uprzednie nasze rozpatrywanie jednego z nich, wszystkie znane dzieła ekonomiczne służą za dowód, jak dalece są one mylnie pojmowane przez myślicieli i uczonych.

Staje się to widocznem przedewszystkiem pod względem używanej terminologii. Wszystkie dzieła ekonomiczne twierdzą, że ziemia, praca i kapitał są to trzy czynniki wytwarzania i że ogół wytworów zostaje początkowo rozdzielonym na trzy działy odpowiednie. Muszą zatem istnieć trzy nazwy odrębne, z których każda określałaby dokładnie jeden z tych działów, wyła-

czając inne. *Płata dzierżawna* (renta) dość jasno określa pierwszy z tych działów t. j. udział właścicieli ziemskich. *Zarobek* dość dokładnie określa drugi z nich, czyli wynagrodzenie pracy. Lecz pod względem trzeciej nazwy—któraby określała wynagrodzenie kapitalisty—panuje w ekonomii widoczna dwuznaczność i niejasność.

Ze wszystkich ogólnie używanych nazw odsetka najdokładniej wyraża pojęcie wynagrodzenia za użytkowanie kapitału, wyłączając wszelką pracę, włożoną w użytkowanie kapitału, oraz wszelkie ryzyko, z wyjątkiem tego jedynie, na które narażonym bywa nawet najbezpieczniej ulokowany kapitał. Używana również często nazwa *zysk* jest prawie jednoznaczna z dochodem; oznacza ona korzyść t. j. przewyżkę zasobu otrzymanego nad zasobem wydanym, zawiera często pierwiastki, które są właściwie rentą, a jeszcze częściej takie, które w gruncie stanowią zarobek, lub powetowanie za ryzyko, nieodłączne od wielu sposobów użytkowania kapitału. Ścisłe przeto biorąc, nie możemy w żadnym razie przyjąć nazwy *zysk*, jako terminu naukowego oznaczającego dział wytworów, stanowiący wynagrodzenie kapitału, w odróżnieniu od wynagrodzenia przynależnego pracy i posiadaczom ziemskim.

Ekonomia polityczna zwróciła na to uwagę.

Adam Smith tłumacząc, że zarobek i wynagrodzenie za ryzyko stanowią składową część zysku, wykazuje, że znaczne zyski aptekarzy zarówno jak i szczupłe zyski handlarzy drobiazgowych są w gruncie zarobkiem za ich pracę, a nie procentem od włożonego kapitału, oraz że wielkie zyski, które nieraz przynoszą niebezpieczne przedsiębiorstwa np. przemycanie, lub handel starzyzną, są istotnie wynagrodzeniem za ryzyko, które po dłuższym przeciągu czasu sprowadza ową pozorną przewyżkę do przeciętnej normy dochodu, lub nawet niżej tej normy. Podobne objaśnienia napotykamy w innych później wydanych dziełach, w których czytelnik zawsze spotyka zdanie, że *zysk* składa się z trzech części: płacy za zarząd, wynagrodzenia za ryzyko i procentu t. j. opłaty za użytkowanie z kapitału.

Mówiąc przeto o podziale bogactw pomiędzy trzy czynniki wytwarzania, nie możemy przyjąć nazwy *zysk*, ani w tem znaczeniu, jakie wyraz ten ma w mowie potocznej, ani też w tem, jakie mu nadali ekonomiści. Twierdzić, że bogactwo dzieli się na dochód gruntowy, zarobek i *zysk*, jest to to samo, co dzielić rodzaj ludzki na mężczyzn, kobiety i ludzi.

A jednak ku wielkiemu zdziwieniu czytelnika powiemy mu, iż podobny podział napotyka się u wszystkich znanych autorów. Rozkładają oni *zysk* na: płacę za zarząd, wynagrodzenie za ryzyko i procent, t. j. opłatę za użytkowanie z kapitału, a następnie mówią o trzech rodzajach dochodów, t. j. o dochodzie gruntowym, wynagrodzeniu za pracę i *zyskach* z kapitału.

Nie wątpię, iż tysiące ludzi musiało sobie napróżno łamać głowy nad tą niejasnością nazw i wreszcie z rozpaczą opuściło ręce w przekonaniu, że błąd nie tkwi w dziełach myślicieli, lecz wynika z własnego niedołęztwa ich myśli.

Jeżeli to im może być pociecha, niech przejrzą „Historję Cywilizacji Anglii“ Buckle'a, a zobaczą, że człowiek, który z pewnością jasno zdawał sobie sprawę z tego, co czytał — a znał wszystkie dzieła ekonomiczne począwszy od Smitha, również nie zdołał wywikłać się z tej mieszaniny zysków i procentów. Gdyż Buckle (Tom I, Rozdz. II, przypiski) ciągle mówi o dochodzie gruntowym, zarobku, procentach i zyskach.

I nie można dziwić się temu. Ekonomiści bowiem rozłożyli zysk na płacę za zarząd, wynagrodzenie za ryzyko i procent; następnie zaś, określając przyczyny, które ustalają przeciętną wysokość zysku, mówią o rzeczach, dotyczących widocznie tej tylko części zysku, która jest nazwana procentem; dalej zaś, mówiąc o wysokości procentu, albo stosują bezmyślnie prawo żądania i zaoferowania, albo też wymieniają czynniki, które dotyczą jedynie wynagrodzenia za ryzyko; słowem używają oni wyrazu *zysk* w jego znaczeniu potocznem, a nie w znaczeniu naukowem, które sami mu nadali i które wyłącza pojęcie wynagrodzenia za ryzyko.

Czytelnik przekona się w nader uderzający sposób o tej niejasności myśli najlogiczniejszych angielskich ekonomistów, jeżeli weźmie do ręki „Zasady Ekonomii Politycznej“ Milla i porówna rozdział o *zyskach* (Księga II, Rozdz. XV) z rozdziałem o procentach (Księga III Rozdz. XXIII).

A jednak podobni ludzie nie mogli bez przyczyny popaść w taką niejasność. Jeżeli poszli oni jeden po drugim w ślady Adama Smitha, przeskakując tam, gdzie on przeskoczył i potykając się tam, gdzie on się potknął, widocznie istniała jakaś zapora, którą on przeskoczył i jama, w którą wpadł. Przyczyną tego zamętu była przyjęta z góry teoria zarobku. Dla względów, które wykazałem uprzednio, wydawało się im prawdą oczywistą, że zarobki pewnych warstw roboczych zależą od stosunku kapitału do ilości pracujących. Ponieważ jednak są pewne rodzaje wynagrodzenia za pracę, do których powyższe prawo stosować się nie daje, więc trzeba było z konieczności używać wyrazu „zarobek“ w ograniczonym, pospolitem jego znaczeniu, oznaczający zgodnie z przyjętym określeniem przez zarobek, jedną z trzech doli, na które wartość wytworu się rozdziela, trzebaby było oczywiście wykluczyć z tego pojęcia wszelkie wynagrodzenia za pracę osobistą, z wyjątkiem tego, które nazywamy płacą roboczą. Lecz trudność ta zostaje usuniętą przez podział bogactwa na dochód gruntowy, zarobek i zysk a nie na dochód gruntowy, zarobek i procent; gdyż w tym razie wszelka zaplata, która się nie zgadza z przyjętą

z góry teorią zarobków, wchodzi w kategorię zysków, jako płaca za zarząd. Czytając uważnie to, co ekonomiści piszą o podziale bogactwa, widzimy, że pomimo nader starannych określeń, zarobek nie oznacza u nich zapłaty za wszelką pracę, lecz tylko za niektóre jej rodzaje, że właściwie oznacza on zapłatę za pracę ręczną, wypłacaną przez pracodawcę. Wszelki inny zarobek jest połączony z wynagrodzeniem za kapitał, i podciągnięty pod nazwę zysku, w skutek czego niema dokładnego rozróżnienia, między dochodem od kapitału, a dochodem od pracy ludzkiej. Fakt jest, że ekonomia polityczna nie dostarcza nam jasnych i ścisłych danych o podziale bogactwa. Jedno tylko prawo renty jest dokładnie określone, reszta zaś jest dziwną mieszaniną, pozbawioną wszelkiego związku. Sam układ tych dzieł zdradza niejasność i brak konsekwencyi w myśleniu. Nie znamy żadnej rozprawy ekonomicznej, w którejby prawa podziału bogactwa zestawiono razem tak, by czytelnik mógł je objąć jednym rzutem oka i uznać ich wzajemny do siebie stosunek; przeciwnie, każde zdanie, wyrzeczone o któremkolwiek z nich, jest owinięte przedzą politycznych i moralnych rozumowań. Nie potrzebujemy daleko szukać przyczyny. Zestawienie tych trzech praw podziału bogactw, tak jak je rozumieją obecnie, wykazałoby brak koniecznego pomiędzy nimi związku.

Prawa podziału bogactwa są do siebie w stosunku proporcjonalnym, a zatem zachodzić pomiędzy nimi powinien taki związek, aby znając z nich dwa, można było wyprowadzić trzecie. Albowiem, mówiąc, że jedna z trzech części całości została powiększona lub zmniejszona, widzimy zarazem, że jedna z części pozostałych, lub też obie musiały być na odwrót zmniejszone lub powiększone. Np. Tomasz, Henryk i Ryszard są współnikami, a zatem umowa, która określa udział jednego z nich w zyskach, musi zarazem określać oddzielne, lub połączone udziały dwóch drugich współników. Jeżeli dla Tomasza przypada 40% to Ryszard i Henryk podzielą pomiędzy siebie pozostałe 60%. Jeżeli udział Ryszarda wynosi 40% a Henryka 35%, to naturalnie udział Tomasza równa się 25%.

A jednak w dziełach ekonomistów nie widzimy podobnego związku pomiędzy prawami podziału bogactw. Jeżeli zbierzemy wszelkie dane, napotykanne tam w tym względzie, i zestawimy je razem, zobaczymy, co następuje:

Cena zarobku zależy od stosunku, zachodzącego między wysokością kapitału przeznaczanego na zapłatę i utrzymanie pracujących, a ilością robotników szukających zatrudnienia.

Wysokość dochodu gruntowego zależy od wydajności gruntów, ostatnio wziętych pod uprawę; jestto przewyżka wytworu otrzymanego w danej miejscowości, nad ten który ta sama praca i kapitał są w stanie wyciągnąć z gleby uboższej.

Wysokość procentu zależy od stosunku żądania do zaofiarowania. Lub też (jeżeli weźmiemy pod uwagę to, co stanowi prawo o zyskach) wysokość jego zależy od ceny płacy roboczej: procent spada, gdy zarobek idzie w górę, podnosi się, gdy zarobek się obniża, lub jeszcze—według Milla—wysokość procentu zależy od kosztów, które kapitalista poniósł na opłacenie pracy.

Zestawienie tych ogólnie przyjętych twierdzeń o prawach podziału bogactw wykazuje, że niema pomiędzy nimi tego związku, który zachodzić powinien pomiędzy rzeczywistymi prawami podziału bogactwa. Nie są one powiązane z sobą, nie są współrzędne. A zatem przynajmniej dwa z tych praw są albo mylnie pojęte, albo też błędnie określone.

Na mocy uczynionych dotąd spostrzeżeń widzimy, że pojęcia ekonomistów o zarobkach i procentach nie wytrzymują krytyki. Poszukajmy zatem sami rzeczywistych praw podziału wytworów pracy między zarobek, rentę i procent, a będziemy pewni utrzymania się na raz obranej drodze, jeżeli prawa te będą z sobą w ścisłym związku i będą się dopełniać wzajemnie.

Badanie nasze nie ma nic do czynienia z zyskami. Potrzebujemy wykryć, od czego mianowicie zależy podział wytworów między ziemię, pracę i kapitał, a wyraz *zysk* nie określa wyłącznie żadnego z tych trzech działów. Z tych trzech działów, na jakie ekonomiści rozdzielają zyski, a mianowicie: wynagrodzenia za ryzyko, płacy za nadzór i opłaty za użytkowanie z kapitału, ten ostatni może być podciągnięty pod nazwę *procentu*, gdyż wyraz ten obejmuje wszelkie wynagrodzenia za użytkowanie z kapitału, a wyłącza wszystkie inne; płaca za nadzór podchodzi pod nazwę zarobku, który obejmuje wynagrodzenie za trud ludzki, a wyłącza wszystko inne; wreszcie wynagrodzenie za ryzyko niema racji bytu, gdyż ryzyko nie wchodzi w rachubę, gdy weźmiemy pod uwagę ogół tranzakcyj zawieranych w społeczeństwie. Zgodnie przeto z określeniami ekonomistów będę używał wyrazu *procent*, dla oznaczenia udziału kapitalisty w ogólnem wytwarzaniu.

Streszczam zatem:

Ziemia, praca i kapitał—sąto trzy czynniki wytwarzania. Pod wyrazem ziemia, rozumiemy wszystkie dary i siły przyrody; pod wyrazem praca—wszelkie usiłowania ludzkie; pod wyrazem zaś kapitał—bogactwo, zużyte dla otrzymania nowego bogactwa. Ogół wytworów zostaje rozdzielony między te trzy czynniki i stanowi ich wynagrodzenie. Ta część, która stanowi zapłatę posiadaczy ziemskich za użytkowanie z sił przyrody, nosi nazwę renty; część, stanowiąca zapłatę usiłowań ludzkich, zwaną bywa zarobkiem; ta zaś część, która stanowi wynagrodzenie za użytkowanie z kapitału, zowie się procentem. Te nazwy wyłączają się wzajemnie. Dochód jednostki może być czerpanym z jednego z tych źródeł, lub z dwóch, lub ze wszystkich trzech nawet; my

jednak rozdzielić je musimy, chcąc wykryć prawa podziału bogactwa.

Niech mi wolno będzie zaraz na wstępie badania, które przedsięwziąć zamierzam, wypowiedzieć zasadę, że błędy ekonomistów, wykazane—jak sądzę—dokładnie, wynikają z przyjęcia mylnego punktu wyjścia. Wielcy uczeni, żyjąc w takich warunkach społecznych, w których kapitalista zazwyczaj oddaje się im w dzierżawę i wynajmuje robotników, a zatem jest pozornie głównym działaczem wytwarzania, niby przedsiębiorcą, uważają kapitał za pierwszy czynnik, ziemia zaś i praca są tylko według nich, narzędziami kapitału. To pojęcie występuje na każdej stronicy ich dzieł, w formie ich rozumowań, w treści podanych objaśnień i nawet w wyborze nazw ekonomicznych. Wszędzie kapitał jest punktem zasadniczym, kapitalista—główną osobą. Pojęcie to jest tak zakorzenionem, że Smith i Ricardo używają wyrazu „zarobek naturalny“ dla oznaczenia minimum środków, przy których robotnicy wyżywić się mogą; gdy tymczasem, jeżeli tylko nie zechcemy uważać niesprawiedliwości za rzecz naturalną, wówczas, jako naturalny zarobek robotnika, powinniśmy uważać wszystko to, co on wytwarza. Ten zwyczaj zapatrywania się na kapitał, jako na zwierzchnika pracy, dał początek teorii: że wysokość zarobku zależy od ilości kapitału i że procent stoi w odwrotnym stosunku do zarobku; on również kazał zapomnieć o prawdach, które inaczej byłyby oczywistymi. Słowem, ekonomia polityczna uczyniła pierwszy fałszywy krok na drodze badania wielkich praw podziału bogactw wtedy, gdy Adam Smith zapomniał o zasadniczem twierdzeniu, wyrażonem przezeń w ten sposób: „wytwór pracy stanowi naturalne wynagrodzenie, czyli zarobek robotnika,“ i gdy zgodził się na to, że kapitał daje zatrudnienie i płaci zarobki pracującym. Jeżeli jednak zwrócimy uwagę na początek zjawisk społecznych i ich naturalne po sobie następstwo, musimy odwrócić ten porządek: kapitał jest ostatnim, a nie pierwszym czynnikiem wytwarzania; nie kapitał daje zajęcie pracy, lecz na odwrót praca zużytkowuje kapitał. Istnienie ziemi musi poprzedzać wysiłek pracy, wysiłek zaś pracy musi poprzedzać wytwarzanie kapitału. Kapitał jest wynikiem pracy i przyczynia się do dalszego wytwarzania. Praca jest głównym działaczem, początkową siłą, jest ona niejako zwierzchnikiem kapitału. Lecz zastosowanie pracy, wymaga ziemi, z niej to bowiem pochodzą przedmioty, które przekształcone przez pracę stanowią bogactwo. A zatem ziemia jest najpierwszym warunkiem pracy, stanowi ona pole działania jej i dostarcza materiałów. Ziemia, praca i kapitał—oto naturalny porządek badanych czynników, powinniśmy zatem uważać ziemię, a nie kapitał, za warunek zasadniczy.

Musimy jeszcze zwrócić uwagę na inne okoliczności. Kapitał nie jest koniecznym czynnikiem wytwarzania. Praca, włożona w ziemię, może wytwarzać bogactwo bez pomocy kapitału,

a nawet w naturalnym rozwoju społecznym wytwarzać je musiała, zanim jeszcze kapitał istniał. A zatem prawo renty i prawo zarobku *muszą* być ze sobą sprzężone i tworzyć całość doskonałą niezależnie od prawa kapitału, gdyż inaczej prawa te nie mogłyby być zastosowane wtedy, gdy kapitał nie bierze żadnego udziału w wytwarzaniu, jak się to nieraz do pewnego stopnia dzieje istotnie. Dalej, ponieważ, jak to często mówimy, kapitał jest tylko nagromadzoną pracą, jest tylko pewną formą pracy, jest terminem gatunkowym rodzajowej nazwy *praca*, przeto prawo kapitału powinno być podporządkowane prawu zarobku i musi się z niem zgadzać tak, aby prawo to mogło być zastosowaniem wtedy, gdy ogół wytworów zostaje rozdzielonym między pracę i kapitał, i gdy nie się nie odtrąca na rentę. Objasnimy to przykładem: podział wytworów pomiędzy ziemię, pracę i kapitał powinien być taki, jak w spółce Tomasz, Ryszarda i Henryka, gdyby Tomasz i Ryszard byli głównymi wspólnikami, a Henryk przystąpił do spółki, jako pomocnik Ryszarda i dzielił jego zyski.

ROZDZIAŁ II.

Renta (płata dzierżawna) i prawo renty.

Wyraz renta, czyli płata dzierżawna w znaczeniu nazwy ekonomicznej, t. j. tak, jak ja go używam dla oznaczenia tej części wytworów, która przypada w udziale w zamian za prawa własności posiadaczom ziemi, lub innych darów przyrody, różni się nieco od znaczenia, jakie nadajemy temu wyrazowi w mowie potocznej. Pod jednymi względami znaczenie naukowe jest bardziej ograniczone od znaczenia potocznego, pod innymi zaś jest ono rozleglejsze.

Jest ono ciaśniejsze pod następującym względem. W mowie potocznej zowiemy rentą zarówno zapłatę za użytkowanie z budynków, z maszyn i t. d. jak i zapłatę za użytkowanie z ziemi, lub z innych darów przyrody; mówiąc zaś o rencie, którą daje dom lub folwark, nie oddzielamy zapłaty za użytkowanie z ulepszeń, od zapłaty za użytkowanie z samej ziemi. Lecz w naukowym rozumieniu wyrazu wyłączamy z renty zapłatę za korzystanie z wszelkiego wytworu usiłowań ludzkich; z ogólnej

zaś zapłaty za użytkowanie z domów, folwarków i t. d. nazywamy rentą tę tylko część, która stanowi wynagrodzenie za użytkowanie z ziemi, podczas gdy część zapłaty, przypadająca za korzystanie z budynków, lub innych ulepszeń, nosi właściwie nazwę procentu, gdyż stanowi ona wynagrodzenie za użytkowanie z kapitału.

Znaczenie naukowe wyrazu renta jest rozleglejsze pod tym względem. W mowie potocznej mówimy o rencie wtedy tylko, gdy widzimy dwie osoby: właściciela gruntu i tego, który zeń użytkuje. Naukowo zaś renta istnieje i wtedy także, gdy jedna i ta sama osoba jest właścicielem i użytkującym z ziemi. W tym ostatnim razie rentą jest ta część dochodu jednostki, którą mógłby on otrzymać, wypuszczając grunt swój w dzierżawę; podczas gdy część dochodu, którąby miał wtedy, gdyby ziemia nie była jego własnością, lecz tylko w jego dzierżawie stanowi wynagrodzenie za włożoną pracę i kapitał. Od wysokości renty zależy niemniej cena sprzedazna ziemi. Zapłata, która przy nabywaniu ziemi przypada za przywilej własności, t. j. za prawo wiecznego użytkowania z gruntu, jest przeistoczoną lub zkapitalizowaną rentą. Jeżeli, kupiwszy ziemię za małą cenę, zatrzymam ją, dokąd nie będę mógł sprzedać jej za znacznie wyższą cenę, wzbogacam się, a ta przewyżka nie będzie zarobkiem za mą pracę, ani procentem od mego kapitału, lecz wynika z podniesienia renty. Słowem renta jestto dział wytworzonego bogactwa, który przypada na właścicieli ziemskich dzięki ich prawu wyłącznego użytkowania z darów przyrody. Renta w naukowym znaczeniu wyrazu istnieje wszędzie, gdziekolwiek ziemia ma wartość zamienną. Gdziekolwiek ziemia, mająca wartość, jest zużytkowaną czy to przez właściciela, czy przez dzierżawcę, tam ma miejsce renta rzeczywista; gdziekolwiek zaś ziemia, chociaż nieużytkowana, posiada wartość, tam istnieje możliwość renty. Ta właśnie zdolność przynoszenia renty nadaje wartość ziemi. Ziemia nie ma żadnej wartości, dokąd posiadanie jej nie zapewnia pewnych korzyści *).

A zatem renta, czyli wartość ziemi nie wynika, ani z jej płodności, ani też z jej użyteczności. Nie stanowi ona żadnej pomocy w wytwarzaniu, nie powiększa wypływających zeń korzyści, umożliwia ona tylko zaoszczędzenie pewnej części wytworów. Bez względu na żyzność gruntu, ziemia nie może przynosić renty, ani posiadać wartości, dokąd w społeczeństwie nie znajdzie się jednostka, która się zgodzi oddać swą pracę lub wyniki tejże w zamian za przywilej użytkowania z ziemi; wysokość zaś tego, co jednostka owa oddać zechce, nie zależy od bezwzględnej żyzności gruntu, lecz od jego żyzności w porównaniu z tą ziemią, którą można mieć darmo. Mogę być posiadaczem bardzo

*) Mówiąc o wartości ziemi, mam na myśli jedynie tylko wartość samego gruntu, a nie poczynionych na nim ulepszeń.

urodzajnej miejscowości, która mi nie da żadnej renty i będzie bezwartościową, dokąd inną równie urodzajną ziemię można będzie posiąść bez żadnego kosztu. Lecz jak tylko wszystkie urodzajna ziemia zostanie objęta w posiadanie i najlepszy grunt, który można uprawiać darmo, będzie gorszy pod względem żyzności swej, położenia, lub innych warunków, wtedy moja ziemia zacznie nabierać wartości i przynosić rentę. A jakkolwiek urodzajność mojego kawałka ziemi zmniejszyłaby się mogła, to jednak renta, którą pobierać będę, a zatem i wartość mojej ziemi będzie się wciąż podnosić, jeżeli tylko żyzność ziemi, którą bezpłatnie posiadać można, zmniejszyła się w większym jeszcze stosunku. Renta jest przeto zapłatą za monopol, t. j. za posiadanie przez pojedyncze jednostki czynników przyrodzonych, których praca ludzka nie jest w stanie ani wytworzyć ani powiększyć.

Gdyby wszystka ziemia, należąca do jakiego społeczeństwa, była w posiadaniu jednego tylko człowieka, mógłby on za użytkowanie stawiać dowolną cenę i warunki, które pozostali członkowie zmuszeni by byli przyjąć dla uniknięcia śmierci lub wychództwa z kraju. Tak się działo niegdyś w wielu społeczeństwach; w dzisiejszych jednak czasach, jakkolwiek ziemia stanowi zazwyczaj własność prywatną, jest ona w posiadaniu zbyt wielkiej ilości osób, by cena dzierżawy zależała li tylko od prostej fantazyi. Każdy właściciel stara się dostać za swą ziemię jak można najwięcej; istnieje jednak pewne ograniczenie tego, co on wyzyskać może, a ograniczenie to stanowi cenę rynkową gruntu, lub przeciętną rentę gruntową i zmienia się w różnych krajach i w różnych czasach. Prawo, które podlegając wpływowi ogólnej konkurencyi (a wpływ ten zawsze trzeba mieć na względzie przy badaniu zasad ekonomii politycznej) określa rentę a zarazem i cenę, jaką właściciel za ziemię swą otrzymać może, stanowi *prawo renty*. Jak tylko potrafimy je ustalić, będziemy mieli pewny punkt wyjścia, z którego śmiało wyprowadzać będziemy mogli zasady zmiany zarobku i procentu. Albowiem ponieważ podział bogactwa na dzieleniu się opiera, przeto, jak tylko oznaczymy dział wytworów stanowiących rentę, będziemy w stanie wykazać ten dział, który pozostaje na zarobek,—jeżeli wytwarzanie odbywało się bez współdziałania kapitału,—albo też połączone udziały zarobku i procentu, jeżeli kapitał był użyty do przedsiębiorstwa. Szczerze nie napotykały żadnych punktów spornych co do prawa renty. Powagi zgadzają się pod tym względem z poglądem ogółu *), a twierdzenia ekonomistów mają cha-

*) Niechęć przez to powiedzieć, by prawo renty nigdy nie było przedmiotem sporów uczonych: w całym bowiem steku niedorzeczności, które w obecnym stanie nauki zostały wydrukowane, jako podręczniki ekonomiczne, trudno znaleźć cokolwiekbyś, co by nie dawało powodu do sporów. Miałem na myśli to tylko, że dzisiaj już prawo renty zostało uznanem przez wszystkich pisarzy, których istotnie za powagi uważać należy. John Stuart Mill powiada (Ks. II, Roz. XVI):

rakter pewników geometrycznych. To prawo renty, które według Milla stanowi *pons asinorum* ekonomii, nazywają czasem „prawem renty Ricarda,“ on to bowiem pierwszy zajął się niem szczegółowo, jakkolwiek znane już było przed nim. Prawo to brzmi tak:

Wysokość renty zależy od tego, o ile ta sama ilość pracy zdolna jest wytworzyć więcej w ziemi urodzajniejszej niż w drugiej mniej urodzajnej.

Wszyscy pierwszorzędni ekonomiści, od czasów Ricarda, wyczerpująco objaśnili prawo renty, które naturalnie zastosować można nie tylko do ziemi wziętej pod uprawę lecz i do wszelkiego czerpania z darów przyrody np. do kopalni, do rybołówstwa i t. d. Określenie renty jest bardzo łatwe, gdyż jasną jest rzeczą, że żądania właścicieli w skutek konkurencyi zwiększają się ze szkodą wynagrodzenia za kapitał i za pracę, włożoną w wytwarzanie tak, że posiadacz urodzajniejszej ziemi może w rencie przywłaszczyć sobie cały dochód, wyjąwszy to, co ogólnie jest przyjętem, jako wynagrodzenie za kapitał i pracę t. j. to, co otrzymać można i z mniej żywej ziemi, nie placąc przytem renty.

Być może, iż prawo renty dokładniej zrozumianem zostanie, gdy je wyrazimy w następnej formie: Posiadanie na własność jakiegokolwiek naturalnego czynnika wytwarzania, nadaje właścicielowi możność przywłaszczenia sobie bogactwa, stworzonego przez pracę i kapitał, który przewyższa wynagrodzenie, jakiego otrzymać mogła ta sama praca i tenże kapitał, włożony swobodnie w mniej korzystne zajęcie.

Ostatecznie wychodzi to na jedno, gdyż każde umieszczenie pracy i kapitału wymaga użytkowania z ziemi, a nadto dochód, otrzymywany z ziemi nie może być, ogólnie biorąc, większym od tego, jaki przynosi każde inne zajęcie. Weźmy naprzykład społeczeństwo, w którym jedna część pracy i kapitału włożoną jest w rolnictwo, a druga w przemysł. Najgorsza uprawna ziemia przynosi przeciętny dochód 20%, a zatem 20 jest przeciętnem wynagrodzeniem pracy i kapitału, włożonego zarówno w przemysł, jak i w rolnictwo. Przypuśćmy, że pewne przyczyny sprowadziłyby dochód z przemysłu do normy 15. Naturalnie, kapitał i praca włożone w przemysł zwrócą się do rolnictwa,—dokąd, czy to w skutek wzięcia się do uprawy gorszych, leżących odlegiem gruntów, czy to w skutek podniesienia względnej wartości wytworów przemysłu, z powodu mniejszego ich wytwarzania; czy też, jak się to najczęściej zdarza, w skutek obydwu tych wpły-

„ci tylko nie zgadzają się na prawo renty, którzy go gruntownie nie rozumieją. Zadziwiająca jest rzeczą, jak mylnie i powierzchownie rozumują pisarze, odrzucający rzeczzone prawo.“ Powyższa uwaga Milla nieraz później stwierdzoną została.

wów—dochód od kapitału i pracy, włożonej w obie gałęzie przemysłu, wróci znów do dawnej normy, tak że bez względu na to, jakie będą korzyści otrzymywane z przemysłu—czy to będzie 18, 17 czy 16,—rolnictwo dać musi dochód odpowiedni. A zatem jest to wszystko jedno czy twierdzić, że wysokość renty równa się przewyżce wytworów otrzymanych z danej miejscowości nad temi, które z gorszej ziemi wydobyć można; czy też mówić, że wysokość renty równa się przewyżce wytworów danej ziemi nad temi, które otrzymać może praca i kapitał, użyte do mniej opłatnej gałęzi przemysłu.

Prawo renty jest w gruncie rzeczy prostym wynikiem prawa konkurencyi i zawiera się w twierdzeniu: że cała część wytworów przewyższająca to, coby otrzymać można z kapitału i pracy, włożonych w uprawę najgorszych gruntów, przypada na posiadaczy ziemskich pod postacią renty, ponieważ zarobek i procent układają się zawsze do jednego poziomu. Prawo to opiera się na twierdzeniu zasadniczem,—które jest tem w ekonomii, czem prawo ciężkości w fizyce,—że ludzie starają się zawsze zadowolnić swoje potrzeby najmniejszą sumą usiłowań.

Takiem jest więc prawo renty. Jakkolwiek wielu ekonomistów, idąc zbyt ślepo śladami Ricarda, który zastosowuje to prawo jedynie do rolnictwa i powtarza często, że przemysł żadnej renty nie przynosi, (gdy tymczasem w rzeczywistości przemysł i wymiana przynoszą największą rentę, jak tego dowodzi wysoka wartość ziemi w miejscowościach przemysłowych i handlowych) zacierają całą ważność tego prawa; to jednak już od czasów Ricarda prawo renty było jasno określone i ogólnie przyjętem. Nie tak się stało z wyprowadzonymi zeń wnioskami.

Jakkolwiek wywody te są nader proste, nie zostały one jednak przyjęte ogólnie, gdyż stała im na przeszkodzie z góry powzięta teoria zarobku, popierana i ustalona nie tylko przez argumenta podane powyżej, lecz przez inne jeszcze, których niezmierną doniosłość stanie się oczywistą wtedy dopiero, gdy dojdziemy do wniosków logicznych, ku którym dążymy *).

A jednak czy nie jest równie jasnym jak najprostsze geometryczne dowodzenie to, że bezpośrednim wynikiem prawa renty jest: albo prawo zarobku w razie, gdy wytwory zostaną rozdzielone między rentę i zarobek tylko, albo też prawo zarobku i prawo procentu razem wzięte w razie, gdy wytwory dzielą się między rentę, zarobek i procent? Lub na odwrót, prawo renty jest prawem zarobku i procentu wziętemi razem, albowiem jestto pewnikiem, że bez względu na wytwórczość wynikłą z użycia

*) Buckle (Historia Cywil., Rozdz. II) uznaje istnienie koniecznego związku między rentą, procentem i zarobkiem, lecz widocznie nigdy nie opracowywał tego przedmiotu.

pracy i kapitału, oba te czynniki otrzymają jako zarobek i procent taką tylko ilość wytworów, jakąby wytworzyć mogły z ziemi swobodnie uprawianej. Gdyż jeżeli rentą przynależną właścicielowi ziemskiemu jest przewyżka wytworów, którą w danej miejscowości otrzymać można, nad tą ilością wytworów, które ta sama praca i kapitał mogą otrzymać z ziemi, z której nie trzeba płacić renty, a zatem praca i kapitał mogą żądać jako zarobek i procent tylko tej sumy wytworów, którąby otrzymać mogły z ziemi darmo uprawnej.

Podajemy to w formule algebraicznej:

Ponieważ ogół wytworów = Rencie + Procent + Zarobek, a zatem: Ogół wytworów — Renta = Procent + Zarobek. Tak więc wysokość zarobku i procentu nie zależy od wytwórczości pracy i kapitału, lecz od wysokości tego, co zostaje po opłaceniu renty lub też od ilości wytworów, któreby one otrzymać mogły nie płacąc renty t. j. z najuboższej uprawianej gleby. A zatem, ani zarobek, ani procent podnieść się nie mogą pomimo wzrostu siły wytwórczej, jeżeli tylko renta podnosi się w tym samym stosunku.

Od chwili, w której uznamy ten konieczny związek, potok światła rozjaśnia to, co nam się przedtem niezrozumiałem wydawało i zjawiska sprzeczne pozornie podporządkowują się oczywistemu prawu. Widzimy odrazu, że nieustanny wzrost renty w społeczeństwach postępowych jest rozwiązaniem zagadki, dla czego zarobek i procent nie idą w górę równomiernie ze wzrostem siły wytwórczej? Gdyż bogactwo wytworzone w każdym społeczeństwie przedzielone jest na dwie części przez to, co moglibyśmy nazwać linią renty, a co zależy od granic uprawy ziemi, lub od wynagrodzenia, jakie praca i kapitał pobierać by mogły z darów przyrody, z którychby użytkowały darmo, nie opłacając renty. Zarobek i procent muszą być opłacane z tej części wytworów, która zostaje poniżej owej linii odgraniczającej; wszystko zaś co jest powyżej niej, przypada w udziale właścicielom ziemskim. A zatem, gdzie tylko cena ziemi jest niską np. w nowych społeczeństwach, tam może istnieć wysoka norma procentu i zarobku pomimo wytwarzania względnie małego. Lecz gdzie tylko ziemia ma wysoką wartość np. w starych społeczeństwach tam może być wielkie wytwarzanie, a jednak norma zarobku i procentu będzie niską. Tam gdzie siła wytwórcza wzrasta np. we wszystkich społeczeństwach postępowych, tam i wysokość zarobku i procentu zmienia się, nie w skutek wzrostu renty lecz zależnie od sposobu, w jaki zmienia się renta. Jeżeli wartość ziemi wzrasta równomiernie z siłą wytwórczą, to cała przewyżka wytworów zostanie pochłonięta przez rentę, a zarobek i procent pozostaną w mierze. Jeżeli wartość ziemi podniosła się ponad wzrost siły wytwórczej, to renta pochłonie więcej nawet, niż tę przewyżkę, a zarobek i procent obniżą się, jakkolwiek wydajność pracy i kapitału będzie większą. Zarobek i procent wtedy

tylko mogą się podnieść wraz ze wzrostem siły wytwórczej, gdy wartość ziemi nie wzrośnie tak szybko, jak siła wytwórcza. Fakta rzeczywiście udowodniają to, cośmy dotąd powiedzieli.

ROZDZIAŁ III

Procent — przyczyny istnienia procentu.

Ustaliwszy prawo renty, otrzymaliśmy jako konieczny wynik prawo zarobku, przejawiające się wtedy, gdy bogactwo rozdzielonem bywa pomiędzy rentę i zarobek, i prawa zarobku i procentu, wspólne działanie których wtedy na jaw występuje, gdy bogactwo dzieli się między wszystkie trzy czynniki wytwarzania. Ilość wytworów, przypadająca na rentę, musi określać, jaka ich ilość pozostaje na zarobek, jeżeli mowa jest tylko o ziemi i pracy; lub też jaki dział bogactwa ma być rozdzielonym pomiędzy zarobek i procent, jeżeli wytwarzanie odbywało się ze współudziałem kapitału.

Lecz bez względu na ten stosunek, postarajmy się wykryć każde z tych trzech praw z osobna niezależnie od dwóch pozostałych. Jeżeli po wyprowadzeniu ich w taki sposób okaże się wewnętrzny między nimi związek, będzie to niewątpliwym dowodem prawdziwości naszych przypuszczeń. Zajmiemy się przede wszystkim kwestyą procentu, pozostawiając wykrycie praw zarobku, jako ostateczne zadanie badania naszego.

Wykazałem już różnicę, zachodzącą między znaczeniem nazw: zysk i procent. Muszę jeszcze zwrócić uwagę na to, że znaczenie wyrazu procent—jako oderwanej nazwy jednego działu bogactwa—różni się od znaczenia, jakie ten wyraz ma w mowie potocznej w tem, że obejmuje ono wszelkie korzyści, wpływające z użytkowania kapitału, a nie te tylko, jakie dający zapewnia biorącemu; wyłącza zaś powetowanie za ryzyko, czynnik stanowiący tak znaczną część tego, co pospolicie zowiemy procentem. Powetowanie za ryzyko jest oczywiście tylko zrównoważeniem korzyści, wynikających z różnorodnego użytkowania z kapitału. My potrzebujemy odkryć, co ustala przeciętną stopę procentu w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Dodawszy do tego powetowanie za ryzyko, otrzymamy przeciętną stopę procentu handlowego.

Teraz więc stało się widocznem, że największe różnice w tem, co zazwyczaj nazywamy procentem, pochodzą z różnicy

ryzyka; lecz niemniej oczywista jest rzeczą, iż wysokość właściwego procentu podlegała znacznym zmianom w różnych krajach i w różnych czasach. Był czas, kiedy w Kalifornii pożyczka 2% miesięcznie, przy tem zabezpieczeniu kapitału, przy którym obecnie udzielają pożyczki na 7% lub 8% rocznie, nie była faktem niezwykłym, a jakkolwiek można różnicę tę przypisać w części większemu bezpieczeństwu, to jednak przeważnie wynikać ona musi z innych jakichś ogólnych przyczyn. Stopa procentu była w Stanach Zjednoczonych wyższą niż w Anglii, w Nowych Stanach wyższą niż w Starych, a oddawna już zauważono, że stopa procentu spada w miarę rozwoju społeczeństwa. Jakież więc prawo powiąże te różnorodne zmiany i wykaże ich przyczynę?

Dotąd nawiasowo tylko wzmiankowaliśmy, jak błędnie ekonomiści określają istotne prawo procentu i nie mamy potrzeby dłużej się nad tem rozwodzić. Ich rozumowania w tym przedmiocie nie odznaczają się tą ścisłością i łącznością, które sprawiły, że teoria zarobku została ogólnie uznaną i zdołała stawić opór faktom oczywistym; nie wymagają one tak gruntownego badania, gdyż widocznem jest, że są sprzeczne z rzeczywistością. Fakt, że procent jest najniższym tam, gdzie wydajność pracy i kapitału jest największą, dowodzi, iż wysokość procentu nie zależy od wydajności pracy i kapitału. Nie zależy on również od zarobku (czyli od kosztów pracy), nie spada bowiem, gdy cena zarobku idzie w górę i nie podnosi się, gdy ona spada. Dowodem tego służy ogólnie znany fakt, że procent wtedy i tam jest niskim, gdzie cena zarobku jest niską, i naodwrot wtedy i tam jest wysokim, gdzie cena zarobku jest wysoką. Zacznijmy ab ovo. Istota kapitału i działalność jego były już dostatecznie wykazane, teraz zaś, narażając się na zarzut oddalania się od przedmiotu, postarajmy się wykazać przyczyny procentu, zanim się zajmiemy określeniem jego prawa.

Zboczenie to da nam jaśniejszy i poważniejszy pogląd na przedmiot badany obecnie, a nadto może doprowadzić do wniosków, których doniosłość praktyczna uwydatni się w dalszym ciągu.

Jaka jest racja bytu i usprawiedliwienie procentu? Dlaczego biorący ma wypłacać dającemu więcej, niż, to co wziął od niego? Na pytania te odpowiedzieć należy nie tylko ze względu na ich wagę w rozumowaniu, lecz i na ich praktyczne znaczenie. Przekonanie, że procent jest okradaniem przemysłu, rozpowszechnia się i wzrasta, staje się ono coraz widoczniejszym po obu brzegach Atlantyku, w literaturze narodowej i w ruchach narodowych. Objaśniacze ekonomii politycznej powiadają, że niema żadnej walki między kapitałem i pracą; uważają oni wszelkie zamiary ograniczenia wynagrodzenia, jakie przypada w udziale kapitałowi za szkodliwe zarówno dla pracy, jak i dla kapitału; a jednak w ich właśnie dziełach spotykamy twierdzenie, że zarobek i procent stoją do siebie w stosunku odwrotnym,

i że procent będzie wysokim lub niskim w miarę tego, jak norma zarobku będzie niską lub wysoką*). Jeżeli zatem to twierdzenie jest słusznem, to w stanowisku pracującego możnaby wszelkim projektem ograniczenia procentu przeciwstawić ten tylko logiczny zarzut, że kapitał nie zechce wtedy funkcjonować, lecz wobec rozpowszechnionej wiary w potęgę prawnych nakazów, argument powyższy wyda się bardzo słabym, nie mówiąc już o tem, że jeżeli tego rodzaju zarzut może doprowadzić do zaniechania jakiegos poszczególnego projektu, to nie przeszkodzi on bynajmniej do podstawienia natomiast innego projektu.

— Pocóżby procent miał istnieć? Procent — jak powiadają wszystkie znane dzieła ekonomiczne — jest wynagrodzeniem za powściągliwość. Lecz oczywiście usprawiedliwienie to nie jest dostatecznem. Powściągliwość jest przymiotem biernym, a nie czynnym, nie jest to wykonanie czynności, jest to przeciwnie nie wykonanie żadnej. Powściągliwość sama przez się nie wytwarza. Dlaczegoż więc domaga się ona działu z ogólnego wytwarzania? Jeżeli posiadany przezemnie zasób pieniężny schowam pod klucz na rok cały, powściągnąłem się od zużycia go zarówno tak, jakbym go był pożyczył innemu. A chociaż w tym drugim razie mam nadzieję, że odbiorę zasób swój powiększony przez procent, w pierwszym zaś będę miał tę samą ilość pieniędzy bez żadnych dodatków, to jednak powściągliwość moja jest jednaką w obu razach. Jeżeli powiedzą mi na to, że pożyczając mój zasób, wyświadczam biorącemu przysługę, mogę odpowiedzieć, że on również czyni mi przysługę, przechowując bezpiecznie moje pieniądze, że usługa ta jest w wielu wypadkach tak ważną, iż wolałbym raczej sam zapłacić, niż się jej pozbawić i że nadto, usługa ta odnośnie do niektórych postaci kapitału jest jeszcze ważniejszą, niż odnośnie do pieniędzy.

Istnieje bowiem wiele postaci kapitału, które nieustannie odnawiać trzeba, inne znowu są bardzo uciążliwe do przechowywania, jeżeli natychmiast użytkowane nie są. A zatem, jeżeli nagromadzacz kapitału przychodzi użytkującemu zeń w pomoc, udzielając mu pożyczki, czyż użytkujący nie spłaca całkowicie długu swego, oddając kapitał? Czyż bezpieczne przechowanie i odtwarzanie kapitału nie jest dostatecznem wynagrodzeniem za użytkowanie z niego? Nagromadzenie zasobu jest ostatecznym celem powściągliwości. Powściągliwość nie może posunąć się dalej, ani dokonać niczego więcej, a sama przez się tego nawet uczynić nie jest w stanie. Ileż bogactwa zniknie w przeciągu jednego roku, jeżeli będziemy jedynie powściągać się od ciągnięcia zeń użytku. A jakże niewiele pozostanie, po upływie dwóch lat? A zatem, czyż to nie jest z krzywdą pracy, jeżeli li tylko za powściągliwość żądamy więcej, niż zwrotu całkowitego kapi-

*) Wprawdzie stosują oni to twierdzenie do zysków, lecz pod zyskami pojmują widocznie korzyści ciągnięte z kapitału.

tu? Pojęcia podobne dają początek szeroko rozpowszechnionemu pogładowi, że procent może wzrastać tylko kosztem pracy, że jest on w gruncie rzeczy okradaniem pracy, które powinno być zniesionem w ustroju społecznym, opartym na sprawiedliwości.

Usiłowania, podjęte w celu obalenia tych poglądów, nie zawsze według mnie były skutecznymi. Weźmy, często przytaczany przez Bastiata, przykład o heblu, który objaśnia zwykłe rozumowanie. Cieśla Jakób robi sobie hebel, który go kosztuje dziesięć dni pracy i może wystarczyć na 290 z 300-u roboczych dni w roku. Inny cieśla Wilhelm prosi go o pożyczanie mu hebla na rok i obiecuje oddać mu po upływie tego czasu nowy hebel, również dobry, w zamian za stary, niezdatny już do użytku. Jakób odmawia pożyczki hebla na tych warunkach dowodząc, że jeżeli dostanie tylko hebel, nie będzie miał żadnego powetowania za utratę korzyści, jakieby mu mogło przynieść użytkowanie z hebla przez rok cały. Wilhelm, uznając słusność podobnych dowodów, zgadza się nietylko zwrócić hebel lecz nadto dać Jakóbowi nową tarcicę. Umowa staje między nimi ku zobopólnemu zadowoleniu. Hebel staje się niezdatnym do użytku po upływie roku, lecz Jakób dostaje nowy hebel, również dobry jak pożyczony i tarcicę w dodatku. Wypożyczany wciąż hebel przechodzi ostatecznie do rąk jego syna Wilhelma, który go również pożycza i za każdym razem dostaje nową tarcicę. Tarcica ta, przedstawiająca procent, stanowi, jak mówię, naturalne i słuszne wynagrodzenie, gdyż Wilhelm, dając ją w zamian za prawo użytkowania z hebla „otrzymuje tkwiącą w narzędziu siłę powiększania wytwórczości pracy“ i zupełnie nie wyszedł gorzej jak gdyby był wcale hebla nie pożyczał; Jakób zaś otrzymuje nie więcej niż to, co by był otrzymał, gdyby hebla nie wypożyczał i zostawił go sobie na własny użytek.

Czyż tak jest w istocie? Należy zwrócić uwagę, że nie było powiedzianem, iż Jakób potrafi zrobić hebel, a Wilhelm nie, gdyż w takim razie tarcica stanowiłaby wynagrodzenie za większą biegłość w robocie. W przykładzie powyższym zasadnicze pojęcie kapitału w tem tylko się wyraża, że Jakób powściągał się od spożycia wyników swojej pracy i że je nagromadził, pod postacią hebla.

Idźmy dalej. Gdyby Jakób nie był wypożyczał hebla, byłby mógł używać go przez 290 dni, a pozostałe dziesięć dni roboczych w roku byłby zmuszonym poświęcić na robotę nowego hebla, gdyż tamten byłby już niezdatnym do użytku. Gdyby Wilhelm nie był pożyczał hebla, musiałby był pracować dziesięć dni nad zrobieniem go i dopiero przez pozostałe 290 dni byłby go używał. Słowem, jeżeli będziemy uważać tarcicę za owoc całodziennego przy pomocy hebla, to gdyby pożyczka wcale nie była miała miejsca, obaj robotnicy po upływie roku znajdowałiby się, odnośnie do hebla, w tem samym położeniu co na początku roku: Jakób miałby hebel, Wilhelm by go nie miał, nad-

to każdy z nich posiadałby 290 tarcie jako rezultat całorocznej pracy. Gdyby pożyczka została była udzieloną na warunkach początkowo przez Wilhelma proponowanych, pozostaliby oni również w tem samym położeniu. Wilhelm byłby pracował przez 290 dni, a pozostałe dni dziesięć użyłby na robotę nowego hebla, który miał być zwrócony Jakóbowi. Jakób pracowałby pierwsze dziesięć dni w roku nad zrobieniem dla siebie hebla, któryby wystarczył na 290 dni, a po upływie tego czasu otrzymałby nowy hebel od Wilhelma. A zatem prosty zwrot hebla postawiłby każdego z nich w końcu roku w takim samym położeniu, jak gdyby pożyczka wcale miejsca nie miała. Jakób nie byłby nic stracił na korzyści Wilhelma, a Wilhelm nie byłby nic zyskał ze szkoda Jakóba. Każdy z nich miałby wynagrodzenie, któreby mu i bez tego praca jego była przyniosła t. j. 290 tarcie, przytem Jakób posiadałby nadto hebel, z którym rozpoczął pracę.

Lecz, jeżeli prócz zwrotu hebla, zostanie dołożoną tarcica, to, Jakób będzie na końcu roku w lepszym położeniu, niż gdyby pożyczka nie była miała miejsca, Wilhelm zaś w gorszym. Jakób będzie posiadał 291 tarcie i nowy hebel, Wilhelm będzie miał tylko 289 tarcie i nie będzie miał hebla. Czyż więc nie jest widocznem, że jeżeli Wilhelm będzie nadal na tych warunkach zaciągał pożyczkę u Jakóba, to dochód pierwszego będzie się stopniowo zmniejszał, dochód zaś drugiego stopniowo wzrastać będzie, aż ostatecznie przyjdzie chwila, w której Jakób otrzyma całkowity rezultat pracy Wilhelma, jako wynagrodzenie za pożyczanie hebla, a zatem Wilhelm stanie się rzeczywistym jego niewolnikiem?

Czyż zatem procent jest rzeczą słuszną i sprawiedliwą? Podany przykład bynajmniej tego nie dowodzi. To, co Bastiat (i wielu innych) wskazują jako podstawę procentu „tkwiąca w narzędziu siła powiększenia wytwórczości pracy” nie jest ani sprawiedliwą, ani rzeczywistą podstawą procentu. W przykładzie Bastiata zawiera się sofizmat, który sprawia, że przykład ów zostaje uznany jako przekonywający przez tych, którzy nie rozbiegają go tak szczegółowo, jak my to robimy, a mianowicie, łączą oni z pożyczką hebla przekazanie zwiększonej wytwórczości, którą hebel nadaje pracy. Lecz w rzeczywistości pożyczka nie zawiera tego czynnika. Zasadniczą rzeczą, której Jakób użyłby Wilhelmowi nie było powiększenie tej siły wytwórczej, jakiej praca nabiera, posiłkując się heblem. Podobne przypuszczenie miałoby wtedy tylko racyę bytu, gdyby robota i użytek hebla stanowiły tajemnicę handlową, lub były gwarantowane patentem, a w takim razie przykład nasz służyłby dla objaśnienia monopolów a nie kapitału.

Zasadniczą rzeczą, której Jakób użyłby Wilhelmowi, było użytkowanie z rezultatów dziesięciodniowej pracy, a nie przywilej pracowania w korzystniejszy sposób. Gdyby „tkwiąca w narzędziu siła zwiększenia wytwórczości pracy,” była przyczyną

istnienia procentu, to w takim razie stopa procentu musiałaby się podnosić, w miarę pojawiania się nowych wynalazków. Tak się nie dzieje w rzeczywistości: nie zapłacę bowiem więcej procentu, pożyczając maszynę do szycia, wartującą 50 dolarów lub igieł na tę samą cenę; pożyczając maszynę parową lub stos cegieł tejże wartości. Kapitał jest zmiennym jak wszelkie bogactwo. Nie jest on jedną rzeczą, jest on czemś, mającem tę samą wartość w obrębie wymiany, również udoskonalenie narzędzi nie powiększa siły wytwórczej kapitału: powiększa ono siłę wytwórczą pracy. Sądzę, że procent byłby istotnie kradzieżą pracy i nie mógłby istnieć długo, gdyby ogół bogactwa składał się z takich przedmiotów jak heble, a wszelkie wytwarzanie podobnem było do pracy cieśli, t. j. gdyby ogół bogactwa składał się jedynie z martwych tworów przyrody, a wytwarzanie polegało jedynie na nadawaniu różnych kształtów tymże tworom. Nie chcę powiedzieć przez to, aby w takim razie nagromadzanie bogactwa nie miało miejsca, gdyż jakkolwiek nadzieja powiększenia zasobu jest jednym z powodów przekształcania bogactwa w kapitał, nie jest ona powodem—a przynajmniej nie głównym, nagromadzania kapitału. Gdyby nawet nagromadzanie nie pociągało za sobą wzrostu zasobu, to jednak dzieci będą zbierać oszczędności na gwiazdkę, piraci będą powiększali swe zakopane skarby, wschodni książęta będą zbierać zapasy gotówki, a ludzie jak Stewart i Vanderbilt, raz podległszy żądzy posiadania, będą dokładać do swych milionów dopóki będą mogli. Nie chcę również powiedzieć przez to, aby w takim razie nie istniały pożyczki, wspólne udogodnienie bowiem podbudziłoby do pewnego stopnia udzielanie ich i zaciąganie. Gdyby Wilhelm był najęty do roboty, którą natychmiast rozpocząć potrzeba, Jakkób zaś mógł się wziąć do swojej dopiero za dziesięć dni, wtedy pożyczanie hebla zapewniłoby im zobopólne korzyści, nawet bez dołożenia tarcicy.

Lecz ogół bogactwa nie składa się li tylko z takich przedmiotów jak heble, tarcice, lub pieniądze, a wytwarzanie nie ogranicza się jedynie na przekształcaniu martwych tworów przyrody. Prawda, iż mój zasób pieniężny nie powiększy się, gdy go odłożę. Lecz przypuśćmy, że zaoszczędzę pewną ilość wina. Po upływie roku wartość jego zwiększy się, gdyż wino stanie się smaczniejszym t. j. gatunek jego polepszy się. Albo też przypuśćmy, że korzystając ze sprzyjających warunków, zaprowadzę pasiekę; w końcu roku będę posiadał większą ilość rojów i w dodatku zrobiony przez pszczoły miód. Przypuśćmy wreszcie, że hoduję owce, wieprze lub bydło tam, gdzie są pastwiska; w końcu roku również powiększę swój zasób w przeciętnej ilości wypadków.

Czynnikiem w tych razach, powiększającym zasób, jest coś zupełnie różnego od pracy i odrębnego od niej, jakkolwiek dla użytkowania go wymagana jest praca; czynnikiem tym jest dzia-

łałość przyrody, zasada wzrostu i odtwarzania, cechująca wszelkie postacie tego tajemniczego zjawiska, które zwiemy życiem. I zdaje mi się, że ona to właśnie jest przyczyną istnienia procentu, t. j. powiększenia kapitału ponad to, co jest przynależnym pracy. W ciągłym ruchu, wytwarzającym wiecznie trwałe przemiany przyrody, istnieją pewne, że się tak wyrażę, prądy żywotne, które zużytkowane przez nas, nadają nam niezależną od naszych usiłowań siłę przekształcania form materji t. j. zamieniania jej na bogactwo.

Jakkolwiek można by wymienić wiele przedmiotów takich jak pieniądze, heble, tarcice, maszyny lub ubranie, nie posiadających wrodzonej zdolności wzrastania w wartość, jednak pojęcie bogactwa lub kapitału obejmuje wiele przedmiotów, np. wina, których jakość wyższą się staje, lub też takich jak pszczoły, bydło, których ilość wzrasta sama z siebie; inne zaś przedmioty np. nasiona jakkolwiek dopiero przy współudziale pracy otrzymują własności nadające im zdolność wzrostu, lecz przy uwzględnieniu tego warunku dają rezultaty przewyższające to, co sama praca przynieść jest w stanie.

Następnie pojęcie zamienności wszelkich gatunków bogactwa musi koniecznie zawierać w sobie pojęcie repartycji—pomiędzy wszelkie gatunki bogactwa—owych szczególnych korzyści, wynikających z posiadania niektórych gatunków bogactwa, gdyż inaczej niktby nie chciał trzymać kapitału pod jedną postacią, gdyby ją mógł zamienić na inną korzystniejszą. Niktby np. nie zgodził się zemieć pszenicy na mąkę i w pogotowiu trzymać ją w zapasie dla wygody tych, którzy od czasu do czasu żądają wymienienia swojej pszenicy lub przedmiot równej z nią wartości na mąkę, gdyby przez tę zamianę nie zapewnił sobie powiększenia zasobu, odpowiedniego do przyrostu, który przy normalnym biegu rzeczy przyniosłaby mu pszenica, gdyby ją był zasiał. Nikt, mając możność hodowania trzody owiec, nie wypożycza jej na rok pod warunkiem zwrotu odpowiedniej na wagę ilości baraniny, gdyż hodując owce, miałyby w następnym roku tę samą ilość baraniny, a nadto jagnięta i wełnę. Niktby nie chciał zająć się kopaniem irygacyjnego kanału, gdyby ci, którzy dzięki niemu mogliby zużytkować użyźniające siły przyrody, nie odstąpiliby mu pewnej części powiększonego swego zasobu tak, by jego kapitał przyniósł jemu tyle co im dochodu. A zatem, siła wzrostu, którą twórcze lub żywotne siły natury nadają pewnym gatunkom kapitału, musi być w obrębie każdej wymiany odpowiednią wartością wzmiankowanego przedmiotu; ten więc kto wypożycza, lub zamienia pieniądze, heble, cegły lub ubranie nie jest pozbawionym możności otrzymania przybytku tak, jakgdyby wypożyczył, lub też użył do celów wytwórczych kapitał w postaci mającej zdolność wzrastania.

Nadto spowodowane przez wymianę zużytkowanie różnorodnych sił przyrody i sił człowieka wywołuje przybytek, podob-

ny ponieważ do przybytku wytworzonego przez samodzielne siły przyrody. W jednym miejscu np. dana ilość pracy zapewni 200 jednostek pożywienia roślinnego lub 100 jednostek pożywienia zwierzęcego. W innym miejscu warunki są wprost przeciwne i ta sama ilość pracy wytworzy 100 jednostek pożywienia roślinnego, lub 200 zwierzęcego. W pierwszej miejscowości względna wartość pożywienia roślinnego odnosi się do wartości pożywienia zwierzęcego jak dwa do jednego, w drugiej zaś jak jeden do dwóch; a przypuściwszy, że wymagane są jednakowe ilości pożywienia obu gatunków, ta sama praca wytworzy w obu razach 150 jednostek każdego gatunku. Lecz jeżeli mieszkańcy pierwszej miejscowości zajmą się wyłącznie wytwarzaniem pożywienia roślinnego, mieszkańcy zaś drugiej— wyłącznie wytwarzaniem pożywienia zwierzęcego i zamienią następnie wytwory swe w ilościach żądanych, będą oni w stanie wytworzyć przy tej samej pracy 200 jednostek każdego pożywienia po potrąceniu strat i kosztów wymiany, tak że wytwory wycofane z użytku i przeznaczone do wymiany przyniosą przybytek w każdej miejscowości. Tak oto kot Whittingtona wysłany do odległej krainy, w której mało jest kotów, a mnóstwo szurów, powraca pod postacią pak z towarami i worków złota.

Bezwątpienia, praca jest konieczną do wymiany, tak jak i do zużytkowania twórczych sił przyrody, a wytwór wymiany podobnie jak wytwór rolnictwa jest w gruncie rzeczy wytworem pracy; lecz jednak zarówno w pierwszym razie, jak i w drugim odrębna jakaś siła działa wspólnie z pracą i sprawia, że niepodobnym jest mierzenie rezultatów jedynie ilością zużytej pracy, lecz że należy uważać również włożony kapitał i czas, przez który on był użyty, jako składowe części sumy sił. Kapitał wspiera pracę we wszystkich różnorodnych gałęziach wytwarzania, lecz innym jest stosunek tych czynników w wytwarzaniu, opierającym się jedynie na zmienianiu formy, lub miejsca materji, np. przy heblowaniu desek lub wydobywaniu węgla kamiennego, aniżeli w wytwarzaniu zasadzającym się na korzystaniu albo z twórczych sił przyrody, albo też z możności powiększenia zasobu wynikającego z różnic, zachodzących między posiadaniem czynników naturalnych a sztucznych, np. przy uprawie zboża, lub wymianie lodu na cukier. W wytwarzaniu pierwszego rodzaju praca tylko jest działaczem; z zawieszeniem pracy ustaje wytwarzanie. Gdy o zachodzie słońca cieśla odkłada hebel, ustaje również wzrost wartości, wytwarzanej przez tenże hebel aż do chwili, w której on nazajutrz rano powróci do swej pracy. Gdy w faktoryi rozlegnie się odgłos dzwonu oznajmiający zakończenie dziennej pracy i kopalnie zawarte zostaną, ustaje również wytwarzanie, aż do chwili rozpoczęcia pracy nanowo. Ta przerwa mogłaby być wykreśloną zupełnie odnośnie do wytwarzania. Przebieg dni i zmiana pór roku nie działa wcale w takim wytwarzaniu, które zależy jedynie od ilości włożonej pracy. Lecz

przeciwie czas działa na ten drugi rodzaj wytwarzania, wspomniany przezemnie, ziarno rzucone w ziemię kiełkuje i rośnie, podczas gdy rolnik śpi, lub podczas gdy orze nowe pola, a w nieustannym znajdujące się ruchu prądy powietrzne i morskie niosą kota Whittington'a do władzcy zmyślonego kraju, trapionego przez szczury.

Wróćmy teraz do przykładu Bastiat'a. Jasną jest rzeczą, że jeżeli istnieje jakakolwiek przyczyna, aby Wilhelm oddał Jakóbowi po upływie roku coś więcej, niż hebel nowy, równie dobry, jak ten, który otrzymał, nie wynika ona z siły powiększającej wytwórczość pracy, a mającej tkwić w narzędziu,—jak to twierdzi Bastiat,—gdyż siła ta nie jest tu żadnym żywiołem; przyczyna ta wynika raczej z działalności czasu, t. j. z wpływu całego roku, pomiędzy pożyczką hebla, a zwrotem jego. Lecz, zastosowawszy ten pogląd do naszego przykładu, nie możemy jeszcze zrozumieć wpływu czasu, gdyż hebel nie ma większej wartości przy końcu roku niż na początku. Jeżeli jednak zamiast hebla weźmiemy cielę, widzimy odrazu, że Wilhelm po upływie roku powinien zwrócić krowę, a nie cielę, aby Jakób był w tak dobrem położeniu, jak wtedy, gdyby nie był udzielał pożyczki. Lub przypuściwszy, że praca dziesięciu dni była użytą na zasiew zboża; widzimy, że Jakób nie byłby dostatecznie wynagrodzonym, gdyby mu zwrócono po roku tylko ilość zasianego zboża, gdyż przez ten czas ziarno zasiane, byłoby kiełkowało, rosło i mnożyło się; podobnie, gdyby hebel był użytym do wymiany, mógłby być przez ten rok być wymienionym kilka razy, a każda wymiana przyniosłaby Jakóbowi dochód. A zatem Jakób nie dozwoli Wilhelmowi używać hebla przez rok cały, jeżeli nie dostanie w zamian czegoś więcej prócz hebla, gdyż praca jego mogłaby być użytą w jakikolwiek z wyżej wskazanych sposobów, albo też część pracy zużytej na robotę hebla mogłaby być przekazaną drogą wymiany, co w gruncie wychodzi na jedno. Wilhelm zaś może przystać na zwrot czegoś więcej prócz hebla, albowiem ta sama średnia miara korzyści, wynikających z różnorodnych sposobów pracy, dozwoli pracy jego osiągnąć nową korzyść w skutek wpływu czasu. Ta właśnie średnia miara korzyści, istniejąca niezbędnie wszędzie gdziekolwiek społeczeństwo wymaga jednoczesnej działalności we wszystkich gałęziach wytwarzania, sprawia, że posiadanie bogactwa, które samo przez się niezgodne jest przynieść przybytku, zapewnia korzyści podobne do tych, które są właściwe formom bogactwa, przynoszącym zyski w skutek działania czasu. W ostatecznej zaś analizie, korzyści nadane przez bieg czasu wynikają z płodnych sił przyrody i różnorodnych zdolności natury i człowieka.

Gdyby jakoś i zdolność materii były wszędzie jednakowe, lub gdyby człowiek wszelkie siły wytwórcze w sobie samym nosił, to niebyłoby wtedy żadnego procentu. Korzyści, wynikające z użycia ulepszonych narzędzi, mogą być czasem udzielane na warunkach podobnych do wypłaty procentu; lecz podobne tranzakcje byłyby nie-

regularne i przerywane, i stanowiłyby wyjątek, a nie правило. Gdyż możność pobierania podobnego wynagrodzenia nie tkwiłaby, jak obecnie, w posiadaniu kapitału, a korzyści z czasu uwydatniałyby się jedynie w sprawach pieniężnych. Jeżeli mogę, mając tysiąc dolarów, pożyczyć je na procent, to nie dlatego, że inni, nie mający tysiąca dolarów, chętnie mi zapłacą za prawo użytkowania z nich, jeżeli ich w inny sposób dostać nie mogą, lecz dlatego, że moje tysiąc dolarów przedstawiają kapitał, który może przynieść dochód każdemu nawet milionerowi. Pochodzi to ztąd, że cena towaru zależy nie tyle od tego, co kupujący woli dać raczej niż bez żądanego towaru się obejść, jak od tego, co sprzedający może otrzymać na innej drodze. Np. przemysłowiec, który chce się wycofać z interesu, posiada maszyny, wartujące 100,000 dolarów. Jeżeli nie może sprzedać je wycofać swoich 100,000 dolarów i umieścić je tak, by mu przynosiły procent, to będzie dla niego rzeczą mało znaczącą—nie biorąc w rachubę ryzyka—czy otrzyma całą cenę od razu, czy też ratami; dla nabywcy również mało ważną będzie rzeczą czy zapłaci od razu, czy też po jakimś czasie, jeżeli posiada potrzebny kapitał, co musimy przypuścić, aby dany przykład nosił zasadnicze cechy normalnej transakcji. Jeżeli zaś nabywca nie ma potrzebnego kapitału, odroczenie wypłaty może mu być dogodnym; lecz w wyjątkowych jedynie przypadkach sprzedający żądać będzie, a kupujący zgodzi się dać pewną sumę, jako zaliczkę; suma podobna nie będzie nawet w tym razie właściwym procentem. Procent albowiem nie jest właściwie opłatą za użytkowanie z kapitału, lecz wynagrodzeniem, wynikającym z przybytku kapitału. Gdyby kapitał nie wzrastał, to właściciel dostałby sumę jedynie w nielicznych i wyjątkowych razach. Wilhelm w krótkim czasie doszedłby do wniosku, że nie opłaca się dokładać tarcicy za odroczenie terminu do zwrotu hebla Jakóbowi.

Słowem, po szczegółowym rozbiórze wytwarzania, przekonujemy się, że rozpada się ono na trzy gałęzie, a mianowicie:

Przystosowywanie, czyli zmiana kształtów lub miejsca wytworów naturalnych tak, by się stały zdatnymi do zaspokojenia wymagań człowieka.

Powiększanie, lub użytkowanie twórczych sił przyrody, np. hodowla roślin lub zwierząt.

Wymiana lub użytkowanie w celu dodania do ogólnej sumy bogactwa wyższej potęgi sił przyrodzonych, zależnych od miejscowości, albo potęgi sił ludzkich, zależnych od położenia, zajęcia lub charakteru osobistego.

Kapitał może wspierać pracę w tych wszystkich trzech gałęziach wytwarzania, a raczej wyrażając się ściślej: w pierwszej gałęzi kapitał może wspierać pracę, lecz nie jest koniecznie potrzebnym; w obu innych, kapitał musi wspierać pracę, jest on zatem niezbędnym.

Przystosowując kapitał do form właściwych, możemy wprowadzić zwiększyć siłę wytwórczą pracy i nadać materji cechę bogactwa, np. nadając drzewu i żelazu kształt i użyteczność hebla, żelazu, węglom, wodzie i olejowi kształt i użyteczność maszyny parowej, albo też przeistaczając kamień, glinę, belki i żelazo na budynek; jednak charakterystyczną cechą tak użytego kapitału jest, że wszelkie korzyści pochodzić tu będą ze użytkowania tegoż kapitału.

Gdy jednak włożymy kapitał w drugą z wymienionych gałęzi wytwarzania np. gdy rzucimy ziarno w ziemię, gdy będziemy hodować zwierzęta, lub odstawimy wino, by z czasem stawało się wytrawniejszem, to wszelkie korzyści pochodzić tu będą z przybytku kapitału, a nie ze użytkowania go. Podobnie, gdy włożymy kapitał w trzecią z wymienionych gałęzi wytwarzania i wymienimy przedmiot zamiast go użytkować, to korzyści i w tym razie pochodzić będą z przybytku, czyli z większej wartości otrzymanych w zamian przedmiotów.

Początkowo wszystkie korzyści, pochodzące z użytkowania, przypadają w udziale pracy, korzyści zaś pochodzące z przybytku—kapitałowi. Ale ponieważ podział pracy i zamiennosc bogactwa spowodowują istnienie średniej miary wszelkich korzyści przynajmniej o tyle, o ile gałęzie wytwarzania łączą się z sobą, to z czasem—korzyści, wynikające z jednej gałęzi, muszą być niejako zrównoważone przez korzyści, wynikające z innych gałęzi wytwarzania; nikt bowiem nie zechce włożyć swego kapitału i pracy w jedną gałąź wytwarzania, jeżeli włożenie ich w którąkolwiek z innych gałęzi mogłoby zapewnić mu większy dochód. Czyli innymi słowy: praca, włożona w pierwszą gałąź wytwarzania, nie otrzyma w nagrodę zwrotu całkowitego, a tylko zwrót zmniejszony o część konieczną do zapewnienia kapitałowi takiego przybytku, jakiby mógł otrzymać w innych gałęziach wytwarzania; również kapitał, włożony w drugą lub trzecią z wymienionych gałęzi, nieotrzyma całkowitego zwrotu, a tylko zwrót zmniejszony o część dostateczną, by zapewnić pracy wynagrodzenie, jakiego osiągnąć mogła, gdyby została włożoną w pierwszą gałąź wytwarzania.

Procent pochodzi zatem z możności wzrastania, jaką nadają kapitałowi twórcze siły przyrody i analogiczna z niemi w skutkach swych zdolność wymiany. Procent jest rzeczą naturalną, a nie dowolnie umowioną; jest on następstwem praw ogólnych, którym podlega społeczeństwo, a nie szczególnych ustrojów społecznych. Jest zatem sprawiedliwym.

Ci, którzy mówią o zniesieniu procentu, wpadają w błąd podobny do tego, który nadał pozorne prawdopodobieństwo twierdzeniu, iż zarobki wynikają z kapitału, a który wykazałem uprzednio. Myśląc o kapitale, myślą oni o tem jedynie, co użytkujący z kapitału płaci właścicielowi jego. Lecz oczywiście to nie jest jeszcze całkowity procent, to część jego zaledwie. Procent po-

biera każdy, kto tylko użytkuje z kapitału; pobiera on mianowicie przybytek, jaki tenże przynieść jest w stanie. Jeżeli zasadzę drzewo i pielegnować je będę, póki niewyrośnie, to w owocach jego otrzymam procent od nagromadzonego kapitału—czyli od włożonej przezemnie pracy. Jeżeli wychowam krowę, to mleko, które ona daje rano i wieczorem będzie nietylko wynagrodzeniem za trud dojenia, lecz nadto procentem od kapitału, który nagromadziłem, wkładając moją pracę w chów krowy. Jeżeli użyję kapitału swego na wspieranie przemysłu pośrednie, np. przez kupno maszyn, lub też na bezpośrednie wspieranie go np. przez wymianę, to zdolność odtwarzania się kapitału przyniesie mi korzyści odrębne, które są również istotne choć może mniej jasne niż te, którebym osiągnął, wypożyczając swój kapitał i otrzymując odeń procent.

ROZDZIAŁ IV.

0 fałszywym kapitale i zyskach uważanych mylnie za procent.

Jestem przekonany, że pogląd, jakoby procent był okradaniem przemysłu, wynika w znacznej części z fałszywego odróżnienia tego, co istotnie jest kapitałem, od tego, co nim nie jest i z niedostatecznego rozgraniczenia zysków, stanowiących procentowalności od zysków, pochodzących z innych źródeł, a nie z użytkowania kapitału. W rozmowie i w literaturze zwiemy dziś kapitalistą każdego, który tylko posiada coś, co mu przynosi dochód niezależnie od jego pracy; wszystko, co jest w ten sposób pobierane, uważamy jako dochód od kapitału; słyszymy też nieustannie o walce między kapitałem i pracą. W tej chwili nie proszę jeszcze czytelnika, by orzekał, czy istotnie toczy się walka między kapitałem i pracą, chcę bowiem wyjaśnić pewne punkta, które fałszywie pojmowane, uniemożliwiają wydanie sądu.

Zwracałem już uwagę na fakt, że wartość ziemi, stanowiąca znaczną część tego, co pospolicie zwiemy kapitałem, wcale nim nie jest i że renta,—którą zazwyczaj zaliczamy do korzyści osiąganých z kapitału i na którą w postępowych społeczeństwach przypada coraz to większy dział wytworów—nie jest dochodem od kapitału i musi być starannie odgraniczoną od procentu. Obecnie nie potrzebujemy dłużej się nad tem zastanawiać. Zwracałem również uwagę na to, że akcje, rewersa i t. d.

stanowiące niemniej znaczną część tego, co pospolicie zowiemy kapitałem, wcale kapitałem nie są; zanim przystąpimy do wyjaśnienia innych twierdzeń dwuznacznych, odnoszących się do procentu, musimy jednak dłużej nieco pomówić o tym fakcie, raz dla tego że niektóre formy tych dowodów długu są bardzo podobne do kapitału i w pewnych razach istotnie lub pozornie spełniają działalność kapitału, a powtórę dla tego, że dochód, jaki one przynoszą swym właścicielom, jest nie tylko uważany za procent, lecz ma nadto wszelki pozor procentu.

Pamiętajmy o tem zawsze, że, co tylko nie jest bogactwem, nie może być kapitałem t. j. że kapitałem nie może być nic takiego, co się nie składa z istotnie dotykanych przedmiotów, lub z dziko rosnących płodów przyrody, które, same przez się, zdolne są uczynić zadość wymaganiom człowieka pośrednio lub bezpośrednio.

A zatem oblig, wystawiony przez rząd nie jest kapitałem, ani nawet dowodem kapitału. Nie mówiąc już o tem, że kapitał taki mógł być użytym nieprodukcyjnie, oblig ten nie przedstawia nawet tego, dajmy na to, zmarnowanego kapitału; nie przedstawia on wogóle żadnego kapitału. Jest on jedynie uroczystem zapewnieniem, że w tym lub innym czasie rząd drogą podatków ściągnie z zasobu narodowego odpowiednią ilość bogactwa i zwróci ją właścicielowi obligu, i że tymczasem będzie on od czasu do czasu zabierał tą samą drogą ilość bogactwa dostateczną, aby posiadacz rewersu mógł osiągnąć korzyść równą tej, jakaby mu przyniósł kapitał, który na mocy obligu kiedyś zwrócony zostanie, gdyby był istotnie w jego posiadaniu. Olbrzymie sumy, które odchodzą w ten sposób z ogólnego zasobu każdego nowożytnego państwa na opłatę procentów od długów państwowych, nie stanowią przybytku kapitału, nie są one procentem w ścisłym tego słowa znaczeniu; są one podatkiem ściągniętym z wytworów pracy i kapitału i pozostawiają o tyle mniej na zarobek i na procent rzeczywisty.

Przypuśćmy teraz, że oblig został wystawionym w celu zgłębienia łożyska rzeek, lub urzędzenia rynków publicznych, albo też, żeby to samo pojęcie wyrazić innym przykładem, przypuśćmy, iż został on wystawionym przez kompanię dróg żelaznych. W tych razach obligi reprezentują kapitał istniejący i oddany na cele wytwórcze i mogą być uważane jako dowody posiadania na własność kapitału, podobnie jak akcyje, od których kompania wypłaca dywidendę. Mogą one jednak być uważane w ten sposób o tyle tylko, o ile istotnie reprezentują kapitał i nie są wystawiane w ilości nadmiernej odnośnie do użytkowania kapitału. Wszystkie prawie nasze kompanie dróg żelaznych i inne stowarzyszenia są w ten sposób obciążone.

Zużytkowują one kapitał wartujący dolar, a wystawiają dowody na dwa, trzy, cztery, pięć a nawet dziesięć dolarów i wypłacają mniej, lub więcej regularnie procenta i dywidendy od

tych kwot fikcyjnych. Cała więc przewyżka dochodów i wydatków kompanii nad to, co istotnie przypada jako procent od prawdziwego ulokowanego kapitału, nie jest widocznie wziętą z ogólnego zasobu narodowego na rachunek usług wyświadczonych przez kapitał,—nie jest ona procentem. Jeżeli ograniczymy się terminologią ekonomistów, którzy rozkładają zyski na procent, zabezpieczenie i płacę za zarząd, musielibyśmy zaliczyć tego rodzaju dochód do tej ostatniej kategorii.

Pod pojęciem płacy za zarząd dość jasno rozumiemy dochód jednostki, wynikający z jej przymiotów osobistych, np. biegłości, taktu, ducha przedsiębiorczego, zdolności organizacyjnych lub wynalazczych, charakteru i t. d., gdy tymczasem do wytworzenia zysków, o których mówimy obecnie, przyczynia się jeszcze jeden czynnik, który samowolnie tylko możemy zaliczyć do tamtych—t. j. czynnik monopolu.

Gdy Jakób I nadał ulubieńcowi swemu wyłączne prawo wyrabiania złotych i srebrnych nici i pod surową karą zabronił innym wyrabiania podobnych nici, to dochód, pobierany w skutek tego przez Buckinghama, nie pochodził ani z kapitału włożonego w przemysł, ani z uzdolnienia pracujących, ale z wyłącznego przywileju, otrzymanego od króla, z prawa ściągania na własną korzyść podatków od wszystkich użytkujących podobne nici. Z podobnego źródła wynika przeważna część zysków, które popolicie uważane są za jedno z dochodem od kapitału. Do takich zysków zaliczyć możemy dowody prawa patentów, udzielane na czas ograniczony, w celu rozwinięcia wynalazków i wszelkie korzyści, wynikające z monopolów, stworzonych przez taryfy protekcyjne pod pozorem zachęcenia przemysłu krajowego. Istnieje jeszcze inna podstępniejsza i więcej rozpowszechniona postać monopolów. Nagromadzenie znacznych ilości kapitału pod wspólnym zarządem wytwarza nową siłę zupełnie różną od siły wzrostu, która cechuje kapitał, i spowodowywa istnienie kapitału. Ta ostatnia jest dobroczynną w swych skutkach, pierwsza zaś jest zgubną i szkodliwą. Potęgą ta jest podobną do praw, nadanych Buckinghamowi przez Jakóba I, i działa z również nagannem lekceważeniem nie tylko przemysłowej, lecz i osobistej swobody jednostek. Kompania dróg żelaznych zbliża się do małego miasteczka, jak rozbójnik do swej ofiary. Groźba: „Jeżeli nie przystaniecie na nasze warunki, zostawimy wasze miasto o dwie lub trzy mile na stronie!“ okazuje się również skuteczną jak poparta odwiedzioną bronią groźbą: „Oddaj życie lub pieniądze!“ Groźba kompanii nie tylko pozbawia miasteczko korzyści, jakieby przeprowadzenie kolei przynieść mogło, lecz nadto stawia je w położeniu znacznie gorszem, niż gdyby kolej wcale budowaną być nie miała.

Dosyć jest wspomnieć o tych faktach bez dłuższego rozwinięcia się nad nimi. Każdemu jest wiadomo, jak straszny ucisk wywiera kapitał nagromadzony w wielkich ilościach. Chcę tylko

zwrócić uwagę czytelnika na to, że nie należy mięszać zysków, w podobny pobieranych sposób, z prawowitem wynagrodzeniem, przynależnem kapitałowi, jako jednemu z czynników wytwarzania. Należy je w znacznej części przypisać złemu zastosowaniu prawodawczej działalności rządu, ślepeму przywiązaniu do starożytnego barbarzyństwa i zabobonnej czci do ciasno pojmovanych form prawnych, ogólna zaś przyczyna, która w postępowych społeczeństwach dąży do skoncentrowania władzy równomiernie z zśrodkowaniem bogactwa, leży w rozwiązaniu rozpatrywanego przez nas, a nie rozstrzygniętego dotąd, wielkiego społecznego zagadnienia.

Powierzchny nawet rozbiór wykaże, że przeważna część zysków, branych pospolicie za jedno z procentem, pochodzi w rzeczywistości nie z siły kapitału, lecz z potęgi nagromadzonego kapitału wśród złych urządzeń społecznych. Wykaże on również, że bardzo często mięszamy z procentem to, co jest właściwie płata za nadzór.

Tak np. uważamy nieraz za procent zyski, wynikające z narażenia się na ryzyko. Wielu ludzi zawdzięcza swe bogactwo szczęśliwemu trafowi, który większości musi koniecznie przynieść stratę; takimi są różne spekulacye i hazardowne gry w karty.

Jeżeli teraz zwrócimy baczną uwagę na wielkie majątki, które przytaczają tak często, jako dowód potęgi nagromadzonego kapitału, np. majątki książąt Westminsterskich i markizów Bout, Rotszyldów, Astorów, Stewart'ów, Vanderbilt'ów, Gould'ów, Stanford'ów lub Flood'ów, dostrzegamy łącno, że powstały one w większej lub mniejszej części, nie z procentu, lecz z pierwiastków, podobnych do badanych przez nas uprzednio.

Jak dalece jest koniecznem zauważyć rozgraniczenia na które zwracałem uwagę, stwierdzają ogólne rozprawy, w których puklerz wydaje się to biały to czarny, stosownie do tego, z której strony zwrócony jest sztandar. Z jednej strony widzimy kapitał, uciskający pracę, gdyż nie możemy nie zauważyć, że straszna nędza istnieje obok ogromnych zasobów nagromadzonego bogactwa, a w odpowiedzi na to wykazują nam, że kapitał wspiera pracę, a zatem żądają od nas wniosku, że niema nie niesprawiedliwego lub nienaturalnego w bezbrzeżnej przepaści, dzielącej bogacza od nędzarza; żądają od nas przyznania, że bogactwo jest nagrodą za pracowitość, inteligencyę i oszczędność, a nędza jest li tylko karą za nieudolność, ciemnotę i nieroztropność.

ROZDZIAŁ V.

P r a w o p r o c e n t u .

Zajmijmy się teraz prawem procentu, mając zawsze w pamięci dwie rzeczy, na które przedtem już zwracałem uwagę, a mianowicie:

Po pierwsze: że nie kapitał daje zatrudnienie pracy, lecz naodwrot praca użytkowyywa kapitał,

Po drugie: że kapitał nie jest ilością stałą, lecz może być powiększany lub zmniejszany, 1) przez większą lub mniejszą ilość pracy, włożonej w wytwarzanie kapitału, i 2) przez zmiannę bogactwa na kapitał, albo też kapitału na bogactwo, bo bogactwo jest pojęciem rozleglejszem i zawiera w sobie kapitał, a ten ostatni jest tylko bogactwem użytokwanem w pewien sposób.

Oczywista jest rzeczą, że przy zupełnej swobodzie transakcyj za użytkowanie kapitału nie podobna oddać więcej nad cały osiągnięty na kapitale tym przyrost, ani też mniej, jak zwrócić sam kapitał, gdyż przejście po za owo maximum w pierwszym wypadku naraziłoby na straty, a przekroczenie minimum w drugim, nie pozwoliłoby kapitału w całości zachować.

Zauważmy znowu, że maximum to zależy nie od wydajności pracy, zwiększonej w skutek nadania kapitałowi pewnej szczególnej postaci, lub użycia go do pewnych celów, jak to nieopatrznie twierdzą niektórzy pisarze, lecz że określa je przeciętna zdolność przynoszenia przyrostu, przynależna kapitałowi w ogóle. Zdolność przybierania korzystniejszych postaci jest właściwością pracy, właściwością, której kapitał jako taki nie może się domagać. Posiadanie łuku i strzał pozwoli indyaninowi zabić codziennie jednego bawołu, gdy przy pomocy kija i kamieni mógłby upolować zaledwie jednego na tydzień; lecz nie idzie zatem, by łucznik pokolenia miał prawo żądać od strzelca z każdego siedmiu zabitych bawołów, sześciu za dany mu łuk i strzały; podobnież kapitał umieszczony w fabryce wyrobów wełnianych nie przyniesie kapitałście dochodu, wyrównywającego różnicy pomiędzy ilością wytworów fabryki, a tem co taka sama ilość pracy otrzymać jest w stanie przy pomocy kołowrotka i ręcznego toczydła. Wilhelm, pożyczając hebel od Jakóba, nie otrzymuje w skutek tego wszystkich korzyści, wynikających ze zwiększonej wydajności pracy, gdy się używa hebla do wygładzania desek, niż gdyby się je wygładzało muszlą lub krzemie-

niem. Postęp wiedzy sprawił, że korzyść, wynikająca z użytku hebla, stała się ogólną właściwością i siłą pracy. Otrzymuje on od Jakóba jedynie takie korzyści, jakie rok czasu nadaje posiadaniu kapitału, reprezentowanego przez hebel.

Lecz jeżeli twórcze siły przyrody, które sprawiają, że czas przynosi korzyści, są przyczyną procentu, to zdawałoby się, że maximum stopy procentu zależeć, winno od potęgi tych sił i od tego, w jakiej rozległości są one użyte do wytwarzania. Lecz w płodnych siłach przyrody napotykaemy olbrzymie różnice, np. pomiędzy łosiem, który znosi tysiące jajek a wielorybem, który wydaje na świat jedno małe w wieloletnich odstępach czasu; pomiędzy królikiem i słoniem, ostem a olbrzymiami drzewami leśnymi, a jeśli pomimo tego utrzymuje się tu pewna naturalna równowaga, to fakt ten zdaje się dowodzić, że płodne siły równoważą niszczące siły przyrody i doprowadzają działanie przyrostu do pewnego, stałego poziomu. Człowiek może do pewnego stopnia usunąć tę naturalną równowagę, może on—zmieniając naturalne warunki—osiągać dowolne korzyści ze zmiennej potęgi płodnych sił przyrody. Lecz podczas gdy to czyni, z rozległego zakresu jego pożądań powstaje nowy pierwiastek, który do wzrostu bogactwa wprowadza równowagę podobną do tej, jaką w przyrodzie wytwarzają różnorodne postacie życia. Równowaga ta uwidacznia się w wartości. Jeżeli w kraju, sprzyjającym zarówno hodowli koni jak i królików, ja zajmę się hodowlą koni a ty hodowlą królików to, póki nie dojdzie do naturalnej granicy, króliki moje będą rozmnażać się prędzej niż twoje konie. Kapitał mój nie będzie jednak wzrastał szybciej, gdyż skutkiem różnego stopnia przyrostu wartość królików obniży się w stosunku do wartości koni, wartość zaś koni podniesie się w stosunku do wartości królików.

Chociaż różnorodna potęga twórczych sił przyrody zostaje w ten sposób ujednostajniona, to jednak na rozmaitych szczeblach rozwoju społecznego istnieć może różnica co do stopnia, w jakim siły te są użyte do zbiorowego wytwarzania bogactwa. Należy uczynić dwie uwagi pod tym względem. Po pierwsze: że nawet w kraju takim jak Anglia, gdzie dział bogactwa narodowego, przypadający na przemysł, wzrósł znacznie stosunkowo do działu przypadającego na rolnictwo, jest to prawdą tylko odnośnie do podziału geograficznego lub politycznego, a nie do społeczeństwa przemysłowego. Granicę bowiem społeczeństw przemysłowych tworzą morza i góry, a nie podział polityczny. Granicę ich stanowi li tylko zakres ich wymian a więc stosunek rolnictwa Anglii do jej przemysłu zależy od Jowa, Illinois, Texasu, Kalifornii, Kanady i Indii, Queensland'u i Bałtyku—słowem od wszystkich krain, z którymi Anglia prowadzi wymianę. Po drugie: należy zauważyć, że jakkolwiek postęp cywilizacji dąży do względnej przewagi rozwoju przemysłowego w porównaniu z rolnictwem, a zatem do coraz mniejszej zależności od płod-

nych sił przyrody, to jednak postępowi temu towarzyszy odpowiednie rozszerzenie zakresu wymiany i zwiększony wpływ powstającej ztąd siły przyrostu. Dążności te w znacznym stopniu, a prawdopodobnie najzupełniej, równoważą się, a równowaga ta określa przeciętny wzrost kapitału, czyli normalną stopę procentową.

Ta normalna wysokość procentu, która leży pomiędzy koniecznym maximum i koniecznym minimum dochodu z kapitału, musi być taką, aby zważywszy wszystkie warunki (jak np. zabezpieczenie, chęć nagromadzenia i t. d.) wynagrodzenie kapitału było równym wynagrodzeniu pracy t. j. aby dawało równie pojętny rezultat za uczynione usiłowania jak i za poniesione poświęcenie. Niepodobnym jest być może sformułować tego punktu, gdyż zazwyczaj szacujemy zarobek ilościowo a procent stosunkowo; lecz przypuścimy, że dana ilość bogactwa jest wytworem danej ilości pracy współdziałającej w oznaczonym czasie z pewną ilością kapitału, a stosunek, w jakim w wytworze uczestniczyć będą praca i kapitał, dostarczy nam żądanego porównania. Musi istnieć jakiś punkt, przy którym lub raczej około którego stopa procentu dąży do ustalenia się; gdyż w braku takiej równowagi praca nie zgodziłaby się korzystać z kapitału, a kapitał nie byłby oddawanym na usługi pracy. Gdyż praca i kapitał są to postacie jednej i tej samej rzeczy—usiłowań ludzkich. Kapitał jest wytworzonym przez pracę, jest on w gruncie pracą nagromadzoną w materii, która w razie potrzeby bywa znowu oddzieloną odeń, podobnie jak ciepłota słoneczna uwieczona niejako w węglu kamiennym, wywiązuje się znowu przy spaleniu go w ognisku. Użycie kapitału do wytwarzania jest zatem tylko rodzajem pracy. Ponieważ kapitał może być użytym tylko przez konsumpcję, użytek więc jego jest wydatkowaniem pracy, przyczem dla zachowania kapitału wytworzenie go przez pracę musi być proporcjonalnem do zużycia go w celu pomocy pracy. Przeto zasada, która, w warunkach pozwalających na swobodną konkurencję, doprowadza zarobki do wspólnej normy a zyski do rzeczywistej równości, zasada, że ludzie usiłują zadowolnić swoje potrzeby najmniejszą sumą usiłowań, przyczynia się do ustalenia i utrzymania tej równowagi pomiędzy zarobkiem i procentem.

Naturalny stosunek procentu do zarobku, ta równowaga przy której oba przedstawiają równe wynagrodzenia za równe usiłowania—może być ujętą w formę, która przypuszcza stosunek sprzeciwieństwa; lecz sprzeciwieństwo to jest li tylko pozorne. W spółce Ryszarda i Henryka twierdzenie, że Ryszard otrzymuje pewien dział zysków, każe przypuszczać, że dział Henryka jest mniejszy lub większy stosownie do tego, czy dział Ryszarda był większym lub mniejszym; lecz tam gdzie, jak w tym razie,

każdy otrzymuje tylko to, co włożył do wspólnego zasobu, powiększenie części jednego nie zmniejsza tego, co pobiera drugi.

Po określeniu tego stosunku staje się oczywiście, że procent i zarobek muszą podnosić się i spadać jeonocześnie i że procent nie może się powiększyć bez wzrostu zarobku, ani też zarobek nie może się zmniejszyć bez straty procentu. Gdyż jak tylko zarobek spada, procent musi spaść również w tym samym stosunku, bo inaczej byłoby korzystniejszym zamienić pracę na kapitał niż zastosować ją bezpośrednio; podobnie gdy procent się obniża, zarobek musi spaść w tym samym stosunku, gdyż inaczej tamowanym by był wzrost kapitału.

Naturalnie nie mówimy tego o szczególnych zarobkach lub o szczególnym procencie ale o ogólnej normie zarobków i ogólnej stopie procentu (rozumiejąc zawsze pod wyrazem „procent“ dochód, który kapitał zapewnić może po potrąceniu wynagrodzenia za ryzyko i płacy za nadzór). W pojedynczym wypadku lub zatrudnieniu może się trafić przeszkoda, nie pozwalająca procentowi i zarobkom dążyć do równowagi; lecz dążność ta musi być zawsze skora do działania między ogólną normą zarobku i ogólną stopą procentu. Gdyż jakkolwiek w pojedynczej gałęzi wytwarzania nader jasno można odgraniczyć dostarczających pracę od tych, którzy dostarczają kapitału, to jednak nawet w tych społeczeństwach, gdzie granica między warstwą robotczą i warstwą kapitalistów jest bardzo wybitna, obie te warstwy zlewają się z sobą w niedostrzegalnym stopniowaniu, i na krańcach, gdzie obie warstwy spotykają się w jednej osobie, może istnieć bez przeszkód to wspólne działanie, które przywraca równowagę, a raczej nie pozwala jej zniszczyć bez względu na przeszkody, które mogą się zdarzyć tam, gdzie odgraniczenie jest zupełnem. Następnie należy pamiętać, o czem już wzmiankowano uprzednio, że kapitał jest tylko częścią bogactwa i różni się od bogactwa w ogólności jedynie celem, na który został użyty, a zatem że ogół bogactwa wywiera na stosunek kapitału do pracy wpływ równoważący, podobnie jak koło rozmałchowe na ruch maszyn; że odciąga on kapitał, gdy go jest za dużo a dokłada go w razie deficytu, podobnie jak złotnik, mając zbyt wielki zapas brylantów, może oddać część ich na użytek swej żony i włożyć je napowrót do sklepu, gdy zapas jego się zmniejszy. Wszelka zatem dążność procentu do wzniesienia się ponad równowagę z zarobkiem musi wywołać nie tylko usiłowanie skierowania pracy ku wytwarzaniu kapitału lecz zarazem i zamianę bogactwa na kapitał, wszelkie zaś usiłowanie zarobku do wzniesienia się ponad procent nietylko wywoła niechybnie dążenie odwrócenia pracy od wytwarzania kapitału, lecz nadto musi zmniejszyć ilość kapitału—gdyż niektóre postacie bogactwa, z których kapitał się składa, użyte dawniej na cele wytwórcze, zostają wtedy obracane na cele nie wytwórcze.

Streszczamy: Pomiedzy zarobkiem i procentem zachodzi pewien związek czyli stosunek, zalezny od przyczyn, które, jeżeli nie są bezwzględnie stałemi, zmieniają się nader powolnie a przy których na kapitał zamienianą bywa ilość pracy dostateczna by dostarczyć środków potrzebnych do wytwarzania przy danym stopniu oświaty, sztuk, gęstości zaludnienia, charakteru zatrudnień, różnorodności, rozmiaru i szybkości wymiany; związek ów czyli stosunek jest podtrzymywany nieustannie przez jednoczesne działanie pracy i kapitału a zatem procent musi podnosić się i spadać równomiernie z podwyżką lub obniżką zarobku.

Objaśniamy: Cena mąki zależy od ceny pszenicy i od kosztów zmielenia tejże. Koszt mlewa zmienia się nader powoli i niewiele tak, że różnica ledwie po długim upływie czasu zauważyć się daje, podczas gdy cena pszenicy zmienia się często i w znacznym stopniu.

Nie omylimy się zatem mówiąc, że cena mąki zależy od ceny pszenicy. Wyraźmy to twierdzenie w formie podobnej do poprzedzającego. Pomiedzy wartością pszenicy i wartością mąki zachodzi pewien związek czyli stosunek, zalezny od kosztów mlewa, stosunek ów jest nieustannie podtrzymywany przez popyt na mąkę i podaż na pszenicę, a zatem cena mąki musi podnosić się lub spadać równomiernie z podwyżką lub z obniżką ceny pszenicy.

Wykluczwszy z rachuby cenę pszenicy, widzimy, że cena mąki zależy od charakteru pory roku, od wojen i t. d.; podobnie możemy nadać prawu procentu formę, która wykaże bezpośredni związek jego z prawem renty a mianowicie, że ogólna norma procentu zależy od tego, jaki jest zwrot kapitału włożonego swobodnie w ziemię najuboższą t. j. w najlepszy grunt jaki można uprawiać bez opłaty renty. Tak więc nadaliśmy prawu procentu formę, która wykazuje, iż jest ono pokrewnem prawu renty. Do tego samego wniosku możemy dojść inną jeszcze drogą; możemy jasno dostrzedz, że procent musi spadać w miarę wzrostu renty, jeżeli szczegółowo rozbierzemy zarobek. Aby to uczynić wyobraźmy sobie społeczeństwo, którego ustrój opiera się na innych zasadach. Przedstawmy sobie społeczność, którą Carlyle nazwałby rajem szaleńców, w którym wytwarzanie bogactwa odbywa się li tylko wskutek odtwarzających sił kapitału bez pomocy pracy, w którym owce noszą na swych grzbietach wykończoną odzież, krowy dają gotowe masło i ser, a doszedłszy do pewnego stopnia tuszy zamieniają się w smażone bifsztyki i kotlety, w którym domy rosną z nasienia a nóż myśliwski rzucony na ziemię zakorzeni się i da we właściwym czasie bogaty plon doborowych nożowniczych wyrobów. Wyobraźmy sobie, że pewna ilość kapitalistów, mając kapitał w odpowiedniej postaci, przeniosła się w taką miejscowość. Naturalnie, że w zamian za włożony kapitał otrzymywaliby oni całą ilość wytworzonego bogactwa tak długo przynajmniej, dokąd żadna część wytworów

nie byłaby obróconą na płacenie renty. Z chwilą powstania renty musiałaby ona być pokrywaną z dochodów kapitału i dochód ten przynależny kapitalistom musiałby się zmniejszać w miarę wzrostu renty. Jeżeli przypuścimy, że miejscowość, w której kapitał zdolen był wytwarzać bogactwo bez współdziałania pracy, miała przestrzeń ograniczoną, że jest ona wyspą np. to zobaczymy, że skoro tylko wzrost kapitału osiągnie granic zakreślonych przez brak przestrzeni, to dochody z kapitału muszą spaść tak dalece, że nieznacznie tylko przewyższą owe minimum, przy którym ma miejsce tylko zwrot kapitału, a wtedy właściciele ziemscy otrzymają całą prawie ilość wytworów jako rentę, kapitalistom zaś pozostanie jedyna alternatywa wrzucenia kapitałów swych do morza. Jeżeli zaś przedstawimy sobie, że wyspa ta miała styczność z resztą świata, to dochód z kapitału ustali się odpowiednio do normy podobnego dochodu w innych krajach i stopa procentu nie byłaby tam ani niższą ani wyższą jak gdzie indziej. Rencie przypadłyby w udziale wszystkie przewyższające ową normę korzyści, a ziemia podobnej wyspy nabrałaby olbrzymiej wartości. Reasumując wszystko, co wyżej powiedziano, prawo procentu brzmi jak następuje:

Stosunek zarobku do procentu zależy od średniej siły przyrostu, którą posiada kapitał z powodu swych własności odtwarzających. Gdy renta wzrasta, procent musi spadać zarówno jak i zarobek czyli zależy od granic uprawy ziemi.

Staralem się wysledzić i objaśnić prawo procentu raczej przez wzgląd na istniejącą terminologię i ogólny zwrot myśli niż ze względu na konieczne wymagania naszego badania, gdyby go nie wikłały tysiączne dyskusye. W rzeczywistości bowiem rozdział bogactwa jest podwójnym a nie potrójnym. Kapitał jest tylko pewną formą pracy, a rozgraniczenie go od pracy jest w gruncie rzeczy li tylko podziałem podrzędnym, jakim by było np. podzielenie pracy na wprawną i niewprawną. W badaniu naszym doszliśmy do rezultatów, któreby również otrzymanymi zostały, gdybyśmy byli zapatrywali się na kapitał jako na jedną z postaci pracy, i szukali prawa podziału wytworów między rentą i zarobkiem t. j. pomiędzy posiadaczami dwóch czynników, których współdziałanie wytwarza wszelkie bogactwo, a mianowicie między posiadaczem darów i sił przyrody a trudem ludzkim.

ROZDZIAŁ VI.

Zarobek i prawo zarobku.

Drogą wywodów otrzymaliśmy już prawo zarobku. Postaramy się teraz wykryć je z niezależnego punktu wyjścia aby sprawdzić wynik i nie dopuścić dwuznacznego zrozumienia przedmiotu.

Bez wątpienia nie istnieje nic podobnego do ogólnej normy zarobków w tem znaczeniu, w jakim powiadamy, że w danym czasie i w danej miejscowości istnieje ogólna norma procentu. Zarobki, pod któremi rozumiemy wszelkie wynagrodzenie za pracę, zmieniają się nietylko w skutek różnic, zachodzących w zdolności jednostek lecz niemniej w skutek różnorodności zatrudnień w bardziej skomplikowanym ustroju społecznym. A jednak pomiędzy wszystkimi zarobkami zachodzi pewien ogólny związek tak, że wyrażamy myśl jasną i ogólnie zrozumiałą, twierdząc, iż cena zarobku jest wyższą lub niższą w tym czasie i w tej miejscowości niż w innych. Wzrost lub obniżka ceny zarobku podlega pewnemu ogólnemu prawu. Jakież więc jest to prawo?

Zasadnicze prawo wszystkich uczynków ludzkich — prawo, będące w ekonomii politycznej tem, czem prawo ciężkości w fizyce — jest, że ludzie usiłują zaspokoić swoje potrzeby najmniejszą sumą usiłowań. Oczywiście jest rzeczą, że prawo to, wywołując współzawodnictwo, musi ujednostajniać wynagrodzenie, otrzymywane za trud jednostajny w podobnych okolicznościach. Na ujednostajnienie to wpływa znacznie zrównanie cen, gdy ludzie pracują sami dla siebie; ta sama dążność ujednostajnienia objawia się również pomiędzy tymi, co pracują dla siebie i tymi, co pracują dla innych. Raz przyjąwszy tę zasadę, jakież być mogą warunki, na których przy zupełnej swobodzie jeden może najmować dla swej korzyści pracę drugich? Bezwątpienia warunki te określone będą przez to, co robotnicy mogliby zarobić pracując dla siebie. Zasada, która nam przeszkodzi dać im cokolwiek więcej nad normę konieczną do wywołania tej zmiany, nie dozwoli im znowu przyjąć mniej. Gdyby robotnicy żądali więcej, współzawodnictwo innych przeszkodziłoby im znaleźć zatrudnienie. Gdyby pracodawca ofiarowywał mniej, niktby nie przyjął jego warunków, skoroby tylko mógł otrzymać większe rezultaty, pracując dla siebie. Tak więc jakkolwiek pracodawca chce zapłacić o ile możności najmniej, a robotnicy chcą dostać jak można najwięcej, wysokość zarobku określoną

będzie przez wartość wytworów, jaką dana ilość pracy przyniesie robotnikom. Jeżeli tylko zarobek wznieś się chwilowo ponad tę normę lub też spadnie poniżej niej, natychmiast powstaje dążność przywrócenia go do dawnego stanu. Lecz wyniki pracy,—jakośmy to widzieli w tych pierwotnych i zasadniczych zatrudnieniach, któremi się praca najpierw zajmuje, a które stanowią podstawę wytwarzania nawet w warunkach najwyższego społecznego rozwoju—nie zależą wyłącznie od wyteżenia i przymiotów tejże pracy. Bogactwo jest wytworem dwóch czynników: ziemi i pracy, a to, co dana ilość pracy przynosi, zmienia się wraz ze zmianą naturalnych okoliczności, wśród których praca działa. Jeżeli tak jest w istocie to zasada, iż ludzie usiłują zadowolnić swoje potrzeby najmniejszą sumą usiłowań, sprawia, że wysokość zarobku zależy od tego, co wytworzyć może praca, działająca w najodpowiedniejszych warunkach przyrody. Dzięki tej samej zasadzie najwięcej sprzyjające dla pracy warunki naturalne będą najniższym punktem możności istnienia wytwarzania, gdyż ludzie, rządząc się najwyższem prawem ludzkiego umysłu t. j. chęcią zadowolenia swoich potrzeb najmniejszą sumą usiłowań, nie zechcą pracować w gorszych warunkach, dopóki lepsze będą dla nich dostępne. A zatem zarobek, który pracodawca zapłacić musi, mierzy się najgorszymi dla wytwarzania naturalnymi warunkami, a cena zarobku podniesie się lub spadnie w miarę o ile te warunki będą lepsze lub gorsze.

Objasnimy to: przy mało rozwiniętym ustroju społecznym każdy pracuje dla siebie podobnie jak w warunkach pierwotnych; jedni polują, drudzy łowią ryby, inni wreszcie uprawiają ziemię. Przypuśćmy, że do rolnictwa dopiero co się wzięto i że wszystka ziemia, zajęta pod uprawę, jest jednakowej dobroci i przynosi jednakowe wynadgodzenie za jednakie trudy. Zarobkiem zatem—gdyż jakkolwiek niema ani pracodawców ani robotników, to przecież istnieją zarobki—będzie cały wytwór pracy i uwzględniając zachodzące w tych trzech zajęciach różnice co do mniejszej lub większej przyjemności, ryzyka i t. d. będą one wszystkie, średnio biorąc, sobie równe t. j. że jednakowe usiłowania przyniosą jednakie rezultaty. Jeżeli więc ktokolwiek z tego społeczeństwa zechce, by inni pracowali dla niego a nie dla siebie, musi im zapłacić zarobek, wynoszący całkowity, przeciętny wytwór pracy.

Przypuśćmy, że pewien przeciąg czasu upłynął, że rolnictwo przybrało większe rozmiary i że przestrzeń zajęta pod uprawę obejmuje lepsze i gorsze grunta. Zarobkiem nie będzie już teraz, jak poprzednio całkowity wytwór pracy. Na zarobek przypadnie już tylko przeciętny wytwór pracy na granicach uprawy t. j. to, co przyniesie praca, włożona w najgorszą ziemię. Gdyż, skoro tylko ludzie usiłują zadowolnić swoje potrzeby najmniejszą sumą usiłowań, przeto praca włożona w najgorszą ziemię powinna przynieść dochód równy przeciętnemu dochodowi z my-

śliwstwa lub rybołówstwa. Zrównanie cen dokona tego ujednostajnienia zarobku. Praca nie przyniesie już jednakowego wynagrodzenia za jednakie trudy lecz ci, którzy włożyli swą pracę w lepszą ziemię, otrzymają pomimo jednakowych usiłowań dochód większy, niż ci, którzy uprawiają ziemię gorszą. Pomimo tego wysokość zarobku będzie jednakową, gdyż przewyżka, pobierana przez uprawiaczy lepszych gruntów, jest rzeczywistości rentą i nada ziemi wartość, jeżeli tylko została ona objęta w posiadanie prywatne. Jeżeli teraz, w tak zmienionych warunkach, jeden członek społeczności zechce dla swej korzyści wynająć pracę innych, wypłaci on im jako zarobek tylko to, co przynieść może praca, włożona w najgorszy z uprawianych gruntów. Jeżeli następnie żyzność uprawianej ziemi zmniejszy się, cena zarobku spaść musi; jeżeli przeciwnie zwiększy się ona, zarobek również się podniesie, bo ludzie szukają najłatwiejszego sposobu zadowolenia swych potrzeb, podobnie jak ciało; wprawione w ruch, dąży do środka ziemi po linii prostej.

Otrzymaliśmy zatem prawo zarobku jako wynik najoczywistszej i najogólniejszej zasady. Że zarobek zależy od granic, do których dotarła uprawa ziemi, że jest on nadal większym lub mniejszym stosownie do tego, czy wytwór otrzymany przez pracę w najodpowiedniejszych warunkach naturalnych zwiększa się lub zmniejsza, wszystko to wyprowadziliśmy z zasady, iż ludzie usiłują zadowolić swoje potrzeby najmniejszą sumą usiłowań.

Jeżeli teraz od pierwotnych ustrojów społecznych zwrócimy się ku złożonym zjawiskom najwięcej ucywilizowanych społeczeństw, znajdziemy, że one również podlegają temu prawu.

W podobnych społeczeństwach zachodzą wielkie różnice w zarobkach, a jednak pomiędzy nimi ma miejsce mniej lub więcej określony i widoczny stosunek. Stosunek ten nie jest niezmiennym, albowiem znany filozof może raz za odczytyswe otrzymać kilkakroć więcej niż najlepszy mechanik, innym razem zatrudnienia przynoszą w wielkich miastach wysokie zarobki, podczas gdy w nowych osadach dałyby tylko nędzny dochód; wszystkie te jednak różnice co do wysokości zarobków, można bez względu na niektóre zboczenia, wynikające z obyczajów, praw i t. d. do kilku sprowadzić przyczyn. W jednym z najwięcej interesujących rozdziałów swego dzieła Adam Smith wylicza w następującym porządku główne przyczyny „które wywołują mały pieniężny zysk w pewnych zatrudnieniach i równoważą wielkie dochody innych: *po pierwsze*: przyjemność lub nieprzyjemność samego zatrudnienia; *po drugie*: łatwość i taniść albo też trudność i koszt wyuczenia się go; *po trzecie*: trwałość lub nietrwałość zatrudnienia; *po czwarte*: większe lub mniejsze zaufanie, które w robotnikach pokładać należy; *po piąte*: prawdopodobieństwo lub

nieprawdopodobieństwo powodzenia“ *). Niema potrzeby rozwo-
dzić się szczegółowo nad temi różnicami wysokości zarobku
w różnorodnych zatrudnieniach. Były one doskonale wytłoma-
czone i objaśnione przez Adama Smitha i późniejszych po nim
ekonomistów, którzy starannie opracowali szczegóły, bez wzglę-
du na to, że nie zrozumieli ogólnego prawa.

Skutek wszystkich tych przyczyn, które spowodowują róż-
nicę wysokości zarobku w różnorodnych zatrudnieniach może
być określony jako podaż i popyt i będziemy mieli słusność
twierdząc, że zarobki zmieniają się w różnych zatrudnieniach
stosownie do różnic zachodzących pomiędzy podażą pracy i po-
pytem na nią, jeżeli pod popytem rozumiemy żądanie
społeczeństwa usług szczególnego rodzaju, a pod podażą—ilość
pracy, która w istniejących warunkach może być użytą na wy-
konanie tych szczególnych usług. Ale chociaż mówiąc o wzglę-
dnych różnicach w zarobku mamy słusność utrzymując zgodnie
z twierdzeniem ogółu, że różnice te zależą od popytu i podaży,
lecz terminy te tracą wszelkie znaczenie, gdy uczynimy od
nich zależną ogólną wysokość zarobków. Podaż bowiem i po-
pyt są to pojęcia względne. Podaż na pracę może tylko oznaczać
pracę ofiarowaną w zamian za pracę lub za wytwór pracy, a po-
pyt na pracę może tylko oznaczać pracę lub wytwór pracy, ofia-
rowany w zamian za pracę. Podaż jest zatem popytem a po-
pyt podażą; w całym społeczeństwie jedno musi się zgadzać
z drugim. Ogólnie przyjęta ekonomia polityczna zrozumiała ja-
sno tę prawdę odnośnie do kupna i sprzedaży a rozumowanie
Ricarda, Milla i innych, którzy dowodzą, że zmiany zachodzące
w popycie i podaży nie mogą spowodować ogólnego wzrostu lub
obniżki wartości pewnej pojedynczej rzeczy, da się również za-
stosować do pracy. Zwyczaj zapatrywania się na popyt na pra-
cę jako na coś wynikającego z kapitału i zupełnie odrębnego
od pracy, ukrywa zwykłą niedorzeczność mówienia o podaży
i popycie odnośnie do pracy; lecz analiza której pojęcie to wy-
żej poddanem zostało wykazała dostatecznie fałsz jego. Stało się
to widocznem w skutek twierdzenia, że zarobek nie może nigdy
stałe przewyższać wytworu pracy, a zatem, że na pokrycie za-
robków, nie ma żadnego zasobu prócz tego, który praca sama
nieustannie wytwarza.

Lecz jakkolwiek można uważać, że wszystkie przyczyny, któ-
re wywołują różnicę zarobków w różnorodnych zatrudnieniach
wynikają z popytu i podaży, to jednak dadzą się one, (a raczej
rezultaty ich działania, które w dwojakim wywierac się może
kierunku) podzielić na dwie grupy stosownie do tego, czy dążą

*) Ten ostatni punkt analogiczny z pierwiastkiem ryzyka w zyskach, tłó-
maczy wysokie zarobki znakomitych prawników, aktorów, przemysłowców, le-
karzy i t. d.

do podwyższenia zarobków pozornych, czy też do podwyższenia zarobków rzeczywistych, t. j. przeciętnego wynagrodzenia za jednakowe trudy. Wysokie zarobki niektórych zatrudnień podobne są bardzo do wygranych na loteryi, w których wielkie zyski jednych składają się ze strat wielu innych; prawdziwe to porównanie uczynionem zostało przez Adama Smitha. Jest to nie tylko prawdą co do zatrudnień, za pomocą których Smith objaśnia zasadę, lecz również co do pracy za nadzór w przedsiębiorstwach przemysłowych, jak to wykazuje fakt, że przeszło 90% firm przemysłowych ostatecznie bankrutuje. Do tej grupy zaliczyć również można wysokie zarobki w tych zatrudnieniach, które mogą być prowadzone tylko w pewnym stanie pogody lub dla innych przyczyn są przerywane i niepewne. Tu także zaliczyć wypada zajęcia wysoce uciążliwe, źle uważane, niezdrowe, wyróżniające się jednym słowem niekorzystnie wśród innych i wymagające pewnych ofiar, a więc i wynagrodzenia wyższego nad ów średni poziom jednakowej zapłaty za tę samą ilość przeciętnej pracy. Wszystkie te różnice są w gruncie rzeczy zrównoważeniem wynikającym z okoliczności, które, wyrażając się słowami Adama Smitha, „przynoszą mały pieniężny zysk w pewnych zatrudnieniach i równoważą wielkie zyski w innych.“ Lecz oprócz tych przyczyn li tylko pozornych zachodzą jeszcze w różnorodnych zatrudnieniach istotne różnice zarobków spowodowane tem, że żądane przymioty zdarzają się rzadziej lub częściej; większa wprawa i zdolności czysto przyrodzone czy nabyte domagają się zazwyczaj większych zarobków. Przymioty te bądź przyrodzone, bądź nabyte, są w gruncie podobne do różnic zachodzących w sile i szybkości pracy ręcznej, a tak jak w pracy ręcznej większy zarobek wypłacony robotnikowi, który może zrobić więcej, pokrywa się z zarobków wypłaconych tym, którzy mogą wykonać przeciętną ilość roboty, podobnie zarobek w zatrudnieniach wymagających wyższych zdolności i wprawy, zależy od przeciętnego zarobku przy zwykłych zdolnościach i wprawie.

Zarówno obserwacye jak i teoria dowodzą, że chociaż względne znaczenie okoliczności wytwarzających różnice zarobków w różnorodnych zatrudnieniach zmienia się dość często i wpływa na większą lub mniejszą różnicę płacy w różnym czasie i w różnych miejscowościach, to jednak norma zarobków pobieranych w jednym zatrudnieniu zależy zawsze od wysokości zarobków przy innych zajęciach, dokąd nie dojdzie do najniższej normy zarobków wypłacanych w zajęciach, na które popyt jest więcej ustalonym i któremi najswobodniej zajmować się można.

Gdyż pomimo istnienia przegród mniej lub więcej trudnych do przekroczenia, ilość dającej się użyć pracy, do pewnego poszczególnego zajęcia, nie jest nigdzie bezwzględnie stałą. Wszyscy mechanicy mogą pracować jako rolnicy, a wie-

lu rolników mogłoby z łatwością zająć się mechaniką; wszyscy właściciele magazynów mogą podjąć się obowiązków subjektów sklepowych a wielu subjektom nie trudno by było stać się właścicielami magazynów; wielu farmerów zajęłoby się, w razie potrzeby myśliwstwem lub górnictwem, rybolowstwem lub marynarką, a znaczna część myśliwych, górników, rybaków i marynarzy ma dość jasne pojęcie o gospodarstwie, by w razie żądania stali się farmerami.

W każdym zatrudnieniu istnieją ludzie, którzy obok niego zajmują się czemś innym lub zmieniają często rodzaj pracy, młodzi zaś ludzie, nieustannie zapełniający szranki pracowników, idą zawsze w kierunku najmniejszego oporu. Następnie zaś wszystkie te stopniowania zarobków niepostrzeżenie zlewają się z sobą i nie są pooddzielane ściśle oznaczonymi granicami. Zarobek nawet najgorzej płatnych mechaników jest zazwyczaj większym, niż zarobek prostych rolników, lecz niemniej niektórzy mechanicy nie zarabiają tyle co niejeden rolnik; najlepiej płatni prawnicy otrzymują dużo więcej niż najlepiej płatni pisarze, lecz najlepiej płatni pisarze zarabiają więcej od niektórych prawników a w rezultacie zarobek najgorzej płatnych pisarzy jest lepszym od zarobku najgorzej płatnych prawników. Tak więc na krańcach każdego zatrudnienia stoją ci, którzy są tak słabo pociągani w stronę jednego lub drugiego zajęcia, że najmniejsza zmiana jest wystarczającą, by zwrócić pracę ich w tym lub w owym kierunku. Wszelki zatem wzrost lub obniżka popytu na pracę może zaledwie chwilowo podnieść zarobek, pobierany w danym zatrudnieniu ponad poziom wszelkich innych zarobków lub obniżyć je poniżej, poziom ten zaś zależy od okoliczności wyżej wymienionych np. od przyjemności, trwałości zatrudnienia i t. d. Doświadczenie wykazuje, że gdyby nawet współdziałaniu temu postawić sztuczne przeszkody np. ograniczenie prawem, ustanowienie cechów lub kast, nie byłyby one w stanie zachwiać tej równowagi. Podobne przeszkody działają jak tamy, które wznoszą wodę rzeki ponad zwykły jej poziom, lecz nie zdołają przeszkodzić odpływowi wody.

Tak więc staje się widocznem, że jakkolwiek względny stosunek zarobków zmieniać się może od czasu do czasu w miarę jak zmieniają się okoliczności, od których tenże stosunek zależy, to jednak wszelkie zarobki zależą od zarobków najniższych i ogólna norma wysokości zarobków podnosi się lub spada w miarę ich wzrostu lub obniżki.

Widzimy, że te właśnie pierwotne i zasadnicze zatrudnienia, na których, jak wspomnieliśmy, opierają się wszystkie inne, wytwarzają bogactwo bezpośrednio z przyrody a zatem ich prawo zarobku musi być ogólnem prawem zarobku.

A ponieważ zarobki pobierane w podobnych zatrudnieniach zależą od tego, co praca wytworzyć jest w stanie przy najniższym stopniu wytwórczości przyrody, a zatem wysokość zarobku

zależy ogólnie od najniższego stopnia uprawy ziemi t. j. od najwyższego stopnia wytwórczości przyrody, z którego praca swobodnie użytkować może bez opłacania renty.

Prawo to jest tak oczywiście, że nieraz rozumieli je ci nawet, którzy go nie przyznawali. Mówią nieraz, np. że taniość pracy mogłaby ogromnie wpłynąć na rozwój krajów takich jak Kalifornia lub Newada, pozwalając na eksploatawanie uboższych lecz najrozleglejszych pokładów kruszcu. Ci, którzy rozumują w powyższy sposób, dostrzegają widoczny związek, zachodzący między niskim zarobkiem i niskim stopniem wytwarzania, lecz biorą przyczynę za skutek. Albowiem nie zarobek niższy wywołuje eksploatawanie ubogich kopalni, lecz przeciwnie rozszerzenie zakresu wytwarzania obniża cenę zarobku. Gdyby nawet zarobek został dowolnie obniżonym, jak to nieraz prawodawstwa usiłowały uczynić, to jednak nie zaczęłyby eksploatawać kopalni uboższych, dokądby można było czerpać z bogatszych. Lecz gdyby zmniejszono dowolnie rozmiary wytwarzania — a rzecz ta stałaby się możliwą, gdyby bogatsze dary przyrody znajdowały się w ręku tych, którzy wołają czekać na przyszły wzrost wartości tych darów niż pozwolić na natychmiastowe z nich użytkowanie, — to i cena zarobku koniecznie spaśćby musiałaby.

Dowodzenie nasze zostało zatem uzupełnionem. Otrzymane przez nas tą drogą prawo zarobku nie różni się od tego, któreśmy otrzymali uprzednio jako wynik prawa renty i zgadza się najzupełniej z prawem procentu. Prawo to brzmi:

Zarobek zależy od granic wytwarzania lub od ilości wytworów, którą praca, nie opłacając renty, może jeszcze osiągnąć przy najpomyślniejszych dla niej naturalnych warunkach wytwarzania. To prawo zarobku objaśnia ogólnie znane fakta, które inaczej byłyby sprzecznymi i pozbawionymi związku i zgadza się z nimi. Wykazuje ono, że:

Tam, gdzie ziemia jest wolną a kapitał nie wspiera pracy, tam cały ogół wytworów przypada w udziale pracy jako zarobek.

Tam, gdzie ziemia jest wolną a kapitał wspiera pracę, zarobek składać się będzie z ogółu wytworów po potrąceniu części koniecznej, by nagromadzać pracę w postaci kapitału.

Tam, gdzie ziemia jest własnością prywatną i istnieje renta, zarobek zależy od tego, co praca otrzymać może przy najkorzystniejszych warunkach bez opłacania renty.

Tam, gdzie wszystkie dary przyrody są własnością prywatną, współzawodnictwo robotników może obniżyć zarobek do minimum, za które robotnicy zgadzają się jeszcze pracować.

To konieczne minimum zarobku (które Smith i Ricardo zowią „zarobkiem naturalnym,“ a które według przypuszczeń Milla reguluje zarobek, gdyż ten ostatni ma być większym lub mniejszym odpowiednio do większych lub mniejszych wymagań życiowych warstw pracujących) jest objętem przez wyżej wypowie-

dziane przez nas prawo zarobku, albowiem widocznem jest, że wytwarzanie nie może spaść niżej stopnia, przy którym część pozostała na zarobek będzie wystarczającą dla zapewnienia utrzymania robotników.

To prawo zarobku nosi samo w sobie dowody swojej prawdziwości, podobnie jak prawo renty Ricarda, którego jest ono koniecznym wynikiem. Jest ono zastosowaniem prawdy ogólnej, będącej podstawą wszelkiego ekonomicznego rozumowania, i polegającej na tem, że ludzie starają się zadowolnić swoje potrzeby najmniejszą sumą usiłowań.

Przeciętny robotnik nie zgodzi się pracować dla pracodawcy za mniej niż może zarobić, pracując dla siebie, ani też nie zechce pracować dla siebie, gdyby mu to przynosiło mniej niż praca dla pracodawcy, a zatem wynagrodzenie, które praca otrzymuje, korzystając swobodnie z darów przyrody i z warunków naturalnych, musi określać wysokość zarobków, które praca gdziekolwiek dostać może. Czyli innymi słowy—norma renty jest konieczną miarą normy zarobku. Ażeby więc zgodzić się na uznane prawo renty trzeba poprzednio (choć, jak się to w wielu razach zdaje, mimowiednie) przyjąć to prawo zarobku. Zrozumienie faktu, że właściciel lepszego gruntu może dostać ręce do uprawy swej ziemi płacąc robotnikom to, coby otrzymali przy uprawie gorszej ziemi tłomaczy, że lepsza ziemia przynosi jako rentę przewyżkę jej wytworów nad tą ich ilośćią, którą najgorsze z uprawianych gruntów przynoszą.

W najprostszej swej formie prawo zarobku zostało przyjętem przez ludzi, którzy nie łamią sobie głowy nad ekonomią polityczną, podobnie jak fakt spadania ciężkich ciał na ziemię był oddawna uznany przez tych, którzy nigdy nie myśleli o prawie ciężenia. Nie potrzeba być filozofem, by zrozumieć, że cena zarobku podniosłaby się, gdyby swobodne użytkowanie z darów przyrody dozwoliło robotnikom podnieść cenę zarobku wyżej najniższej płacy, którą pobierają obecnie; najgłupszy i najmniej oświecony górnik dawnej Kalifornii wiedział o tem, że zarobki spaść muszą, skoro tylko kopalnie zostaną wyczerpane lub objęte w posiadanie prywatne. Nie potrzeba żadnych subtelnych teoryj, by objaśnić, dlaczego w nowych społeczeństwach, w których ziemia nie jest zmonopolizowana, zarobki są tak wysokie względnie do wytwarzania. Przyczyna tego jest bardzo jasna, nikt się nie zgodzi pracować dla innych za mniej, niżby mu jego praca przynieść mogła, gdyby przesiedliwszy się do sąsiedniego okręgu, wziął zagrodę dla siebie. Wtedy dopiero, gdy ani z ziemi ani z darów przyrody swobodnie użytkować nie można, robotnicy widzą się zmuszeni współzawodniczyć z sobą o pracę i farmer może wynajmując ludzi pracujących dla niego, podczas gdy sam utrzymuje się z różnicy między tem, co ich praca wytwarza a tem, co im płaci.

Adam Smith rozumiał przyczynę, dla której zarobki są wysokie tam, gdzie ludność dowolnie osiedlać się może, nie potrafił on tylko ocenić ważności i wzajemnego związku tych faktów. Pisząc o przyczynach wzrostu Nowych Kolonij (Bogactwo Narodów, Ks. IV, Rozd. VII) powiada on:

„Każdy kolonista posiada ziemi więcej, niż sam jest w stanie uprawić. Nie potrzebuje on opłacać renty i prawie żadnych podatków. Chętnie więc gromadzi robotników ze wszystkich okręgów i płaci im nader hojne zarobki. Lecz hojny ten zarobek, w połączeniu z wielką ilością gruntu i z jego taniością, sprawia, że robotnicy opuszczają go wkrótce, by sami stać się właścicielami i z równą szczodroblewością płacić będą innych robotników, którzy ich porzucą wkrótce dla tej samej przyczyny, dla której oni opuścili pierwszych swych zwierzchników.“

Rozdział ten zawiera wiele zdań, które wykazują, że Adam Smith dlatego nigdy nie zrozumiał istotnych praw podziału bogactwa, że zaniechał badania pierwotnych form społecznych, i pierwszych zasad zaczął szukać w złożonych społecznych zjawiskach, gdzie go zaślepiła z góry przyjęta teoria działalności kapitału i, o ile mi się zdaje, niejasne podzielenie doktryny, którą Malthus sformułował we dwa lata po jego śmierci. Niepodobna, czytając dzieła ekonomistów, którzy od czasów Smitha usiłowali wznieść gmach ekonomii politycznej, nie widzieć, jak oni potrącają nieustannie o prawo zarobku, nie uznając go wcale. Trudno jest oprzeć się myśli, że niektórzy z nich widzieli istotnie to prawo zarobku, lecz obawiając się następstw, do którychby w praktyce doprowadzić mogło, woleli zamknąć na nie oczy raczej, niż zużytkować je jako klucz do rozwiązania zagadnień, które i bez tego są tak zatrzważające. Bo każda wielka prawda dla wieku, który ją depeze i uznać jej nie chce, nie słowem pokoju a mieczem się staje.

Nie będzie może zbyt cennym przed ukończeniem tego rozdziału przypomnieć czytelnikom to, co już było powiedzianem poprzednio, że wyrazu zarobek używam nie w znaczeniu ilości lecz w znaczeniu stosunku. Gdy mówię, że zarobek spada w miarę jak renta wzrasta, nie rozumiem przez to, że ilość bogactwa pobierana przez robotników jako zarobek zmniejszyć się musi, lecz że się zmniejsza stosunek tego działu bogactwa do ogółu wytworów. Stosunek zmniejszyć się może, choć ilość pozostanie ta sama a nawet zwiększy się. Jeżeli granica uprawy ziemi z punktu wytwórczości, który nazwiemy 25, przejdzie do punktu wytwórczości 20, renta z wszystkich gruntów, które ją poprzednio płaciły, zwiększy się w skutek tej różnicy, a część ogółu wytworów, przypadająca na zarobek robotników, zmniejszy się do tego samego stopnia; lecz jeżeli w tym czasie, rzemiosła lub ekonomiczniejsze formy produkcji możebne przy większem zaludnieniu rozwiną się tak dalece, że wytwórcze siły pracy wytworzą przy stopniu 20 taką samą ilość bogactwa, jaką wytwarzały

poprzednio przy stopniu 25, to robotnicy otrzymują jako zarobek ilość równą poprzedniej, a względna obniżka ceny zarobku da się zauważyć nie w uszczupleniu wygód i potrzeb robotnika lecz tylko w zwiększonej wartości ziemi i w większych dochodach oraz w większej rozrzutności warstwy pobierającej rentę.

ROZDZIAŁ VII.

Odpowiedniość i współrzędność powyższych praw.

Wyprowadzone przez nas wnioski, dotyczące się podziału bogactw, odrzucają znaczną i najważniejszą część nauki ekonomii politycznej w tej jej formie, w jakiej jest ona obecnie wygłaszana; niweczą one najsztuczniejsze jej teorie i rzucają nowe światło na niektóre z najważniejszych zagadnień. A jednak pomimo tego, nie polemizowaliśmy dotychczas wcale, nie podaliśmy ani jednej głównej zasady, któraby już dawniej znaną nie była.

Prawo zarobku i prawo procentu — podstawione przez nas na miejsce tych, które są wygłaszane obecnie — są koniecznymi wynikami wielkiego prawa, które jedynie czyni możliwą naukę ekonomii politycznej, prawa wszechpotężnego, prawa równie nieodłącznego od umysłu ludzkiego, jak siła przyciągania nieodłączną jest od materii, prawa, bez którego niepodobnaby było przewidzieć żadnego czy to najzwyczajszego, czy też najbardziej doniosłego faktu. Zasadnicze to prawo, że ludzie starają się zadowolnić swoje potrzeby najmniejszą sumą usiłowań, rozpatrywane w stosunku do jednego z czynników wytwarzania jako prawo renty staje się w stosunku do drugiego — prawem procentu, w stosunku zaś do trzeciego — prawem zarobku. Raz zaś przyjąwszy prawo renty, które od czasów Ricarda zostało uznaniem przez wszystkich głośniejszych ekonomistów, i które tak jak pewnik geometryczny potrzebuje tylko być zrozumianem by uzyskać potwierdzenie, trzeba koniecznie przyjąć prawo procentu i prawo zarobku jako bezpośrednie jego wyniki. Zresztą, względnie tylko można prawa te nazwać wynikami; w rzeczywistości, przyjmując prawo renty, przyjmujemy je tem samem.

Od czegoż bowiem zależy uznanie prawa renty? Oczywiście li tylko od uznania faktu, że konkurencya nie dozwala, aby wynagrodzenie pracy i kapitału było gdziekolwiek większe niż

na najgorszym z uprawianych gruntów. Dostrzegając to, widzimy, że właściciel ziemi ma prawo domagać się jako renty całej przewyżki wytworów otrzymywanych z jego gruntów nad to, co taka sama ilość pracy i kapitału otrzymać jest w stanie z najgorszej uprawnej ziemi.

Wzajemna harmonia i związek praw podziału bogactw, tak jak my je pojmujemy, staje w uderzającej sprzeczności z brakiem harmonii i związku, cechującym też same prawa, wygłaszane przez ogólnie przyjętą ekonomię polityczną. Zestawmy je razem.

Twierdzenia ogólnie przyjęte.

Renta zależy od stopnia wydajności gruntów ostatnio wziętych pod uprawę, a mianowicie: podnosi się wraz z upadkiem wydajności i obniża się wraz z jej wzrostem.

Zarobek zależy od stosunku między ilością robotników a wielkością kapitału, przeznaczonego na ich wynagrodzenie.

Procent zależy od stosunku między zaofiarowaniem i zapotrzebowaniem kapitału, lub też (tak twierdzą, gdy jest mowa o zyskach), procent warunkuje się wysokością zarobków, czyli płacy roboczej, a mianowicie: podnosi się on wraz z obniżką zarobku a spada wraz z jego wzrostem.

W określeniu ekonomii prawa podziału bogactw są pozbawione wspólnego ogniska, wzajemnego związku, nie są odpowiednikami częściami jednej całości lecz miarami różnego gatunku. W podanem przez nas określeniu, wychodzą one z jednego punktu, dopełniają się wzajemnie i stanowią odpowiednie części jednej zupełnej całości.

Twierdzenia z rzeczywistością zgodne.

Renta zależy od stopnia wydajności gruntów ostatnio wziętych pod uprawę, a mianowicie: podnosi się wraz z upadkiem wydajności i obniża się wraz z jej wzrostem *).

Zarobek zależy od stopnia wydajności gruntów ostatnio wziętych pod uprawę, a mianowicie: podnosi się wraz ze wzrostem wydajności i obniża się wraz z jej upadkiem.

Procent, — stosunek którego do zarobku warunkuje się, jak wiemy, właściwą kapitałowi siłą przyrostu — zależy od stopnia wydajności gruntów ostatnio wziętych pod uprawę, a mianowicie: podnosi się wraz ze wzrostem wydajności i obniża się wraz z jej upadkiem.

*) Autor prawo to wyraża się jak następuje: Rent depends on the margin of cultivation, rising as it falls and falling as it rises. Uważamy jednak, że termin „margin of cultivation“ (dosłownie: granice lub kres kultury rolniczej — „granice lub kres uprawy“) jest zbyt nieokreślonym i dlatego ze szkodą może zwiększyć w sformułowaniu prawa objaśniamy niejako treść tego terminu wyrażeniem: „stopień wydajności gruntów ostatnio wziętych pod uprawę.“ (Przyp. tł.)

ROZDZIAŁ VIII.

Momenty statyczne w rozpatrywanem przez nas zagadnieniu.

Otrzymaliśmy już jasną, prostą i ścisłą teorię podziału bogactwa, która zgadza się z pierwszemi zasadami i ze zjawiskami życiowemi i przedstawia, o ile zostaje zrozumianą, wszelkie cechy oczywistości.

Przed opracowaniem tej teorii uważałem za konieczne wykazać ostatecznie słabe strony ogólnie przyjętych teoryj, gdyż większość ludzi zarówno co do myśli jak i co do uczynków ślepo idzie za swymi przywódcami, a teoria zarobku, posiadająca poparcie tylu głośnych nazwisk i tak głęboko zakorzeniona w poglądach ogółu, nie dozwoliłaby nawet na zbadanie żadnej innej teorii, póki by się nie wykazało jej braków, podobnie jak w swoim czasie przekonanie, że ziemia jest środkiem wszechświata, nie dozwalało rozpatrywać teorii krążenia ziemi naokoło osi i słońca, aż póki nie wykazano dokładnie, że zjawiska pozornego ruchu ciał niebieskich niepodobna wytlómaczyć zgodnie z teorią o niewzruszoności kuli ziemskiej.

Zachodzi zaiste uderzające podobieństwo pomiędzy obecnie wygłaszaną ekonomią polityczną a nauką astronomii, a raczej pojęciami o niej przed przyjęciem teorii Kopernika. Moznaby przyrównać wykręty, za pomocą których dzisiejsze teorie ekonomiczne usiłują objaśnić zjawiska społeczne, zwracające obecnie na siebie ogólną uwagę świata cywilizowanego, do sztucznego systemu cyklów i epicyklów, wymyślonego przez uczonych w celu objaśnienia zjawisk niebieskich w sposób zgodny z dogmatami autorytetów i z grubymi przesadami mas ciemnych. I podobnie jak badania czynione nad teorią cyklów i epicyklów wykazały, że nie jest ona w stanie objaśnić wszystkich zjawisk niebieskich i przygotowały grunt do badania nowej i prostszej teorii, którą na miejsce tamtej podstawiono, tak i uznanie faktu, iż dzisiejsze teorie ekonomiczne nie rozwiązują przyczyny bytu zjawisk społecznych, przygotowały pole do rozpatrzenia teorii, która ekonomii politycznej nada taką dokładność i harmonię, jaką teoria Kopernika wprowadziła do nauki astronomii.

Tu jednak kończy się wszelkie podobieństwo. Pierwotnym pojęciom ludów w każdym kraju i w każdym położeniu wydawało się rzeczą niepojętą, że „niewzruszona ziemia“ może przebiegać przestworza z nadzwyczajną szybkością, podczas gdy prawda, którą usiłują objaśnić, była już uznaną przez każdy, w niemowlęcym stanie rozwoju zostający, naród, a gmatwały ją jedy-

nie złożone zjawiska cywilizacji, wykrety samolubstwa i fałszywy kierunek rozumowania uczonych. Dość jest zwrócić się ku pierwszym zasadom i baczyć pilnie na pierwotne wyobrażenia, by przyznać ją w zupełności. Niema nic prostszego nad twierdzenie, że wzrost renty sprawia, iż zarobek nie idzie w górę wraz ze wzrostem siły wytwórczej.

Trzy rzeczy składają się na wytwarzanie: ziemia, kapitał i praca. Trzy warstwy społeczne dzielą pomiędzy siebie ogół wytworów: robotnik, kapitalista i posiadacz ziemski.

Jeżeli pomimo wzrostu wytwarzania, ani robotnik ani kapitalista nie dostaną więcej, jasny z tego wyprowadzamy wniosek, że cały zysk zostaje zagarniętym przez posiadacza ziemskiego. Z wnioskiem tym zgadzają się fakta życiowe. Chociaż ani zarobek ani procent nie podnoszą się nigdzie wraz ze wzrostem postępu materyalnego, to jednak nieodłączną cechą tegoż postępu jest wzrost renty—podwyżka wartości ziemi.

Wzrost renty tłómaczy, dlaczego zarobek i procent nie idą w górę. Przyczyna, przynosząca zyski właścicielowi ziemskiemu, przynosi straty robotnikowi i kapitaliście. Jeżeli zarobek i procent są wyższe w nowych społeczeństwach aniżeli w starych, to nie dlatego, żeby przyroda szcudziej tam wynagradzać miała włożoną pracę i kapitał—jak twierdzą znani ekonomiści — lecz dla tego jedynie, że ziemia jest tam tańszą, a zatem renta zabiera mniejszą część wytworów, a praca i kapitał mogą dostać większą część tego, co zwraca przyroda. Zarobek i procent dzielą pomiędzy siebie nie ogół wytworów, lecz to, co pozostaje po opłaceniu renty. A zatem norma procentu i zarobku zależy wszędzie nietylko od wytwórczości pracy, co od wartości ziemi. Gdzie tylko ziemia ma stosunkowo małą wartość, tam zarobek i procent są względnie wysokie; gdzie tylko ziemia ma dużą wartość, tam zarobek i procent są stosunkowo niskie.

Gdyby wytwarzanie nie było nigdy przekroczyło tej pierwotnej fazy, w której wszystka praca jest bezpośrednio włożoną w ziemię, a wszystkie zarobki wypłacane w naturze, niepodobnymby było stracić z oczu fakt, że gdy właściciel ziemski zabierze większą część wytworów, to robotnik musi się zadowolić mniejszą ich częścią.

Skomplikowane wytwarzanie państw ucywilizowanych, w których tak znaczna część wytwarzania odchodzi na wymianę i tyle pracy wkłada się w materyaly już po wydobyciu ich z ziemi, może wprawdzie ukryć prawdę przed oczyma myślących, nie jest jednak w stanie zmienić faktu, że ogół wytwarzania wynika zawsze ze współdziałania dwóch czynników: ziemi i pracy, i że renta (udział właściciela ziemskiego) nie może wzrastać bez szkody zarobku (udziału robotnika) i bez szkody procentu (udziału kapitalisty). Podobnie jak ilość plonu, którą właściciel ornej ziemi dostaje jako rentę przy końcu żniwa w prost-

szym ustroju społecznym, zmniejsza ilość pozostałą dla rolnika jako zarobek i procent, tak i wysoka renta z gruntu, na którym wzniesione zostało miasto przemysłowe lub handlowe, zmniejsza część pozostałą do podziału jako zarobek i procent między pracę i kapitał, które w temże mieście zajęte są wytwarzaniem lub wymianą bogactw.

Słowem, ponieważ wartość ziemi zależy w zupełności od tego, czy posiadanie jej nadaje większą czy mniejszą siłę przywłaszczania sobie bogactwa stworzonego przez pracę, a zatem wzrost wartości ziemi odbywa się zawsze ze szkodą wartości pracy. Ztąd wynika, że wzrost siły wytwórczej nie powiększa zarobków i wpływa jedynie na podwyżkę wartości ziemi. Renta pochłania wszelkie zyski i dla tego nędza współlistnieje z postępem. Nie mamy potrzeby przytaczać faktów na potwierdzenie słów naszych. Fakta same następują się uwadze czytelnika. Fakt to powszechny, że jak tylko wartość ziemi zaczyna wzrastać, natychmiast objawiają się rażące sprzeczności między zamożnością i niedostatkiem, że gdzie wartość ziemi jest wysoką bardzo, najwytworniejszy zbytek ukazuje się obok najstraszniejszej nędzy. Jeśli chcesz zobaczyć istoty ludzkie w najrozpaczliwszem, najnędzniejszym położeniu, to nie szukaj ich wśród szerokich stepów ani w szalasach, wzniesionych wśród świeżo wykarczowanych lasów, gdzie człowiek, posługując się tylko rękoma, walkę z przyrodą rozpoczyna, lecz udaj się do wielkich miast, w których posiadanie małej piędzi ziemi już majątek stanowi.

KSIĘGA IV.

Wpływ postępu materialnego na podział bogactw.

Jak dotąd jest rzeczą wątpliwą, czy wszystkie udoskonalenia w przemyśle ulżyły ciężkim trudom chociażby jednej istoty ludzkiej.

John Stuart Mill.

ROZDZIAŁ I.

Momenty dynamiczne w postawionem przez nas zadaniu.

Rozpatrując rentę jako zagarniętą przez właścicieli ziemskich nadwyżkę wytworów, nadwyżkę którą postęp materialny przysporzył, a której praca nie otrzymała, uważając dalej, że antagonizm interesów nie zachodzi, jak ogólnie mniemają, między pracą i kapitałem, lecz w rzeczy samej między pracą i kapi-

tałem z jednej strony a władaniem ziemią z drugiej, doszliśmy do wyniku, mającego nader ważne praktyczne następstwa. Nie mamy jednak potrzeby rozwodzić się nad nimi obecnie, gdyż nie rozwiązaliśmy jeszcze w zupełności zagadnienia postawionego na samym wstępie. Twierdzić, iż cena zarobku jest niską z powodu wzrostu renty jest to samo co utrzymywać, że statek parowy porusza się dlatego, że koła jego się obracają. Zachodzi teraz pytanie, co spowodowywa wzrost renty? Jaka siła lub konieczność sprawia, że—w miarę wzrostu sił wytwórczych—coraz większa część wytworów przypada w udziale rencie?

Ricardo wskazuje jeden tylko powód wzrostu renty a mianowicie wzrost ludności, która, wymagając coraz to większej dostawy żywności, sprawia, iż uprawianemi być muszą mniej urodzajne kraje lub mniej żyzne okolice danego kraju; uwaga zaś innych autorów jest tak wyłącznie zwróconą na przejście uprawy roli od ziemi lepszej do gorszej jako na przyczynę wzrostu renty, że Carey (i następcy jego profesor Perry i inni) wyobraził sobie, że zbijając twierdzenie, jakoby rolnictwo przechodziło od uprawy lepszych gruntów do gorszych, obalił tem samem teorię renty Ricarda *).

Następnie, jakkolwiek jest niewątpliwie prawdziwem, że wzrost ludności, zmuszając do uprawiania gorszej ziemi, dąży do podniesienia renty i podnosi ją w samej rzeczy, to jednak nie sądzę, by wszystkie wnioski, wyprowadzane zazwyczaj z tej zasady, były uzasadnione lub, ażeby zasada ta w zupełności objaśniała wzrost renty w miarę wzrostu postępu materialnego; istnieją oczywiście inne przyczyny wywołujące podwyżkę renty, lecz zostały one zapoznane w skutek błędnych, a ogólnie podzielanych, poglądów na działalność kapitału i genezę zarobku. Aby poznać jakie mianowicie są owe przyczyny i w jaki sposób one działają, zaznaczymy naprzód wpływ postępu materialnego na podział bogactw.

Trzy zmiany społeczne przyczyniają się do postępu materialnego: 1) wzrost ludności, 2) udoskonalenie sposobów wytwa-

*) Co do tego, należy zsuważyć: 1) że zarówno postęp rolnictwa w Nowych Stanach Zjednoczonych jak i charakter ziemi leżącej odłogiem w Starych stwierdza ten fakt powszechny, że rolnictwo przechodzi od uprawy lepszej do gorszej ziemi; 2) że bez względu na to, czy wytwarzanie przechodzi od ziemi bezwzględnie lepszej do bezwzględnie gorszej, czy na odwrót (a wiele wskazówek świadczy, iż pojęcie lepszej i gorszej ziemi zależy od stopnia naszych wiadomości o niej i że przyszłość może odkryć dodatnie cechy w gruntach uważanych dziś za zupełnie jałowe) z natury umysłu ludzkiego wypływa, że dąży ono i musi dążyć do przechodzenia od gruntów uznanych za lepsze do ziemi uważanej w obecnych warunkach za gorszą; 3) że prawo renty Ricarda opiera się nie na kierunku w jakim dąży rolnictwo, lecz na twierdzeniu, że jeżeli ziemia danej dobroci przynosi cokolwiek, to grunt urodzajniejszy przyniesie więcej.

rzania i wymiany i 3) udoskonalenia w zakresie wiedzy, wychowania, systematów rządowych, policyjnych urzędów, obyczajów i moralności, o ile one potęgują siłę wytwarzania bogactwa. W pojęciu ogółu postęp materialny składa się z tych trzech pierwiastków, w kierunku których, aczkolwiek w różnym stopniu, postępowały zawsze wszystkie postępowe narody. Ponieważ wzrost wiedzy, ulepszenie systematu rządowego wywołują te same skutki co udoskonalenie rzemiosł, jeżeli będziemy zapatrywać się na nie jako na siły ekonomiczne, nie mamy przeto potrzeby rozbierać ich po szczególe pod tym względem. Następnie możemy rozpatrzyć, jaki wpływ na nasze zagadnienie wywiera postęp intelektualny lub moralny. Obecnie mamy do czynienia z postępowaniem materialnym, do wzrostu którego warunki powyższe przyczyniają się o tyle tylko, o ile wzmagają siłę wytwarzania bogactwa, skutki ich zaś poznamy, mówiąc o skutkach wynikających z udoskonalenia rzemiosł.

Aby określić wpływ postępu materialnego na podział bogactw, zaznaczmy naprzód, jakie skutki wynikają ze wzrostu ludności niezależnie od udoskonalenia rzemiosł, następnie zaś rozpatrywać będziemy, jakie skutki wynikają z udoskonalenia rzemiosł niezależnie od wzrostu ludności.

ROZDZIAŁ II.

Wpływ wzrostu ludności na podział bogactw.

Rozprawy ekonomiczne twierdzą, że wzmagająca się ludność wywołuje podwyżkę renty dlatego, że zwiększone żądanie środków do życia zmusza do uprawy gorszych gruntów. Tak więc jeżeli w danych warunkach zaludnienia, oznaczmy wydajność gruntów ostatnio zajętych przez cyfrę 30, to wszelka ziemia, której siły wytwórcze przewyższają 30, daje rentę. Jak tylko ludność się podnosi, powstaje żądanie nowych środków do życia, i, aby je otrzymać, należy rozszerzyć zakres rolnictwa wskutek czego te ziemie, które dawniej nie dawały renty, będą ją przynosić. Jeżeli zakres rolnictwa rozszerzy się aż do gruntów dających 20, to wszelka ziemia między 20 i 30 będzie przynosić rentę i mieć swoją wartość, renta zaś i wartość ziemi przewyższającej 30 będzie zwiększoną.

Na tym to punkcie teoria Malthusa znajduje poparcie w ogólnie przyjętych twierdzeniach o rencie, poparcie, o którym wspominałem, wyliczając przyczyny, które sprawiły, iż teoria ta rządzi tak samowładnie myślą ogółu. Zgodnie z teorią Malthusa brak środków do życia uwidocznia się coraz bardziej w miarę wzrostu ludności i jakkolwiek każde nowe usta przynoszą z sobą na świat nowych rąk parę, to jednak—wyrażając się słowami Johna Stuarta Milla—nowym tym rękom coraz trudniej zdobyć pożywienie dla nowych ust. Zgodnie z teorią renty Ricarda, renta powstaje w skutek niejednostajnej żyzności uprawianych gruntów, a według objaśnień Ricarda i następujących po nim ekonomistów—wzrost renty, współlistniejący zawsze ze wzrostem ludności (jak nas tego uczy doświadczenie) spowodowany jest tem, że otrzymanie większej ilości pożywienia wymaga większych kosztów, co zmusza ludność do uprawiania gorszych gruntów i jednocześnie podnosi rentę. Tak więc obie te teorye godzą się z sobą i ukrywają prawdę, jak tego już uprzednio dowiodłem; prawo renty staje się tylko poszczególnem zastosowaniem ogólniejszej zasady, głoszonej przez Malthusa, a wzrost renty równomiernie ze wzrostem ludności jest tylko dowodem bezlistności działalności tejsze zasady. Wspominam o tem nawiasowo jedynie, obecnie bowiem musimy wykryć błąd, który sprawił, że teoria renty została podtrzymana przez twierdzenie, które jej w rzeczywistości nie daje żadnego poparcia. Z teorią Malthusa doszliśmy już do porządku, obecnie uniemożliwimy czytelnikowi wszelkie wątpliwości i zbijemy wszelkie zarzuty, skoro dowiedzimy, że zjawiska społeczne, przypisywane wzrostowi ludności nadmiernemu w stosunku do istniejących środków do życia, miałyby miejsce przy istniejących warunkach wtedy nawet, gdyby ilość zaludnienia nie ulegała zmianie.

Błąd, o którym wspominałem, a który należy wyjaśnić, aby zrozumieć dokładnie wpływ wzrostu ludności na podział bogactw, polega na mniemaniu, zawartem we wszystkich rozprawach o stosunku renty do zaludnienia, iż zajmowanie coraz to mniej wydajnych gruntów jest wynikiem prawa o coraz mniejszym wzrastaniu produktu odpowiednio do wkładanej pracy. Dowodem jednak, że nie zawsze tak się dzieje, są np. udoskonalenia w rolnictwie, które według Milla należy uważać za częściowe rozluźnienie więzów, krępujących wzrost ludności. Lecz gdyby nawet technika rolnictwa nie posuwała się naprzód, to i wtedy wzięcie pod uprawę gorszych gruntów byłoby tylko następstwem zwiększonego zapotrzebowania wzrastającej ludności. Wzrost bowiem zaludnienia wywołuje sam z siebie bez żadnego rozwoju rzemiosł, wzrost sił wytwórczych pracy. Praca 100 ludzi przyniesie—jeżeli inne warunki pozostaną też same—przeszło 100 razy więcej niż praca jednego człowieka, a praca 1000 ludzi przyniesie przeszło dziesięć razy więcej niż praca 100 ludzi, tak że każda, przybywająca ze wzrastającą ludnością, dodatkowa para rąk powiększy

wytwórcze siły pracy więcej niż stosunkowo. A zatem można uciekać się z powodu przybytku ludności do uprawy gorszych gruntów, chociażby ani wogóle przeciętna ilość produktów w stosunku do włożonej pracy ani w szczególności wydajność pracy na najgorszych gruntach—wcale się nie zmniejszyły. Skoro tylko ludność się podwoi, grunt, którego urodzajność wyrazimy przez 20, może przy tej samej ilości pracy przynieść tyle dochodu, ile go przedtem przynosił grunt urodzajności oznaczonej przez nas cyfrą 30. Nie należy bowiem zapominać (o czem zapominamy często), że wytwórczość czy to ziemi czy pracy trzeba porównywać nie z jednym przedmiotem lecz z ogółem przedmiotów żądanych. Rodzina osadnika zamieszkała o setki mil od najbliższej siedziby ludzkiej może zebrać tyle zboża ze swego kawałka ziemi, jakby ten był położonym w środku zaludnionej dzielnicy. Lecz w miejscowości zaludnionej mogliby oni mieć przy tej samej pracy równie dobre utrzymanie z gorszego gruntu lub też z równie dobrego po opłaceniu wysokiej renty, gdyż wśród gęstego zaludnienia praca ich byłaby dużo wydajniejszą, może nie odnośnie do wytwarzania zboża, lecz odnośnie do wytwarzania bogactwa w ogólności czyli odnośnie do otrzymania wszystkich wygód i usług, będących istotnym przedmiotem pracy.

Zresztą chociażby nawet wytwórczość pracy na ziemiach ostatnio zajętych się zmniejszyła, chociażby zwiększone zapotrzebowanie na produkta popełnić miało ludność ku gruntom tak mało urodzajnym, że pomimo spotęgowanej w skutek wzrostu ludności siły wytwórczej pracy wydajność ich okazałaby się mniejszą, to jeszcze z tego nie wynika, by przeciętna suma wytworów zmniejszyła się w stosunku do przeciętnej ilości włożonej pracy.

Weźmy np. ziemię rozmaitą coraz to mniej urodzajną. Naturalnie, że najpierwej zostałaby zamieszkaną najlepsza i dopiero w miarę wzrostu ludności zajmowanoby coraz gorszą i tak dalej. Lecz ponieważ wzrost zaludnienia, dozwalając na większe oszczędności, potęguje wytwórczość pracy, zatem ta sama przyczyna, która sprawiła, że wszelkie gatunki ziemi zostały z biegiem czasu wzięte pod uprawę, powiększyłaby jednocześnie ogół bogactwa otrzymanego z tej ziemi przez tę samą ilość pracy. Przyczyna ta sprawiłaby nawet więcej; spotęgowalaby ona możliwość wytwarzania bogactwa ze wszystkiej lepszej a dawno już uprawianej ziemi. Gdyby stosunek ilości do jakości był taki, że wskutek wzrostu zaludnienia powiększenie się wytwórczości pracy postępowałoby szybciej jeszcze aniżeli zajmowanie pod uprawę gorszych gruntów, to minimalne wynagrodzenie pracy zwiększyłoby się pomimo tego, że wydajność ostatnio zajętych gruntów zniżyłaby się a renta poszłaby w górę. Czyli innymi słowy, zarobek wzniósłby się ilościowo, jakkolwiek musiałby spaść stosunkowo. Zwiększyłoby się bowiem przeciętne wytwarzanie bogactwa. Gdyby stosunek był taki, że zwiększona wytwórczość

pracy mogłaby w zupełności powetować zmniejszoną żyzność świeżo zajętej przez uprawę ziemi, to wzrost ludności, nie zmniejszając zarobków ilościowo, podniósłby rentę w skutek zmniejszonej wydajności ostatnio zajętych gruntów i powiększyłby ogólne wytwarzanie. Jeżeli przypuścimy, że ludność wzrasta ciągle, lecz że pomiędzy najuboższą uprawianą ziemią a następną gorszą zachodzi różnica tak wielka, iż zwiększona wskutek wzrostu ludności wytwórcza siła pracy powetować jej nie może — to minimalne wynagrodzenie pracy zostanie zmniejszonym i wraz ze wzrostem renty zarobek obniży się nietylko stosunkowo, lecz i bezwzględnie. Lecz choćby nawet obniżenie się jakości stopniowo zajmowanych gruntów było szybszem niż sobie wyobrazić możemy i niż gdziekolwiek się zdarza, to jeszcze przeciętna produkcya podniesie się, gdyż wzrost ludności, który spowodowywał uprawę gorszych gruntów, powiększy wydajność pracy, a zysk otrzymany z uprawy lepszych gruntów wynagrodzi w zupełności wytwarzanie zmniejszone na gorszej ziemi. Przyrost produktu będzie zawsze większym w stosunku do ilości dodatkowo włożonej pracy, jakkolwiek podział jego będzie mniej jednostajnym.

A zatem wzrost ludności, spowodowując rozszerzenie zakresu wytwarzania, podnosi rentę i zmniejsza zarobek stosunkowo, przyczem może zmniejszać lub niezmniejszać zarobku ilościowo. Lecz nietylko że rzadko a prawdopodobnie nigdy nie zmniejsza przyrostu produktu w porównaniu do dodatkowych wkładów pracy, lecz wprost przeciwnie i w większości wypadków w wysokim stopniu go podnosi. Jednakże jakkolwiek wzrost ludności podnosi rentę, obniżając stopień uprawy, byłoby wszakże błędem zapatrywać się, iż w ten tylko sposób przybytek ludności wpływa na wzrost renty. Wzrost ludności podnosi rentę bez obniżki przeciętnej wydajności roli i — bez względu na mniemanie pisarzy takich jak Mc. Culloch, który twierdzi, że renta nie podnosiłaby się wcale, gdyby istniały bezgraniczne przestrzenie jednakowo urodzajnej ziemi, — wzrost ludności podnosi rentę niezależnie od naturalnych warunków gruntu, gdyż spotęgowana możność współdziałania i wymiany, towarzysząca wzmagającej się ludności równoważy, a nawet bez przenośni rzecz mogę, nadaje zwiększoną wartość ziemi.

Nie chcę powiedzieć tego tylko, że wynikająca z przybytku ludności siła — podobnie jak udoskonalenie sposobów lub narzędzi wytwarzania — sprawia, iż ta sama praca przynosi większe rezultaty, równoważące powiększenie naturalnych przymiotów ziemi; lecz nadto, że nadaje pracy wyższą umiejscowioną w ziemi siłę, przynależną nietylko pracy włożonej w pewne grunta, lecz pracy wogóle, i która tkwi w ziemi podobnie jak wszelkie zalety gruntu, klimatu, pokładów mineralnych lub naturalnego położenia i, zarówno jak one, przechodzi wraz z posiadaniem ziemi do nowego nabywcy.

Udoskonalenie sposobów rolnictwa, które dadzą przy tym samym nakładzie dwa zbiory rocznie zamiast jednego, lub też ulep-

szenie narzędzi i maszyn, podwajające rezultaty pracy, będą miały na pojedynczym kawałku ziemi ten sam wpływ na wytwarzanie co podwojenie żyzności gruntu. Lecz różnica polega na tem: udoskonalenia rolnicze lub narzędzi mogą być użytkowane wszędzie, podczas gdy powiększenie żyzności może być użytkowanym tylko w danej miejscowości. Wynikające zaś ze wzrostu zaludnienia spotęgowanie wytwórczości pracy może być użytkowanym po większej części tylko w pojedynczej miejscowości i to w niejednakowym stopniu.

Wyobraźmy sobie, że przed nami rozciąga się bezbrzeżny step, pokryty trawą i kwieciami, drzewami i strumykami tak, że oko wędrowca nuży się nakoniec tą jednostajnością. Oto przybywa pociąg, przywożący pierwszego przybysza.—Sam on nie może określić gdzie się osiedli: każdy akr ziemi wydaje mu się równie dobrym jak sąsiedni. Żyzność gruntu, położenie jego, zapas drzewa lub wody nie pozostawiają mu żadnego wyboru, ten zbytek bogactwa przeraża go. Zmęczony poszukiwaniem miejscowości dogodniejszej od innych, zatrzymuje się gdzieś, by urządzić sobie dom mieszkalny. Bogactwo natury jest niezmiernem: grunt dziewiczy, zwierzyny poddostatkiem, w potokach polyskują pyszne pstragi. To, co posiadać jest w stanie, uczyniłoby go bogaczem, gdyby się znajdował w miejscowości zaludnionej a jednak w rzeczywistości czuje się nader ubogim. że już nie wspomnę o tej tęsknocie moralnej, która sprawia, iż przyjąłby z otwartemi rękoma każdego nieznanego. Pracuje w zupełnej samotności, jedyną pomocą w wypełnieniu ciężkich robót, wymagających większego połączenia sił, jest mu jego własna rodzina. Ma on wprawdzie bydło lecz rzadko kiedy spożywa świeże mięso, bo trzeba by zabić bawołu, chcąc zdobyć kawałek pieczeni. Zmuszony jest być swoim kowalem, cieślą, szewcem, słowem terminuje we wszystkich rzemiosłach, nie mogąc wydoskonalić się w żadnym. Dzieci jego uczyć się nie mogą, gdyż musiałby sam opłacać i utrzymywać nauczyciela. Przedmioty, których samemu wytworzyć niepodobna, musi on kupować w większych ilościach lub obywać się bez nich, gdyż jest rzeczą niepodobną odrywać się co chwila od pracy i odbywać długą podróż do ucywilizowanych miejscowości, a w razie koniecznej potrzeby nabyć flaszki lekarstwa, lub zastąpienie złamanego świdra nowym opłaca nieraz kilkodniową pracą swoją i koni roboczych. W podobnych warunkach człowiek jest ubogim pomimo obfitości darów przyrody. Łatwo mu wprawdzie znaleźć dostateczną ilość pożywienia, lecz poza tem praca jego wystarcza zaledwie na nader niedostateczne zaspokojenie najpierwszych potrzeb.

Wkrótce potem przybywa nowy wędrowiec. Jakkolwiek wszelkie punkta bezbrzeżnego stepu przedstawiają jednakie dogodności, nie kłopotuje on się gdzieby się osiedlić. Wprawdzie wszystka ziemia jest równie dobra, istnieje jednak jedna miej-

scowość najwygodniejsza dla niego, a mianowicie ta, w której już mieszka jeden osadnik i gdzie będzie mógł mieć sąsiada. Osiedla się on obok pierwszego przybysza, którego warunki bytu polepszają się natychmiast i który może już teraz doprowadzić do skutku wiele prac niemożliwych przedtem, albowiem dwóch ludzi może sobie pomóc wzajemnie w zajęciu, którego jeden nigdy dokonać nie będzie w stanie.

Gdy przybędzie nowy wędrowiec osiedli się on z tych samych powodów tam, gdzie już znajduje dwóch, napływ przybyszów trwa ciągle tak, że około pierwszego osadnika gromadzi się wkrótce garstka sąsiadów. Praca staje się teraz dużo wydajniejszą, niż nią być mogła dla samotnego kolonisty. Ciężką robotę, któraby dawniej wymagała lat całych, osadnicy dokonywają w przeciągu jednego dnia. Gdy jeden z nich ubije wołu, inni biorą część z niego i dzielą się w zamian swoją zdobyczą tak, że na świeżem mięsie nigdy nie zbywa. Za wspólne pieniądze najmuja nauczyciela i dzieci każdego z nich uczą się za część tego, coby pojedyncza nauka kosztowała pierwszego kolonistę. Posłanie do najbliższego miasta staje się rzeczą dużo łatwiejszą, gdyż prawie zawsze jest okazya. Zresztą potrzeba podobnych podróży coraz mniej czuć się daje. Kowal i kołodziej wkrótce zakładają swoje warsztaty i kolonista może kazać naprawić swoje narzędzia za mniejszą cenę pracy, niż go uprzednio kosztowały. Nowo otworzone sklepy pozwalają mu nabywać konieczne przedmioty w miarę potrzeby a dzięki urzędowi pocztowemu utrzymuje on stałe stosunki z resztą świata. Zjawia się szewc, cieśla, rymarz, doktor, powstaje mały kościółek. Używają oni rozkoszy, niedostępnych dawniej w stanie samotności. Mogą oni zadowolić swe potrzeby społeczne i umysłowe czyli to, co wyróżnia człowieka od zwierząt. Potęga sympatyi, poczucie koleżeństwa, współzawodnictwo oparte na porównaniu i kontrastach nadają życiu charakter więcej urozmaicony, rozleglejszy. Radość i smutek dzielają inni. Podczas uczyty weselnej jest komu podziwiać i cieszyć się, umarły nie jest sam w domu pogrzebowym, a sympatya ludzka pociesza stroskanych krewnych, stojących przy świeżej mogile ukochanej istoty.

Przypadkowo zjawia się wędrowny nauczyciel, który przynosi im wieści ze świata literatury, nauki i sztuk pięknych, w chwili wyborów znajdują się mówcy i w obywatelu rozwija się poczucie własnej godności i siły, gdy widzi, iż stając w walce wyborczej po stronie Pawła lub Gawła może wpłynąć na bieg spraw państwowych. Po niejakiem czasie przybywa cyrk, o którym oddawna rozprawiano a który ukazuje dzieciom zaczarowane krainy wyobraźni: zjawiają się książęta i księżniczki znane z czarodziejskich powieści, uzbrojeni rycerze i Maurzy w turbanach, zaklęty wóz Cinderelli i olbrzymie, znane z opowiadań piastunek, lwy które niegdyś człgały się u stóp Daniela i rozdzierały męczenników chrześcijańskich w kulistych amfiteatrach Rzy-

mu, wielbłądy podobne do tych które widziały, jak źli bracia wydobywali Józefa ze studni i zaprzędawali go w niewolę lub też strusie przywodzące na myśl piaszczyste pustynie. Spróbujcie pójść do naszego kolonisty i powiedziec mu: „Posiadasz tyle drzew owocowych, zasadzonych własną ręką, urządziłeś tyle ogrodzeń, studnię dom—słowem pracą swoją zwiększyłeś znacznie wartość tej ziemi. A jednak nie jest już ona tak żyzną jak przedtem. Zbierałeś z niej plon kilka razy i wkrótce potrzebować będzie nawozu. Zwroćę ci całą wartość włożonych ulepszeń, jeżeli zgodzisz się oddać mi twój grunt i udać się znów z rodziną twoją do miejscowości bezludnej.“ Roześmieje się on tylko. Ziemia nie daje mu wprowadzić więcej pszenicy lub kartofli jak przedtem, lecz dostarcza mu więcej wygód i lepiej zaspokaja jego potrzeby. Praca jego nie przynosi większych ani cenniejszych rezultatów, lecz przynosi mu wiele innych rzeczy, dla otrzymania których ludzie pracują. Obecność innych kolonistów—t. j. wzrost ludności—zwiększyła pod tym względem wytwórczość zużytej pracy, co nadaje ziemi tej pewną wyższość nad wszelką inną równie bogato uposażoną przez przyrodę lecz niezamieszkałą dotychczas. Jeżeli niema już do objęcia w posiadanie innej ziemi oprócz takiej, któraby była tak odległą od miejscowości zaludnionych jak osada naszego kolonisty, gdy przybył doń po raz pierwszy, to wartość czyli renta z tej ziemi mierzy się ogółem tej powiększonej wytwórczości. Jednakże jeżeli, jakżeśmy przypuścili uprzednio, grunt równie urodzajny rozciąga się bez granic, to nowy przybysz nie potrzebuje już udawać się na pustynię jak pierwszy. Osiedli się obok innych kolonistów, by korzystać z bliskiego ich sąsiedztwa. A zatem wartość ziemi naszego kolonisty czyli renta z niej zależeć będzie od przewagi jaką ma ta ziemia, będąca centrem zaludnienia, nad innymi położeniami dalej. W pierwszym razie norma wytwarzania zostanie ta sama,—w drugim zaś wzniesie się ona.

Ludności przybywa coraz więcej, a wynikające wskutek tego coraz nowe oszczędności powiększają istotnie wytwórczość ziemi. Magazyn, kuźnia kowala, sklep kołodzieja, powstają na gruntach naszego pierwszego kolonisty, jako w centrum zaludnienia, lub też na granicy jego posiadłości, gdzie nowo utworzona wioska wkrótce zamieni się w miasto i staje się ogniskiem wymiany dla ludności całego okręgu. Wytwórczość tej ziemi powiększa się znacznie, choć naturalne jej bogactwo w niczem się nie podniosło. Praca włożona w uprawę żyta, pszenicy lub kartofli nie wytworzy większej ilości tych przedmiotów niż uprzednio, lecz praca włożona w różnorodne gałęzie wytwarzania, wymagające sąsiedztwa innych wytwórców a szczególniej praca, włożona w ten ostateczny dział wytwarzania, jakim jest podział bogactw, przyniesie znacznie większe rezultaty. Rolnik może powędrować dalej i znaleźć ziemię, na której praca jego wytworzy takąż samą ilość pszenicy i prawie tyleż bogactwa, lecz rze-

mieślnik, przemysłowiec lub kupiec znajdują, że praca ich użytkowana tutaj w ognisku wymiany, może przynieść dużo więcej, niż gdyby się osiedlili choć trochę dalej i właściciel gruntu ma prawo domagać się tej przewyżki wytwórczości tak samo, jakby miał prawo żądać dla siebie zwiększonego zbioru pszenicy. Wskutek tego nasz kolonista może sprzedać pod budowę kilka akrów swej ziemi za cenę, którejby nie dali mu rolnicy, gdyby nawet urodzajność gruntu znacznie się zwiększyła. Za otrzymaną intratę wznosi on wspaniały dom i urządza go kosztownie, ludzie chcący użytkować z ziemi zbudują mu i urządzą dom pod warunkiem, że dozwoli im korzystać z tej spotęgowanej wytwórczości, jaką wzrost zaludnienia nadał ziemi.

Napływ ludności nie ustaje wcale zwiększając wartość ziemi i bogactwo jej właściciela. Miasto rozszerza się coraz bardziej, dosięga rozmiarów St. Louis, Chicago lub San-Francisco. Wytwarzanie odbywa się na wielką skalę przy pomocy najlepszych maszyn i wszelkich możliwych udoskonaleń, podział pracy staje się nadzwyczaj szczegółowym, potęgując stokrotnie wydajność tejże, wymiana odbywa się w takich rozmiarach i z taką szybkością, że nie pociąga za sobą żadnych prawie strat. Tu jest serce, tu mózgowie tego olbrzymiego organizmu społecznego, który się rozwinął z zarodka pierwszej osady, tutaj się roi jedno z wielkich mrowisk ludzkości, Tu zbiegają się wszystkie drogi, jakkolwiek wielkie przestrzenie leżą w pobliżu. Jeżeli masz co sprzedać, tu znajdziesz targ, jeżeli chcesz nabyć, tu jest największy i najbogatszy wybór. Tu jest ognisko działalności umysłowej, ztąd powstaje bodziec wynikły z zetknięcia się umysłów ludzkich. Tu znajdziesz wielkie księgarnie, magazyny wiedzy, uczonych, profesorów, sławnych specjalistów. Tu są muzea i galerie sztuk pięknych, gabinety przyrodnicze i zbiory wszelkich przedmiotów rzadkich, wartościowych i najdoskonalszych. Tu przybywają sławni aktorzy, mówcy i śpiewacy z całego świata. Słowem, tu jest ognisko życia ludzkiego w najróżnorodniejszych jego objawach.

Korzyści, których ta ziemia obecnie pracy dostarcza są tak olbrzymie, że zamiast jednego człowieka uprawiającego całe akry ziemi przy pomocy jednego konia, znajdujemy na każdym akrze tysiące robotników pracujących warstwami w budynkach wznoszących się na pięć, sześć, siedm lub ośm pięter ponad ziemię, podczas gdy pod jego powierzchnią tętnią maszyny zużywające siłę tysiąca koni.

Wszystkie te korzyści są udziałem tej tylko ziemi, tu a nie gdzieindziej użytkowanymi być mogą, gdyż tutaj jest centr zaludnienia—ognisko wymiany, rynek i warsztat najróżnorodniejszych gałęzi przemysłu. Wytwórczość, jaką gęstość zaludnienia nadała tej ziemi równoważę stokrotne lub nawet tysiąckrotne powiększenie pierwotnej jej urodzajności. W tym samym stosunku wzrosła renta, której wysokość zależy od różnicy pomiędzy

tą zwiększoną wytwórczością a wydajnością najmniej urodzajnej uprawianej ziemi. Nasz kolonista lub ktokolwiek odziedziczył po nim prawa do tej ziemi, jest obecnie milionerem, a bogactwo swoje zawdzięcza on nie własnej działalności, lecz wzrostowi zaludnienia. W głównych ulicach wznoszą się wspaniałe budowle z granitu, marmuru lub żelaza zbudowane w najwytworniejszym stylu, urządzone z największym przepychem. Nie przedstawiają one jednak tej wartości, co ziemia, na której stoją, chociaż ona nie była warta wtedy, gdy nasz kolonista przywędrował do niej po raz pierwszy.

Ktokolwiek zechce rozejrzeć się naokoło siebie w społeczeństwie postępowem, dostrzeże, że wzrost ludności wpływa w ten właśnie sposób na podniesienie renty. Postęp ten rozwija się nieustannie w jego oczach. Owa różnica w wytwórczości ziemi zależy nie tyle od tego, że zwiększone potrzeby nowej ludności spowodują uprawę gorszej ziemi, jak raczej od wynikającego ze wzrostu ludności spotęgowania wytwórczości ziemi dawniej już uprawianej. Nie najurodzajniejsze krainy, lecz te, których wytwórczość powiększył wzrost ludności są dziś najbogatszymi i przynoszą największą rentę.

Ta zwiększona wytwórczość, jaką wzrost ludności nadaje pewnym krajom, w sposób na który zwracalem uwagę, odnosi się li tylko do przestrzeni. Wartość ziemi, będącej ogniskiem zaludnienia, nie zależy od tego, czy grunt tam żyzny, nasypowy jak w Filadelfii, czy jest bogatą niziną jak Nowy Orlean bagniskiem jak Petersburg lub też przedstawia piaszczystą wydmy jak większa część San Francisco

Tam nawet gdzie wartość ziemi zdaje się wypływać z obfitości darów przyrody—w krainach dobrze nawodnionych, posiadających znakomite przystanie albo bogate kopalnie węgla lub żelaza—doświadczenie wykazuje, że ludność jedynie może wydobyć i zużytkować te skarby, dane przez przyrodę. Istniejące w Pensylwanii pokłady węgla i żelaza które dziś są warte olbrzymie sumy, nie przedstawiały żadnej wartości lat temu pięćdziesiąt. Co stanowi istotną przyczynę tej różnicy? Nie innego, jak tylko różny stopień zaludnienia. Nie mające dziś żadnej wartości kopalnie węgla i żelaza w Wyoming lub Montana, za lat pięćdziesiąt będą warte miliony dlatego tylko, że ludność wzrośnie znacznie przez ten czas.

Streszczamy zatem: Skutki wzrostu ludności dla podziału bogactw są takie, że podnosi on rentę (a zatem zmniejsza dział wytworów przynależny kapitałowi i pracy) w dwojaki sposób: *po pierwsze*: obniża on stopień wydajności wziętych pod uprawę gruntów, *podrugie* zaś: daje możność korzystania z nieznanych przedtem zalet gruntu i nadaje nowe własności niektórym miejscowościom.

Śmiem sądzić, że ten ostatni sposób, na który ekonomia polityczna tak mało zwracała uwagi, jest w gruncie rzeczy du-

zo ważniejszym. Nie mamy jednak czasu obecnie nim się zajmować.

Wytwarzanie i wpływ, nie tylko potrzeb materialnych i wszelkich bogactw.

ROZDZIAŁ III.

Wpływ rozwoju techniki na podział bogactw.

Widzieliśmy jak wzrost ludności wpływa na podział bogactw, przyczem wyłączyliśmy wpływ rozwoju rzemiosł. Teraz zaś wyłączymy wpływ wzrostu ludności i przekonamy się, w jaki sposób rozwój rzemiosł wpływa na podział bogactw.

Wiemy już, że wzrost ludności podwyższa rentę przez powiększenie wytwórczości ziemi. Jeżeli teraz potrafimy dowieść, że udoskonalenie sposobów wytwarzania i wymiany podwyższa rentę—niezależnie od wzrostu ludności, to obalimy ostatecznie teorię Malthusa i wszystkie powstałe z niej lub będące w pewnym z nią związku zasady, albowiem nie odwołując się do mniemania, jakoby ludność wzrastała nadmiernie w stosunku do istniejących środków życiowych, wykazemy, iż rozwój postępu materialnego obniża cenę zarobku i pogarsza położenie najniższej warstwy społecznej. Powierzchnowe nawet badanie przekonywa, iż tak jest w istocie.

Wynalazki i udoskonalenia rzemiosł mają na celu zaoszczędzenie pracy t. j. dążenie, by mniejsza praca dawała też same rezultaty lub, by taż sama praca przynosiła więcej.

W takim stanie społeczeństwa, w którymby praca służyła li tylko do zaspokojenia potrzeb materialnych i gdzieby nie było możności stworzenia nowych potrzeb, wynalazki oszczędzające pracę miałyby jedynie na celu zmniejszenie ilości wydatkowanej pracy. Lecz podobne społeczeństwo, jeżeli je znajdziemy gdziekolwiek (o czem powątpiewam) istnieje tam tylko gdzie jednostka ludzka jest zupełnie podobną do zwierzęcia. W społeczeństwach tak zwanych ucywilizowanych, których warunki bytu rozpatrujemy w tem dziele, dzieje się wprost naodwrot. Ilość potrzeb nie jest stałą lecz zwiększa się w miarę wzrostu ludności. Potrzeby każdej jednostki wzrastają w miarę jak wzrasta możność otrzymania rzeczy żądanych. Nie można przyrównywać człowieka do wołu, który najadłszy się do syta, kładzie się, by przeżuć pożywienie; jest on raczej podobnym do nigdy nienasyconej pijawki. „Jak dostanę pieniędzy — mówił

Erazm Rotterdamski — kupię kilka greckich dzieł, a następnie trochę odzieży." Nigdzie ilość wytworzonego bogactwa nie jest proporcjonalną do żądzy posiadania go, żądza ta wzrasta zawsze, jak tylko się zdarzy sposobność zaspokojenia jej.

Jeżeli tak jest w istocie, to wynalazki oszczędzające pracę, zwiększają wytwarzanie bogactwa. Lecz do wytworzenia bogactwa potrzeba dwóch czynników — pracy i ziemi. A zatem wynalazki oszczędzające pracę wpływają na powiększenie popytu na ziemię, tam zaś gdzie lepsza ziemia jest już zajęta, zmuszają do uprawy gorszych gruntów lub mniej żyznych okolic. Pierwszem więc następstwem wynalazków jest spotęgowanie sił wytwórczych pracy, drugim — rozszerzenie zakresu rolnictwa i podwyższenie renty, gdy stopień wydajności branych pod uprawę gruntów się zmniejsza. Tam gdzie wszystka ziemia przeszła na własność prywatną, w Anglii np., lub gdzie zostaje objęta w posiadanie w miarę potrzeby, np. w Stanach Zjednoczonych. następstwem maszyn i wynalazków oszczędzających pracę jest wzrost renty bez podwyższenia zarobku lub procentu.

Punkt ten należy zrozumieć dokładnie, wykazuje on bowiem, że skutki przypisywane zazwyczaj wzrostowi ludności, wynikają w istocie z rozwoju przemysłu, i objaśnia fakt, przeobrażający zkaładną, iż zaprowadzenie maszyn oszczędzających pracę nie polepszyło położenia robotnika.

Ażeby jednak dokładnie pojąć tę prawdę, trzeba nieustannie mieć na myśli to, na co już uprzednio zwracałem uwagę, t. j. własność zamiennosci bogactw. Wspominam o tem raz jeszcze dla tego jedynie, że własność tę, ekonomiści piszący o wytworach rolnictwa, często zapoznawają lub przemilczają o niej, jakgdyby wymiana z procesem wytwarzania nie wspólnego nie miała, lub jakgdyby pojęcie „bogactwo“ nie obejmowało też pożywienia i środków do życia.

Proszę łaskawego czytelnika pamiętać o tem, na co już dostateczny kładłem nacisk, że posiadanie lub wytworzenie jakiegokolwiek postaci bogactwa jest w gruncie rzeczy posiadaniem lub wytworzeniem wszelkiej innej postaci bogactwa, na jaką wymiennionem być ono może, a proszę o to dlatego, by czytelnik zrozumiał, że do podniesienia renty przyczyniają się nie tylko te wynalazki, które mają na celu zaoszczędzenie pracy włożonej w ziemię, lecz także wszelkie wynalazki, w jakikolwiek sposób ułatwiają i oszczędzające pracę.

Wynika to bezpośrednio z podziału pracy, że praca każdej jednostki bywa użyta na wytwarzanie jednej tylko postaci bogactwa. Lecz jednostka ta pracując nie ma celu otrzymania pewnej szczególnej postaci bogactwa, chce ona osiąść wszelkie inne bogactwo zgodne z jej życzeniami. A zatem wynalazek, oszczędzający pracę użyta do wytworzenia jednego z żądanych przedmiotów, wywołuje w skutkach swych wzrost wytwarzania wszyst-

kich innych żądanych rzeczy. Jeżeli połowa pracy robotnika idzie na kupno pożywienia, druga zaś połowa na dostarczenie mu odzieży i schronienia, to wszelkie udoskonalenie powiększające możność nabycia żywności spotęguje również możność zapewnienia sobie odzieży i schronienia. Gdyby robotnik ów za równo żądał lepszego pożywienia jak i wygodniejszej odzieży i mieszkania, to wynalazek, ułatwiający mu jedną z tych prac ułatwiłby zarazem i drugą. Jeżeli wynalazek ów podwoi siłę pracy służącej do dostarczenia żywności, użyje on o trzecią część pracy mniej na wytworzenie pożywienia a o jedną trzecią więcej na nabycie odzieży i mieszkania. Jeżeli zaś wynalazek podwoi siłę jego pracy, służącej do zapewnienia odzieży i schronienia, użyje on o jedną trzecią część pracy mniej na wytworzenie tych przedmiotów a o trzecią część więcej na dostarczenie sobie żywności. W obu razach rezultat będzie jednaki--z tą samą pracą wytworzy on o trzecią część więcej co do ilości lub jakości potrzebnych przedmiotów.

Tak więc, gdzie tylko wytwarzaniu towarzyszy podział pracy między jednostki, tam zawsze wzrost siły, służącej do otrzymania jednego wytworu, zwiększa sumę sił użytych do wytwarzania innych przedmiotów, a ilość tychże wytworów do pewnego stopnia zależy od stosunku zaoszczędzonej pracy do ogółu pracy zużytej i od większego lub mniejszego stopnia pożądania tego wytworu. Nie mogę wyobrazić sobie takiej postaci bogactwa, której większe zapotrzebowanie nie wynikałoby z zaoszczędzenia pracy, koniecznej do wytworzenia wszelkiego innego bogactwa. Jako przykład przedmiotów, zapotrzebowanie których nie zwiększa się prawie wcale, podają nieraz katafalki i trumny, lecz jest to prawdziwem tylko co do ilości. Większe zaofiarowanie pociąga za sobą zapotrzebowanie kosztowniejszych katafalków i trumien, o czem nie może wątpić, ktokolwiek zauważył, jak dalece ludzie chcą ucześć pamięć zmarłego przez kosztowne pogrzeby.

Zapotrzebowanie żywności nie jest stałem, jak tego nieraz błędnie dowodzą ekonomiczne rozprawy. Słyszymy nieraz twierdzenie, że ilość środków do życia jest stałą; jest ona stałą pod tym tylko względem, że niżej pewnego minimum człowiek nie może się wyżywić, a przekroczenie pewnej ilości pokarmu sprawia go o chorobę. Lecz ponad wspomnianem minimum, ilość pożywienia zużytego przez człowieka może wzrastać prawie do nieskończoności. Adam Smith i Ricardo popierają dowodzenia swoje tem, że niewielkie rozmiary ludzkiego żołądka ograniczają zapotrzebowanie żywności; argument ten jest prawdziwym pod tym tylko względem, że skoro żołądek jest pełen to i uczucie głodu jest zaspokojonem. Zapotrzebowanie żywności nie podlega jednak podobnemu ograniczeniu. Żołądek Ludwika XIV, XV lub XVI nie może przyjąć ani strawić pokarmu więcej, niż żołądek wieśniaka tejże samej tuszy, ale podczas

gdy kilka pretów ziemi wystarczy na zaopatrzenie wieśniaka w chleb razowy i jarzyny, stanowiące jego pożywienie, potrzeba było setek tysięcy akrów ziemi, by odpowiedzieć potrzebom króla, który nie tylko sam używał najwykwintniejszych potraw, lecz nadto potrzebował ogromnych zapasów żywności dla służby, koni i psiarni dworskiej. A w życiu codziennem niezaspokojone choć często ukryte potrzeby każdego z nas wykazują, jak dalece wzrost siły użytej do wytworzenia jednej z postaci bogactwa pociąga za sobą większe zapotrzebowanie ziemi i pól niej. Człowiek, który się dziś zadawalnia prostemi potrawami i mieszka w skromnym domku, będzie bezwarunkowo sporządził sobie kosztowne pożywienie i przenieś się do obszerniejszego mieszkania, skoro tylko dochody jego się zwiększą. W miarę wzrastania majątku nabędzie on konie, ogrody i łąki, najmniejszą służbę, albowiem chęci korzystania z dóbr ziemskich zwiększają się razem ze wzrostem jego bogactwa. W mieście, w którym piszę te słowa znam kogoś — choć podobnych ludzi wszędzie znaleźć można — kto sam sobie niegdyś gotował fasolę i przysmażał słoninę, a teraz, wzbogaciwszy się, nabył wspaniały dom wielkości pierwszorzędnego hotelu, kilka rozległych włości i willi, posiada pyszną stadninę koni wyścigowych, wspaniałe obory i t. d. Naturalnie, że potrzeba tysiąc lub może parę tysięcy razy więcej ziemi, by zaspokoić potrzebę tego człowieka dzisiaj, niż jej było potrzeba dawniej, gdy był on ubogim.

Wszelkie zatem udoskonalenie, wszelki wynalazek, pozwalający pracy wytworzyć więcej bogactwa, pociąga za sobą większy popyt na ziemię i jej plony, a zatem podobnie jak potrzeby, wynikające z wzrostu ludności, usiłuje obniżyć wymagania co do wydajności świeżo zajętych gruntów.

Jeżeli tak jest w istocie, to wszelki wynalazek oszczędzający pracę: pług parowy, telegraf, udoskonalony sposób przetwarzania kruszcu, tłocznia drukarska lub maszyna do szycia muszą spowodować podwyżkę renty.

Wyraźmy to twierdzenie nieco zwięźlej:

Ponieważ wszelkie postacie bogactwa są wytworem pracy włożonej w ziemię lub w plody tejże, przeto wszelki wzrost siły wytwórczej przy niezaspokojonem jeszcze zapotrzebowaniu bogactwa zostaje użytym na wytworzenie nowego bogactwa i zwiększa w skutek tego popyt na ziemię.

Dla objaśnienia wpływu wynalazków i maszyn oszczędzających pracę, wyobraźmy sobie krainę, której ziemia znajduje się w rękach pewnej tylko warstwy mieszkańców, tak jak we wszystkich stronach świata cywilizowanego. Przypuśćmy, że istnieje tam pewna przeszkoda, tamująca dalszy wzrost ludności: czy to ustanowienie i surowe przestrzeganie praw Heroda, czy też pewna zmiana w obyczajach i pojęciach o moralności podobna tej, jakaby wynikać mogła ze zbyt wielkiego rozprze-

strzenienia się pamfletów Anny Besant*). Oznaczmy tam normę uprawy ziemi lub wytwarzania przez 20. Ziemia lub inne dary przyrody, przynoszące dochód 20 przy włożeniu pewnego kapitału i pracy, pokrywają tylko zwykłą normę procentu i zarobku, nie dając żadnej renty, wszelka zaś ziemia, dająca przy takiej samej pracy i z tym samym kapitałem więcej niż 20, przynosi nadwyżkę jako rentę. Niechaj zaludnienie się nie zmieni i zaprowadźmy tam wynalazki i udoskonalenia, które zmniejszą o dziesiątą część ilość pracy i kapitału potrzebną do wytworzenia tej samej sumy bogactwa. W takim razie, albo oswobodzimy dziesiątą część pracy i kapitału a suma wytworów nie ulegnie zmianie, albo też suma wytworów się powiększy, jeżeli zostanie też sama eo przedtem ilość pracy i kapitału. Lecz we wszystkich społeczeństwach ucywilizowanych przemysł jest tak uorganizowany, że kapitał i praca, a szczególnie ta ostatnia, żąda koniecznie zatrudnienia na jakichś warunkach; w podobnym ustroju przemysłu robotnicy nie są w stanie domagać się całkowitego swego udziału i wszelkie ograniczenie ilości pracy włożonej w wytwarzanie sprowadzi to tylko następstwo, że robotnicy nie dostaną tej samej ilości wytworów za mniejszą pracę, lecz że niektórzy z nich pozbawieni zostaną dawnego zajęcia i nie otrzymają w zamian innego. Przypuśćmy, że nowe te wynalazki tak dalece zwiększyły wydajność pracy, że przy stopniu urodzajności 18 można otrzymać tyle bogactwa, ile go przedtem było przy 20.

Tym sposobem niezaspokojone zapotrzebowanie bogactwa, współzawodnictwo pracy i kapitału, poszukujących zatrudnienia i umieszczenia doprowadza normę wytwarzania do 18, a zatem renta zwiększy się o różnicę między 18 a 20. podczas gdy zarobek i procent nie będą wyższe jak przedtem, ilościowo biorąc, a odnośnie do ogółu wytworów będą one niższe. Bogactwa wytworzonego będzie więcej, ~~lecz nadwyżka~~ podlegająca chwilowym zmianom (jak to wykażemy następnie) przejdzie do rąk właścicieli ziemskich.

Jeżeli wzrost wynalazków i udoskonaleń trwa ciągle, to wydajność pracy będzie się zwiększać a ilość pracy i kapitału potrzebna do otrzymania danych rezultatów musi się zmniejszać. Z tychże samych przyczyn owa podwyżka siły wytwórczej użytą zostanie na wytworzenie nowego bogactwa, kultura rolnicza rozszerzy się i renta zostanie podwyższoną zarówno ilościowo jak i stosunkowo. nie pociągając za sobą wzrostu zarobku i procentu. Tak więc choćby stopień zaludnienia nie zmienił się wcale w miarę rozwoju wynalazków i udoskonaleń, zwiększających wydajność pracy, norma wytwarzania w rolnictwie musi spadać, a renta musi nieustannie iść w górę.

*) Propagatorka zasad Nowo-Malthusianizmu szkoły zalecającej używanie sztucznych środków w celu zmniejszenia przyrostu ludności. (Przyp. tł.)

Nie mam przez to na myśli, aby zmniejszająca się wydajność kolejno zajmowanych gruntów, szła zupełnie równomiernie z podwyżką renty, ani też aby proces ów miał ściśle określone granice działania. W poszczególnym wypadku obniżenie stopnia wydajności zajętych gruntów może być większem lub mniejszem od wzrostu siły wytwórczej; stosunek ten jest bowiem, o ile sądzę, w zupełności zależnym od tego, co byśmy nazwać mogli zakresem wytwarzania, które zużytkowanem być może, zanim gorsze grunta będą musiały być wzięte pod uprawę.

Jeżeli np. stopień wydajności oznaczymy przez 20, to wszelkie wynalazki, pozwalające otrzymać tę samą ilość wytworów wydatkując o dziesiątą część mniej kapitału i pracy, nie obniżą stopnia tego do 18, jeżeli zakres wytwarzania 19 wystarczy, by dać zatrudnienie pracy i kapitałowi uwolnionym od uprawy lepszej ziemi. W tym wypadku, gdy stopień wydajności jest 19, renta wzrośnie o różnicę 19 i 20 a zarobek o różnicę 18 i 19. Lecz jeżeli przy tym samym wzroście siły wytwórczej zakres wytwarzania pomiędzy 20 i 18 i nie zdoła zatrudnić oswobodzonych już teraz pracy i kapitału, to stopień wydajności świeżo zajętych gruntów musi spaść niżej 18, jeżeli ta oswobodzona ilość pracy i kapitału domaga się zatrudnienia. W tym razie renta wznieśnie się ponad przyrost wytworów a zarobek i procent będą niższe, niż były przed zaprowadzeniem wynalazków zwiększających siłę wytwórczą.

Nie jest to jednak ścisłą prawdą, aby wszystka praca, uwolniona przez wprowadzenie każdego wynalazku, szukała sobie zatrudnienia w wytwarzaniu nowego bogactwa. Każdy nowy wynalazek powiększa żądę dostatku, żądę która może być zarówno podjętą do zaspokojenia wymagań odpoczynku lub usług jak też dostarczania nowych bogactw. Niektórzy robotnicy zaczną próżnować, inni przejdą w szeregi ludzi niepracujących wytwórczo, a widzimy że ilość tych ostatnich zwiększa się w miarę postępu społeczeństwa.

Ponieważ chciałbym wspomnieć obecnie o pominiętej dotychczas przyczynie, która dąży nieustannie do zmniejszenia wydajności uprawnych gruntów i utrwalenia ciągłego wzrostu renty, nie od rzeczy przeto będzie zwrócić uwagę na przeszkody, utrudniające rozszerzenie granic uprawy i podwyżkę renty. Chcę wytłumaczyć dokładnie, że rozwój wynalazków nawet bez wzrostu ludności sprawia, iż coraz więcej wytworów dostaje się posiadaczom ziemskim a coraz to mniej pracy i kapitałowi.

Nie możemy określić granicy, do której renta wzrastać może, gdyż jest niepodobna, przewidzieć granic rozwoju wynalazków. Gdyby wynalazki oszczędzające pracę doszły do zupełnej doskonałości i praca stała się zupełnie niepotrzebną do wytwarzania, to wszystko co ziemia dać może możnaby otrzymać bez pracy, a grunta zupełnie prawie nieurodzajne mogłyby być wzięte pod uprawę. Zarobek i procent zniknęłyby wówczas cał-

kowiecie i wszystko zostałoby pochłoniętem przez rentę. Właściciele ziemscy mogliby otrzymać bez pracy wszelkie bogactwo dostarczane przez przyrodę, praca i kapitał byłyby zbytecznymi i nie miałyby żadnego prawa domagać się pewnej części wytworzonego bogactwa. I chociażby wówczas zaludnienie doszło do minimum, robotnicy zależeliby jednak od kaprysu lub miłosierdzia właścicieli ziemskich, byłiby utrzymywani dla zabawy tych ostatnich, lub też przez litość jako nędzarze.

Wprawdzie owa bezwzględna doskonałość wynalazków oszczędzających pracę wydaje nam się rzeczą nader odległą, a może nawet nigdy niedoścignioną, niemniej jednak rozwój wynalazków dąży doń coraz usilniej. Coraz bardziej wyludniająca się obszary rolnicze w Wielkiej Brytanii, gdzie małe zagrody zastępują wielkimi, olbrzymie łany pszeniczne Kalifornii i Dakotah, uprawiane przy pomocy maszyn, a w których podróźny na przestrzeni mil całych nie znajdzie ani jednej siedziby ludzkiej, wskazują, że nie tak odległą jest meta, ku której bieży świat ucywilizowany. Pług parowy i żniwiarki są dla świata nowożytnego tem, czem dla starodawnej Italii był napływ cudzoziemskich niewolników. Niejednemu z biedaków, którzy muszą dziś opuszczać swą ojczyznę i podążać dalej,—tak jak ongi rolnicy rzymscy musieli łączyć się z miejskim proletaryatem lub z legionami wojsk i sprzedawać krew własną za kawałek chleba—wydaje się, jakoby wynalazki oszczędzające pracę były rzeczą przekłętą i nieraz słysząc ludzi domagających się pracy, zdawać nam się może, że właśnie owo straszne nateżenie mięśni jest przez nich nader pożądanem.

Mówilem dotąd o wynalazkach i udoskonaleniach już ogólnie rozpowszechnionych. Nie potrzebuję prawie dodawać, że póki wynalazek lub udoskonalenie tak mało są rozpowszechnione, że korzystanie z nich jest tylko przywilejem niewielu, to pomijawszy owe specjalne korzyści wynalazki te nie zmieniają ogólnego podziału bogactw. Odnosi się to do monopolów stworzonych przez patenty i noszących dla innych przyczyn ten sam charakter co drogi żelazne i telegraficzne. Wynikający z nich zysk—jakkolwiek zazwyczaj błędnie uważany za zysk z kapitału—jest li tylko wynagrodzeniem monopolu, jakim tego dowiódł w jednym z poprzedzających rozdziałów, i nie zmienia w niczem podziału bogactw. Np. zysk osiągany z kolei żelaznej lub podobnego ułatwienia taniego przewozu bywa ogólnym lub staje się monopolem stosownie do tego, czy przedstawia li tylko zwykły procent od włożonego kapitału, czy też przewyższa go w znacznym stopniu. A wiemy już, że wzrost renty lub wartości ziemi odpowiada zmniejszeniu się kosztów przewozu.

Wspominałem przedtem, że pod wynalazkami podwyższającymi rentę należy rozumieć nie te tylko, które bezpośrednio potęgują siłę wytwórczą lecz zarówno i udoskonalenia rządu, obyczajów i moralności, wpływające nań pośrednio. Uważane jako

czynniki materialne potęgują one siłę wytwórczą z korzyści, które przynoszą, dostają się w udziale właścicielom ziemskim podobnie jak zyski wynikające z rozwoju rzemiosł. Obalenie systemu protekcyjnego w Anglii może służyć za przykład, popierający słowa nasze. Swoboda handlu powiększyła ogromnie bogactwo Wielkiej Brytanii i przyczyniła się do podwyższenia renty, lecz w niczem nie ulżyła nędzy.

ROZDZIAŁ IV.

Następstwa wiary w rozwój postępu materialnego.

Widzieliśmy już, że wzrost ludności dąży do podwyższenia renty. Do tego samego celu zmierzają w społeczeństwie postępowem wszystkie przyczyny, zwiększające wytwórczość pracy. Podnoszą one rentę, lecz nie podwyższają ani zarobku ani procentu. Przewyżka wytworów idzie do rąk właścicieli ziemskich pod postacią zwiększonej renty, a jakkolwiek może ona w miarę rozwoju społecznego przypaść nieraz w udziale innym jednostkom, niekoniecznie posiadaczom ziemskim, których własnością stała się przeważna część zwiększonych wytworów, to jednak żaden wynalazek nie wpływa na ogólne podniesienie ceny zarobku lub procentu.

Ażeby jednak dokładnie wytłómaczyć wyływ postępu materialnego na podział bogactw, należy zbadać jeszcze jedną przyczynę, o której dotychczas nie wspominaliśmy. Przyczyną tą jest śmiała nadzieja podniesienia ceny renty; powstaje ona we wszystkich postępowych społeczeństwach w skutek nieustannego wzrostu renty i prowadzi do różnych spekulacyj lub do wydzierżawiania ziemi za cenę wyższą, niżby ją inaczej otrzymać można.

Przypuszczaliśmy dotychczas zgodnie ze wszystkiemi rozprawami o teoryi renty, że istotna norma uprawy ziemi odpowiada zawsze temu, cobyśmy nazwać mogli konieczną normą uprawy, t. j. przypuszczaliśmy, że ludzie biorą się do uprawy gorszych gruntów wtedy dopiero, gdy wszelkie miejscowości żyzniejsze są już zużytkowane. Być może iż tak się dzieje w społeczeństwach zacofanych lub rozwijających się nader powoli, lecz inaczej rzeczy stoją w krajach postępujących szybko po drodze

rozwoju, gdzie raptowna i nieustanna podwyżka renty pozwala rachować na dalszy jej wzrost. W podobnych społeczeństwach nadzieja podwyższenia ceny wytwarza różne kombinacje rolników i sprawia, iż rachując na wyższe ceny, wstrzymują się od użytkowania z ziemi i w ten sposób zmuszają do zajęcia gorszych gruntów prędzej, niżby tego wymagały potrzeby ludności.

Przyczyna ta musi działać do pewnego stopnia we wszystkich społeczeństwach ucywilizowanych, jakkolwiek tam, gdzie, jak w Anglii, przeważa system dzierżawczy, uwidoczni się ona więcej w cenie ziemi przy sprzedaży—aniżeli w stopniu rozwoju rolnictwa lub w rencie istotnej. Potęga jej staje się natomiast olbrzymią tam gdzie, jak w Stanach Zjednoczonych, użytkujący z woli ziemi posiadać ją na własność i gdzie można zajmować swobodnie wielkie obszary gruntu.

Dowodem tego jest olbrzymia przestrzeń, na której rozrzuconą jest ludność Stanów Zjednoczonych. Człowiek, opuszczający wschodnie wybrzeża w poszukiwaniu ziemi, któraby mógł uprawiać swobodnie bez opłacania renty, musi przebywać olbrzymie przestrzenie dziewiczego gruntu, wiele nawpół uprawnych zagród, zanim znajdzie kawał ziemi wolny od renty. Zmuszony on jest (a razem z nim i norma uprawy) iść dużo dalej niżby potrzebował, albowiem dawniejsi przybysze trzymają tę ziemię odlegiem w nadziei, że wartość jej zwiększy się w przyszłości. On również, osiedlając się, weźmie więcej ziemi niż jej użytkować może rachując, że wkrótce nabędzie ona wartości, a tym sposobem przybywający po nim osadnicy muszą znowu wędrować dalej, niż tego wymagają potrzeby wytwarzania i muszą uprawiać coraz to mniej żyzne i odleglejsze miejscowości. To samo daje się dostrzedz w każdym szybko wzrastającym mieście. Gdyby użytkowano naprzód wszystką ziemię dogodniejszą do zabudowania, nie widzielibyśmy w miastach pustych placów ani też nędzne domki nie stałyby obok kosztownych budowli. Niektóre z tych placów przedstawiające wielką wartość nie zostały użytkowanymi zupełnie lub częściowo dlatego, że właściciele, nie mając możności lub ochoty ulepszenia ich, wołają je zatrzymać w nadziei, że cena ziemi podniesie się, niż sprzedać za to, co nabywcy chcą dać obecnie. W następstwie zaś tego, że ziemia nie zostaje użytkowaną, zakres miasta oddala się tak bardzo od środka.

Gdy dojdziemy jednak do granicy wzrastającego miasta— a ta istotna norma zabudowania odpowiada stopniowi uprawy ziemi—nie dostaniemy na cele rolnicze ziemi za tę cenę, za jaką by jej dostać było można, gdyby wysokość renty zależała li tylko od zapotrzebowania obecnego; lecz przekonamy się, że w znacznej nawet odległości poza miastem, ziemia ma wartość szczególną, opartą na przypuszczeniu, że będzie kiedyś potrzebna do rozszerzenia miasta, i jeżeli chcemy dostać ziemi za cenę niezależną do ren-

ty miejskiej, musimy odejść bardzo daleko od gruntu, na którym faktycznie miasto stoi.

Podobne, choć w innym rodzaju, przykłady napotykamy w każdej miejscowości. W hrabstwie Marin w pobliżu San-Francisco leży rozległy pas pysznego budulcowego drzewa. Naturalnie to drzewo powinno być najpierwej użytokowanem dla zaopatrzenia rynków San-Francisco i należałoby przywozić drzewa z odleglejszych okolic. A jednak stoi ono nieścięte i wagony przywożą codziennie belki ze znacznej odległości, dlatego że właściciele zatrzymują to drzewo w nadziei wyższych cen w przyszłości. Wiemy dobrze, że prywatni posiadacze bogactw mineralnych nie pozwalają użytkować z nich i że trzeba eksploatować kopalnie uboższe, a w dzisiejszych czasach napotykamy ludzi, którzy żyją w ubóstwie, w niedostatku prawie, dlatego, że chcą sprzedać ziemię, z której sami ciągnąć korzyści nie mogą, za cenę tak wysoką, że nikt inny nie mógłby z niej użytkować z pewnym zyskiem dla siebie.

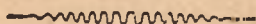
Wróćmy teraz do objaśnienia, podanego w poprzednim rozdziale: przypuśćmy, że przy stopniu uprawy 20 zachodzi wzrost siły wytwórczej i sprawia, że można otrzymać te same rezultaty wydatkując o dziesiątą część mniej pracy. Dla przyczyn powyżej wymienionych minimalna norma wydajności wytwórczej musi się obniżyć, a jeżeli dojdzie do 18, to wynagrodzenie pracy i kapitału będzie takie same, jakiem było dawniej przy stopniu 20. Od tego co nazwałem zakresem wytwarzania, a który wahać się będzie między 20 i 18 zależy, czy stopień wytwarzania zatrzyma się przy 18, czy też opadnie jeszcze niżej. Lecz jeżeli w nadziei przyszłego wzrostu renty właściciele ziemscy będą żądać 3 jednostki renty za ziemię 20, 2 za 19 a 1 za 17, lub powściągną się od użytkowania ze swych gruntów na gorszych warunkach, to zakres wytwarzania zostanie ściśnionym tak dalece, że stopień uprawy ziemi zredukuje się do 17, a nawet, niżej i następstwem tej zwiększonej siły wytwórczej pracy będzie mniejsza niż przedtem zapłata robotnika, procent również spadnie w tym samym stosunku—renta zaś wzrośnie w stosunku większym od wzrostu siły wytwórczej. Czy wpływ tych spekulacyj na wzrost renty nazwiemy rozszerzeniem granic wytwarzania, czy wzrostem renty ponad stopień wytwarzania—rzecz to obojętna; w każdym razie jest to fakt ważny, o którym niepodobna przemilczeć, rozbiierając ściśle zasady podziału bogactw w społeczeństwie postępowem. Jest on siłą, która postęp materialny powołał do życia i która dąży do podwyższenia renty w stosunku większym, aniżeli postęp zwiększa wytwarzanie, następnie gdy postęp materialny nie ustaje i siła wytwórcza wciąż wzrasta, obniża on cenę zarobku nie tylko stosunkowo lecz i bezwzględnie. Ta to właśnie siła, działając daleko potężniej w nowych społeczeństwach, przenosi tam ze starych wszystkie klęski społeczne i wychowuje nędzarzy na ziemi nawpół uprawnej.

Słowem, owo ogólne i ciągłe podwyższanie wartości ziemi w społeczeństwach postępowych musi wytwarzać podwyżkę dodatkową, spostrzedz się ona daje na towarach, których cena wciąż podnosi się w skutek działania jakiejś przyczyny ogólnej i stałej. Podobnie jak podczas szybkiej obniżki wartości monety w ostatnich latach Związku Stanów Południowych przedmiot kupiony jednego dnia można było sprzedać za cenę większą zaraz nazajutrz, co sprawiało, że ceny towarów wzrastały szybciej, niż pieniądze spadały, tak samo przekonanie, że wzrost wartości ziemi stałe będzie miał miejsce, wpływa na przyspieszenie tego wzrostu. Widzimy w całej rozciągłości działanie tej drugiej przyczyny w spekulacyach na ziemię, tak rozpowszechnionych w nowych społeczeństwach, i jakkolwiek są to objawy nienormalne i przypadkowe, niepodobna jednak zaprzeczyć, że przyczyna ta z większą lub mniejszą siłą działa we wszystkich społeczeństwach postępowych.

Przyczyna ograniczająca spekulację towarową, a mianowicie nowe dostawy wywołane podwyższeniem się cen towarów, nie może ograniczyć tego wyrachowanego podnoszenia ceny gruntu, gdyż ilość ziemi jest stałą i działalność ludzka nie może jej powiększyć ani zmniejszyć; istnieje przecież pewna granica ceny ziemi a jest nią minimum tego, co żądają praca i kapitał za przyjęcie udziału w wytwarzaniu. Gdyby było możebnem zredukować cenę zarobku do zera, w takim razie renta mogłaby podnieść się tak dalece, że pochłonięłaby ogół wytworów. Lecz ponieważ niepodobna obniżyć zarobku niżej tego, za co robotnicy zgodzą się pracować i wytwarzać, ani też obniżyć procentu, niżej tego, za co kapitał przyjmuje udział w wytwarzaniu, istnieje zatem tama tego wyrachowanego podwyższania renty. Nie można więc podnosić renty tak łatwo w krajach, w których zarobek i procent zbliżają się już do tego minimum, jak w tych, gdzie one są o wiele wyższe. A jednak we wszystkich społeczeństwach ucywilizowanych objawia się dążność podwyższenia renty do normy, przy której ustaje wytwarzanie, czego dowodem jest, jak sądzę, ponawiający się zastój przemysłu—lecz o tem obszerniej pomówimy w następnej księdze.



SPIS RZECZY.



	Strona
Wstęp. — Zagadnienie	3

Księga I.

Zarobek i kapitał.

Rozdział I.	Ogólnie przyjęta teoria zarobku. Jój słabe strony	11
„ II.	Określenie nazw ekonomicznych	20
„ III.	Zarobek nie wynika z kapitału, lecz jest wytworzonym przez pracę	31
„ IV.	Utrzymywanie robotników nie wynika z kapitału.	44
„ V.	Istotna działalność kapitału	50

Księga II.

Zaludnienie i środki do życia.

Rozdział I.	Teoria Malthusa. Historia jej powstania i dowody podane na jój poparcie	57
„ II.	Wnioski oparte na faktach	65
„ III.	Wnioski oparte na analogii	83
„ IV.	Obalenie teorii Malthusa	91

Księga III.

Prawo podziału bogactw.

Pozdział I.	Badanie ogranicza się na rozpatrywaniu praw podziału bogactw — konieczny stosunek tychże praw	99
„ II.	Renta (płata dzierżawna) i prawo renty . . .	107
„ III.	Procent — przyczyny istnienia procentu . .	113

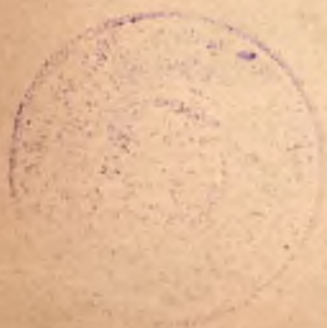
Rozdział IV.	O fałszywym kapitale i zyskach uważanych mylnie za procent	124
"	V. Prawo procentu	128
"	VI. Zarobek i prawo zarobku	134
"	VII. Odpowiedzialność i współrzędność powyższych praw	143
"	VIII. Momenty statyczne w rozpatrywanem przez nas zagadnieniu	145

Księga IV.

Wpływ postępu materialnego na podział bogactw.

Rozdział	I. Momenty dynamiczne w postawionem przez nas zdaniu	149
"	II. Wpływ wzrostu ludności na podział bogactw .	151
"	III. Wpływ rozwoju techniki na podział bogactw .	160
"	IV. Następstwa wiary w rozwój postępu materialnego	167

Część II traktuje o środkach zaradczych.



Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

II 323934



1000004419